

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódz



NR 49 (1048) ROK XXII

9 GRUDNIA 1979 R.

CENA 3 ZŁ

## W NUMERZE:

### Kto powinien bać się okólnika nr 13

— Wróćmy jeszcze do istoty okólnika: jak będzie on w praktyce realizowany? Skąd — na przykład — Wydział Finansowy będzie wiedział, że ja nie kupiłem w ostatnim czasie żonie futra z norek i kolii z pereł, a sobie — złotej papierošnicy z brylantami, że nie wyłożyłem ścian w łazience — marmurem, a przedpokój — modrzewiem?

(JACEK INDELAJ  
w rozmowie  
z EDWARDEM OPALSKIM)

### Na af Chapman i gdzie indziej

Zbuntowane panie uparły się głosić estetykę turpizmu, wyglądają na scenie jak straszdyła, całkowicie pozbawiły się jakiegokolwiek wdzięku, a język, jakiego używają, przyprowadził o rumieńce najwytrawniejszego dorożkarza. U nas te sprawy załatwia z wdziękiem i o wiele bardziej przekonująco dr Wisłocka.

(JERZY KATARASIŃSKI)

### Gdzie woda czysta

— To się jeszcze zobaczy — powtórzył kierownik Mączka i odszedł. Nie było dla niego wątpliwości, że to leśnicy brali wodę do rozpuszczania „lasochronu” i zatrułi Trestę.

(BOGDA MADEJ)

### PONADTO:

Staroświecki nowocześniejszy pisarz ■ Załącznik ■ Skazy na rubinie ■ Zapach drzewa ■ Wiersze ■ Recenzje

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## ŚRÓDMIEŚCIE

„Kto Ciebie zna po wierzchu, niedbały przechodzień, Kto tylko przez Piotrkowską przewleka się co dzień” — tak pisał w wierszu pod tytułem „Do Łodzi” Jan Sztudynger. Ale, kto dziś z łodzian zna Łódź po wierzchu? Kto tylko chodzi po Piotrkowskiej? I kto po niej nie chodzi? Jakby się po Łodzi nie poruszać trzeba w końcu zawadzić o Piotrkowską, trzeba w końcu zawitać do Śródmieścia.

Jeśli zaczyna się rozważać sprawy Śródmieścia, to nie można tego robić w oderwaniu od spraw całego miasta. Właśnie tu, w Śródmieściu, najwyraźniej widać, że miasto tworzy ściśle ze sobą zespolony organizm, że sprawy różnych jego części zająbiają się o siebie, wzajemnie od siebie zależą.

Ale na początek wyodrębnijmy Śródmieście z całości miasta, bo na ogół mało kiedy zdajemy sobie sprawę z tego, gdzie się jaka dzielnica zaczyna, a gdzie się kończy. A już najmniej zdajemy sobie sprawę z tego, gdzie zaczyna się i kończy Śródmieście Łodzi.

Na zachodzie dzielnica Śródmieście graniczy z Polesiem. Granica biegnie ulicą Wólczańską, przecina aleję A. Mickiewicza, dochodzi do ulicy Adama Próchnika, do Gdańskiej i Gdańska do Ogrodowej, Ogrodowa, Północna i Zródlowa oddzielają od Śródmieścia Bałuty. W tym rejonie Śródmieście jakby się wybrzusza obejmując swoim zasięgiem osiedle akademickie w rejonie ulicy ...umby. Ulica Konstytucyjna oddziela śródmiejską dzielnicę od Widze-

Dalszy ciąg na str. 3



Foto: R. Lucyszyn

W hallu zbierają się Włosi z „Comuny Baires”. Dreszcz biegnie po krzyżu kiedy się na nich patrzy. Mają na sobie przewiewne, pomarańczowe kombinizony, rozcięte w dodatku na plecach aż do pierwej krzyżowej. Tymczasem, kiedy dojeżdżałem tu autobusem, Philips pokazywał godzinę 10.45... 10.46... 10.47 i temperaturę +2° C. Festiwal nie może się rozkręcić, reklama kłopska, prasa nie daje jeszcze nic, albo tylko skąpe wzmianki, trzeba więc zrobić coś, co by zwróciło uwagę na St. Erickplan, bo inaczej będzie kłapa.

Festiwal jest biedny. Duńscy, Francuzi, Włosi, Polacy, Czesi, zakwaterowani są na af Chapman, pięknym skądinąd, zabytkowym żaglowcu, zakotwiczonym przy Skeppsholmen, pełniącym w Szeppie rolę schroniska młodzieżowego. Większość kajut 6-8-osobowa, łóżka tylko piętrowe; jest kilka „dwójek”, ale w nich z kolei nie ma się jak obrócić. Przechodząc przez Skeppsholmsbron, most prowadzący na wyspę, popatrujemy codziennie na Zamek Królewski, Tre Kronor, i na przystępny Grand Hotel, nad wejściem którego płoną wieczornymi gazowe pochodnie. Wczoraj było inauguracyjne party w Konstfack, stolówce szkoły sztuk pięknych, wszyscy się na nie szykowali, ale przyjęcie było szwedzkie, kilka platków mięsa, mdła papka w charak-

terze ni to sosu ni sałatki, przydzielona puszka piwa, szklanka wina i na stole informacja „Extra glass 3 Skr”. 3 korony to 3/4 dolara, wszyscy więc, mimo że pod koniec party cena całej butelki wina spada do 10 koron, wychodzili z Konstfack godnie, najwyżej na leciusińskim rauszu i ani

JERZY KATARASIŃSKI

### Na af Chapman i gdzie indziej

(korespondencja ze Szwecji)

im w głowie było iść w Polskę, przeproszam, w Szwecję. Teraz Włosi podreptują w hallu teatru, rozgrzewają boscymi stopami lodowatą posadzkę i szykują się do skoku w temp. +2°C. Renzo Casali, szef „Comuny”, sam ciepło ubrany, popatruje z pogardą na Szwedów, Czechów, Polaków, którzy kostiumy wbił na grube swetry lub kurtki. No, ruszamy!

Najpierw kawałek do stacji metro przy Erickplan, Włosi, siniejac, niewzruszenie śpiewają piosenkę ze spektaklu „Wisconsin”. Metrem dwa przystanki do Radmangatan — i dalej w opatulony tłum Kongsgatan, Sveavagen, całego Stock-

holms Center. Duże zimny i mokry listopadowy wiatr. Festiwalowy pochód pędzi, dobiega do niego spóźniona reszta, zaraz też dostajemy dyskretną policyjną eskortę. Są ot, tak, na wszelki wypadek, czy też... Popatrujemy niepewnie na krótkofalówki i pałki, słyszy się o prowokacjach szwedzkiej policji wobec Polaków. Z prowokacji tych śmieją się ponoc sami Szwedzi, tak są naciągane, ale strzeżonego... Wokół pochodu zaczyna się robić gęsto. Różne wariactwa się tutaj widuje, tak, że już spowszedniały, to wariactwo jednak, polujący na odmrożenia Włosi, jakieś inne typy w egzotycznych kostiumach, spontaniczny spektakl uliczny, przyciąga uwagę. Zadawoleni są aktorzy ze sztokholmskiego „Teater 9”, gospodarze festiwalu. Rozbawiony tłum chętnie wysysa plakaty, programy. To najlepsza reklama.

I rzeczywiście, począwszy od tego południa coraz gęściej na spektaklach, Festiwal (a właściwie spotkanie — meeting), zorganizowany został przez IFIT — International Federation of Independent Theatre — nową, międzynarodową organizację teatralną, której założycielami są „Teater 9” ze Sztokholmu, Comuna Baires z Mediolanu i Teatr 77 z Łodzi. Zachodni partnerzy — założyciele, kładą nacisk na słowo „niezależność”, my tłumaczymy

Dalszy ciąg na str. 11

BOGDA MADEJ

## GDZIE WODA CZYSTA

1.

Działo się to 17 lipca 1978 roku. Dziś już nawet bohaterowie tamtego zdarzenia nie pamiętają, czy był to dzień pogodny, czy może padało. Musiało jednak być pogodnie, bo inaczej rzecz cała nie wydarzyłaby się tego dnia, tylko innego. A pogoda — jak się później okazało — ma w podobnych sprawach istotne znaczenie.

Jest taki mały dopływ Pilicy, nazywa się Trestą. Rzeka płynie lasem. Jest też „Ośrodek Zarybieniowy Tresty”, który należy do Międzypowiatowego Zespołu Gospodarki Rybacko-Wędkarskiej Polskiego Związku Wędkarskiego. Ten ośrodek ma 5 stawów, w których hoduje się narybek. Wodę do tych stawów bierze się właśnie z rzeki Tresty.

A więc było to 17 lipca 1978 roku. Jeden z rybaków nadzorujących stawy zobaczył, że w jednym z pięciu stawów ryby pływają po wodzie, niezupełnie tak jak

ryby pływać powinny. Czyli są śnięte. Szybko zamknął dopływ wody z rzeki i włączył dopływ tlenu do wody. Część ryb udało się uratować. Zginął przede wszystkim narybek pstrąga. Śnięte ryby trzeba było zebrać i szybko zakopać, aby się nie psuły. Nim jednak do tego przystąpiono, rybak zaażarował kierownika Mączkę, który głęboko pociągnął nosem i już wiedział, że śmierdzi jakimś trującym świnstwem.

I tak pociągając nosem poszedł wzdłuż rzeki, aż trafił na tych, którzy to śmierdzące, trujące świnstwo używali. Byli to leśnicy opryskujący „lasochronem” pole śiętego drzewa, aby uchronić je przed kornikami.

— To wyście zatrułi nam ryby! — powiedział kierownik Mączka.

— Ależ skąd, to nie my. My o żadnych rybach nic nie wiemy — powiedzieli leśnicy.

— To się jeszcze zobaczy —

powiedział kierownik Mączka i poszedł.

2.

Pilica ma 319 km długości, 225 km rzeki znajduje się pod kontrolą. Z tego 78,7 proc. długości rzeki ma wody III klasy czystości.

Co to są klasy czystości wody?

Klasa I — to są takie wody, które nadają się jako woda do filtrów miejskich, a więc woda mogąca służyć do picia. Jest to taka woda, z której może korzystać przemysł spożywczy i jest odpowiednia dla hodowli ryb łososiowatych.

Klasa II — są to takie wody, w których można hodować wszystkie ryby, wodę tę mogą pić zwierzęta, można się w niej kąpać bez szkody dla zdrowia.

Klasa III — są to takie wody, które przemacza się dla przemysłu, dla rolnictwa i dla ogrodnictwa.

Dalszy ciąg na str. 4

KTO POWINIEN  
BAĆ SIĘ  
OKÓLNIKA  
NUMER 13

Rozmowa z EDWARDEM OPALSKIM  
dyrektorem Wydziału Finansowego  
Urzedu Miasta Łodzi

— Opublikowany w „Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Finansów” okólnik nr 13 „w sprawie dochodów ustalonych na podstawie znamion zewnętrznych” stał się przedmiotem swoistej sensacji, która poruszyła spór części społeczeństwa. Zasięg okólnika jest jednak ograniczony, przez co wokół jego zawartości namnożyło się dużo już nieporozumień. Stąd też na wstępie naszej rozmowy prosba o zwięzłe i precyzyjne streszczenie zawartych w okólniku postanowień.

— Faktem jest, że wokół okólnika podniosło się wiele wątpliwości, w naszym odczuciu — nieuzasadnionych. W istocie bowiem okólnik nie jest niczym nowym. Mieliśmy przecież dotąd, powszechnie chyba znany, artykuł 131 „Dekretu o Postępowaniu Podatkowym”, który również skierowany był przeciwko osobom, które weszły w posiadanie pieniędzy i próbowały uchylić się od opodatkowania. Różnica polega chyba tylko na tym, że cała sprawa — dotychczas jedna z wielu — do czekała się swego rodzaju „awansu” do rangi zadań, jakie Ministerstwo Finansów poleca szczególnej naszej pieczy. Z drugiej zaś strony okólnik w stosunku do artykułu 131 stanowi

Dalszy ciąg na str. 4



Kiedy podsumowywano czwartą z kolei konkurs literacki o „Rubinową Hortensję”, a było to jeszcze w 1968 roku, przewodniczącą jury, Marian Piechal, „sędziujący” także nieco wcześniej w konkursie Łódzkiej Wiosny Poezji, powiedział, iż chociaż na łódzki konkurs nadesłano wielokrotnie więcej wierszy aniżeli na piotrkowski „Rubinową Hortensję”, poziom piotrkowskiego konkursu nie jest niższy.

Pamiętając tę ocenę piotrkowian. Ale tymczasem ogólnopolskiemu konkursowi literackiemu o „Rubinową Hortensję” stuknęło już piętnaście lat. Konkurs orkierzył, nabrał rozgłosu w kraju, choć nadal raczej rozgłos ten jest słabszy niż konkurs na to zasłużył. Na przykład w niedzielę 23

listopada 1979 roku, w dwa dni po rozstrzygnięciu „Rubinowej Hortensji”, w wieczornym programie telewizyjnym zaprezentowano walbrzyski konkurs o „Złotą Lampkę Górniczą” — konkurs o wiele młodszy i raczej mniej zasłużony. Telewizja łódzka jakoś nie zainteresowała się „Rubinową Hortensją”, chociaż był to jubileusz. Przedtem było inaczej.

Jako juror „Rubinowej Hortensji” od lat piętnastu mam prawo orzec, iż dorobku tego konkursu nie da się podważyć z roku na rok jego poziom wzrasta. Dostrzeżono to z Warszawy będąc już dwukrotnie, prezentując „Rubinową Hortensję” w almanachach konkursów poetyckich kraju.

I tu wkroczyliśmy w sferę organizacji konkursu. W latach 1965-1967, prócz inicjatorów konkursu: ZW ZMS w Łodzi i redakcji „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” niewiele było mecenasów — głównie wydziały kultury Prezydium WRN w Łodzi i MRN w Piotrkowie. Później mecenasów przybyło: a to WRZZ w Łodzi, później w Piotrkowie Trybunalskim, a przede wszystkim Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja”, która obdarzyła konkurs „szylde” fundując jednocześnie z roku na rok bardziej okazałe „Rubinowe Hortensje” — przepiękne puchary. Przyrost ilości współorganizatorów nie rzuci jednak w parze z jakością organizacji.

Tegoroczni laureaci — głównie młodzi poeci i prozaicy — którzy przybyli do Piotrkowa z całej Polski, nie mieli słów uznania, bo serdeczne było przyjęcie ich przez hute „Hortensję”, która właśnie obchodziła jubileusz czterdziestolecia lat swego istnienia. Goście zapoznani są z miastem. Dziwili się, że „takie ono stare”, i że na prawdę było drugą, nieoficjalną stolicą Polski. Zaznaczyli się z tradycjami literackimi Piotrkowa Trybunalskiego Piotrkowianin bowiem potrafią być gościnni.

A jednak laureaci nie byli do końca zadowoleni. Postawili jeden zarzut: słabe zainteresowanie imprezą finałową, wieńczącą konkurs. Po prostu zanęcała była liczba obecnych w sal reprezentacyjnej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

Była to zawsze impreza kameralna. Ale ta kameralność zawlewała się w granicach 50-100 osób (bywało i 200). Przy reprezentacji gości z całego kraju to wcale nie była frekwencja! W dwóch ostatnich latach było inaczej. Gdyby odliczyć laureatów, organizatorów, członków jury oraz gości miasta i województwa, na palcach dwu rąk jednego człowieka można policzyć piotrkowian uczestniczących w imprezie. Sprawdziłem. Nie otrzymaliśmy prośby stali uczestnicy wielu poprzednich imprez finałowych „Rubinowej Hortensji”, cenieni w mieście polonistki i literaturoznawcy, członkowie prenego Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Nie otrzymaliśmy zaproszeń innych zainteresowanych, działaczy społeczni, humanistów. Nie zaproszono licealistów.

Tworzy zaproszeń: w tym wypadku Wydział Kultury Urzędu Miasta w Piotrkowie, plastyk i niżej podpisany napracowali się, wydatkowane przez państwo i... zaproszenia, które za lat kilka stanowią będą ceany druk, nie dotarły do chętnych uczestniczenia w imprezie, nie dotarły do laureatów, a ich prawie stu procentów obecność przypisać należy wysłaniu telegramów zawiadamiających, że są laureatami, że 23 listopada 1979 roku nastąpi wręczenie nagród i wyróżnień... Stało się tam w myśli przyszłości, że „gdzie kucharek sześć...”. Kto inny bowiem wykonał zaproszenia, kto inny, odebrałszy je, miał się zająć ich „dystrybucją” (ZW ZSMP). Nie wiadomo, czy takim koszarom wykonane zaproszenia dotarły na pocztę! Wiadomo, że nie dotarły do adresatów.

W Piotrkowie znajduje się na przykład Centrum Doskonalenia Nauczycieli, w którym pogłębiają wiedzę humanistów — polonistów, historyków, filologów rosyjskich. Są trzy licea ogólnokształcące z kółkami zainteresowań literaturnych. Nikt z nich, sprawdziliśmy, nie wiedział o dokładnej dacie imprezy, bo anons w „Tygodniku Piotrkowskim” nie może być w takiej sytuacji wystarczającym zaproszeniem.

I może nie tylko sama młodzieńcza niefrasobliwość tych, którzy mieli zająć się powiadomieniem o imprezie, jest przyczyną niewykorzystania młodzieńczej energii. Piotrkowa Trybunalskiego jako miejsca popularyzacji literatury. Przy wielu organizatorach dało się też odczuć zbyt słabe skoordynowanie inicjatyw. „Rubinowa Hortensja” zrodziła się przed laty w Piotrkowie i Łodzi jako spontaniczna potrzeba ludzi interesujących się rozwojem literatury. Znalezione mecenas: wydziały kultury, związki zawodowe, zakłady przemysłowe. Ale ówczesni mecenas liczyli się z daniem tych, którzy byli autentycznymi inspiratorami konkursu — z działaczami kultury. Z czasem jednak czynnik administracyjny za-

czął brać górę nad społecznym. Impreza zaczęła się formalizować. Traciła swoją oryginalność. Stała się podobna do innych.

Na początku, na przykład, „Rubinową Hortensję” wręcał dyrektorzy, sekretarz KZ, przewodniczący Rady Zakładowej Huty — fundatorki pucharów. Ostatnie nagrody huty — fundatorki wręcają przedstawiciele władz: wojewoda i inni. I to wcale nie z ich woli tak się dzieje! To ludzie, służbowo podlegli wojewodzie, z pobudek uzasadnionych dobrymi intencjami, dbałością o autorytet władzy, proszą obywatela wojewodę o wręczenie nagród. Skoro się więc prosi, przedstawiciele władz spełniają prośbę. Kamienne twarze reprezentantów huty — fundatorki tylko w części są odpowiedzialni za ich myśli... W czasie tegorocznego podsumowania XV „Rubinowej Hortensji” w ostatniej chwili przypominano sobie o obecności dyrektora naczelnego „Hortensji” i przewodniczącego Rady Zakładowej, zapraszając ich do wręczenia laureatom trzech nagród.

I po co to komu potrzebne? Potrzebne jest zupełnie co innego: serdeczne powitanie przedstawicieli władz, bo ich obecność podnosi rangę konkursu i świadczy o ich trosce o społeczne inicjatywy, ale i nieodzowne podnoszenie rangi czynnika społecznego, dawanie wyrazu szacunkowi ludziom, którzy są ojcami społecznych inicjatyw.

W listopadzie 1979 roku, w Piotrkowie odbył się czterdziesty czwarty już „Wieczór węgierski” — comiesięczna impreza organizowana przez miejscowe koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej. Sala widowiskowa WDK (300 miejsc), która była pustawą w czasie spektakli przybywających do Piotrkowa teatrów z Łodzi, czy dalekiego Tarnowa, była tym razem zapełniona do ostatniego miejsca. A w programie prelekcja na tematy polityczne: red. Aleksandra Pażyńskiego z „Polityki” o gospodarce socjalistycznej Węgier i występy miejscowych zespołów artystycznych: zespołu baletowego „Scat” z WDK i kapeli podwórkowej „Fakiry” z Fabryki Maszyn Górniczych „Pioma”. Goście z Warszawy nie mogli uwierzyć: skąd takie zainteresowanie wieczorami węgierskimi, taka na nich serdeczna atmosfera? „Ewement” — orzekli warszawscy goście. Ewement polega na autentycznej więzi ludzi, którzy do wspólnych spotkań zaczęli autentycznie działać społecznie. „Czynnik administracyjny” ich tylko rozumnie wspiera. A więc można Stąd ten przykład pozorne tylko odbiegający od tematu.

Co dalej zrobić z „Rubinową Hortensją”? Trzeba — usunąć z jej oblicza skazy organizacyjnego niedowładu, przywrócić termin jej rozstrzygnięcia: w maju, najpóźniej w czerwcu. Zatem już teraz, w grudniu, wypada opracować i ostatecznie regulamin XVI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o „Rubinową Hortensję”. Trzeba uważnie wsłuchiwać się w postulaty działaczy kulturalnych, bardziej szanować społeczne inicjatywy.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI



Na swoją własną operę, czekało w Łodzi kilka pokoleń jej mieszkańców. Kroniki mówiące o tym, jak gorąco przyjmowano tu niegdyś zespoły operowe i wielkie gwiazdy, które odwiedzały Łódź, zarówno w ubiegłym stuleciu, jak i w bliższych nam latach międzywojennych, potwierdzają fakt znacznego zainteresowania łódzian piękną sztuką bel cant. Trudno byłoby wymienić wszystkie nazwiska, wspomnijmy więc tylko, że śpiewali u nas Ada Sari, Olga Olgina i Wanda Wermińska. Mieszkańcy Łodzi podziwiali też Stanisława Gruszczyńskiego i wielu innych. Podziwiali i... marzyli. To marzenie spełniło się w 1934 roku, gdy starania utworzonego wtedy z inicjatywy działaczy kulturalnych

da, pozwoliły szerokim rzeszom odbiorców rozsmakować się w pięknej sztuce opery. Ta właśnie powszechność odbioru sztuki operowej zrodzona dopiero w warunkach Polski Ludowej, jest niewątpliwie czynnikiem inspirującym i pobudzającym do stalego rozwoju, którym szczyścić się może Teatr Wielki (a sam tylko nowy budynek odwiedził ich już przeszło trzy i pół miliona widzów). Soliści naszego teatru na największych scenach operowych świata godnie reprezentują polską kulturę, nas zaś szczerze cieszy fakt, iż tak świetnych ambasadorków doczekała się operowa Łódź. Światowe sukcesy Teresy Wojtaszek-Kubiak, Izabeli Nawe, czy Andrzeja Sactuka, są niewątpliwie miarą ich niepospólnych talentów, ale są także wyznacznikiem rangi, wartości i poziomu naszej sceny operowej, na której występowały i która stworzyła im tak świetne warunki rozwoju.

Łódzka scena operowa ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Nie jest to wiele. Z radością obserwujemy jej dążenia do osiągnięcia znaczącej pozycji w Europie. Ma za sobą szesnaście wyjazdów zagranicznych, podczas których prezentowała nie tylko arcydzieła

światowej klasyki operowej, ale także popularizowała (ze znakomitymi rezultatami) dorobek polskich kompozytorów. Zespół Teatru Wielkiego zbierał oklaski (i entuzjastyczne recenzje) na gościnnych występach w Związku Radzieckim, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Bułgarii, Jugosławii, Finlandii, Grecji, Republice Federalnej Niemiec. Łódzkich artystów wyjeżdżających na występy solistyczne oklaskiwano między innymi w Węgrzech, w Rumunii, w Szwajcarii, Austrii, Stanach Zjednoczonych, w Meksyku, w Peru, a nawet w dalekiej Japonii. Nasza Pani Opera gościła zespoły ze Związku Radzieckiego, Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Sobie (soliści baletu), orkiestra, chór i balet Teatru Wielkiego. Przy pulpicie dyrygentkim, znakomicie prowadząc cały koncert, stał Tadeusz Koźłowski, gospodarzem wieczoru był Bogusław Kazyski.

Wszystkim solistom należą się serdeczne podziękowania za to, że swoim występem zechcieli uświetnić znakomity koncert i przynieść mu blasku pełnej, jubileuszowej gali.

EWA PANKIEWICZ

# OD DWUDZIESTU PIĘCIU LAT...

Towarzystwa Przyjaźni Opery, wsparte życzliwą troską władz o stały rozwój życia artystycznego zaoferowały narodzinami Opery Łódzkiej, 18 października 1934 roku wystawiła ona swój pierwszy spektakl. Był nim „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki.

Przez kilkanaście lat wymarzone dzieło wznosiło w trudnych warunkach. Czekając na nowy gmach Opera Łódzka wystawiła na scenie życzliwie udostępnianego jej swych pomieszczeń Teatru Nowego, trzydziści trzy premier. Nowa siedziba powstawała etapami. Zainteresowanie łódzian jej budowa nie słabło jednak ani na chwilę. „Gorąco apelujemy do ofiarności obywatelskiej tych wszystkich, którym na sercu leży, aby w Stolicy Pracy, jak najprędzej powstał teatr tego świata godzien” — te słowa Leona Schillera zapadły w serca i umysły łódzian. Otrzymała więc nasza Pani Opera nowy piękny budynek. To właśnie na jego scenie odbyło się sześćdziesiąt pięć następnych premier, z których wiele było prawdziwymi wydarzeniami artystycznymi.

Sumując doświadczenia i sukcesy Teatru Wielkiego, na którego scenie odbyło się już przeszło trzy tysiące przedstawień, nie zapomniemy o faktach oczywistych, o tym, że dopiero te lata, które otworzyły nasze trzydziestopięcioletnie

tematy, lekcje pokazowe itp. Przygotowujemy nauki do nowych zadań, jakie nałożyły na nich 10-letnia. Ostatnio np. prof. dr M. Olechowicz wygłosił wykład o nauczaniu języka rosyjskiego w tej — nowej — szkole. Wiele miejsca poświęcimy także poradnictwu językowemu, bledom językowym. I będziemy go poświęcać coraz więcej. Z żywym może odzwierciedleniem szkół, niż te metodyczne problemy — wywołujące gorące dyskusje raczej głównie wśród naukowców — spoty-

# ŁÓDŹ W „POLSCIE”

II numer miesięcznika „POLSKA” przynosi zagranicznym czytelnikom wiele łódzkich spraw. Ryszard Fitz rozmawia na łamach „POLSKI” z prezydentem Łodzi — Józefem Niewiadomskim. O łódzkiej Instytucie Medycyny Pracy pisze Teresa Kwaśniewska. Natomiast Ryszard Biały prezentuje zagranicznym czytelnikom wólkarskie małżeństwo — Kazimiera i Leonarda Pawlaków, pracujących w ZPB, im. F. Dzierżyńskiego „Eskimo”.

Łódzka szkoła filmowa i kulturalny dorobek ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltek” prezentuje Bogda Madej. Szkołę baletową w Łodzi pokazuje w fotoreportażu Ryszard Lucyszyn. Magazyn jest bogato ilustrowany zdjęciami, w tym również Ryszarda Lucyszyna.

# ESTRADOWY FAJERWERK

Do Łodzi przybywa Kijowski Music-Hall: amerykański western w estradowym wydaniu, seans niemiecki kin w parodi, popisy artystów cyrkowych, no i oczywiście piękne dziewczęta.

Music-Hall: widowisko barwne, roztańczone, pełne humoru, muzyki, tańca i oryginalnych pozycji ze wszystkich dziedzin sztuki estradowej. Akcja toczy się na planie serialu telewizyjnego.

a tam — jak wiadomo — wszystko się może zdarzyć.

Spektakle odbędą się w Pałacu Sportowo-Widowiskowym przy ul. Worcella w dniach 12-16 grudnia br., a bilety są do nabycia w kasie PP Estrada Łódzka, ul. Narutowicza 28 (w godz. 14-18 z wyjątkiem niedziel) oraz w „Orbisie”, „Sports-Tourisie”, Przedsiębiorstwie Turystycznym „Łódź”, OST „Gromada” i SBT „Turysta”.



# DLA PRZYJAŹNI I DLA WIEDZY

kają się zajęcia poświęcone literaturze. Tu atrakcją są spotkania z pisarzami — tłumaczami. Np. znany literat, członek PTR Igor Sikirycki wystąpił na forum Oddziału z wykładem o poezji radzieckiej poświęconej Polsce Ludowej. Na innym z kolei spotkaniu — z Tadeuszem Chmielowskim („Polska i Polacy w poezji radzieckiej”), w czerwcu br., w ogóle zabrakło wolnych miejsc. Dużym zainteresowaniem cieszył się również odczyt prof. Leonida Jerszowa o współczesnej literaturze radzieckiej, zorganizowany w ramach współpracy z warszawską filią Instytutu im. A. Puszkina w Moskwie. Sporo czasu sprawom literatury i teorii przekładu poświęca także drugie w Polsce — obok stupskiego — Koło Studenckie PTR. Długie dyskusje wywołał np. odczyt dr Bogdana Łazarczyka z UJ nt. „Tuwim jako tłumacz poezji rosyjskiej”.

Prace naszych najlepszych absolwentów — młodych członków Oddziału, dają dobrą wzory do naśladowania przysłym magistrantom — mówi dr Z. Grosbart — sam wychowawca wielu świetnych rusycystów (wspomnijmy choćby o Danil Gradzik, laureatce konkursu na recenzję podczas łódzkiego festiwalu poezji poświęconego przekładom, także — autorcie ciekawej pracy nt. „Skrzydlatych słów” w języku rosyjskim).

Głównym zadaniem Oddziału na przyszłość jest jednak aktywizowanie nauczycieli, powiększanie zasęgu i liczebności kół w środowisku szkolnym. Zamierza się także systematycznie poszerzać krąg rusycystów o specjalistów z innych języków: ukraińskiego, białoruskiego itd. Planuje się powołanie oddzielnego koła pracowników kultury. Na pewną zastrzykiem młodej krwi dla łódzkiego środowiska tłumaczyłoby by było zorganizowanie kół młodych tłumaczy.

# odgłosy

Redaguje biuletyn: JERZY WAWRZAS (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODEWSKI (p-ty redaktor naczelny), JERZY KATARASIRSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREUDICH, MALGORZATA GOLICKA, JACER INDEKAR, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMCZYŃSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Sioła współpracują: IAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, IADEJUSZ BRZEJEWICKI, TADRUŚ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIRSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASIEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELSKI, WITOLD ŚLAWSKI, TADRUŚ SZCZEPARSKI, IANUSZ SZYMARSKI-GLANC, JERZY WILMARSKI.



Dalszy ciąg ze str. 1

wa. Dalej granica z Widzewem swraca się na zachód wzdłuż ulicy Stanisława Malachowskiego do ulicy Stefana Kopcińskiego, potem biegnie między torami PKP a ulicą Juliana Tuwima, zwraca na południe wzdłuż ulicy PKWN, przebiega ulicą Armi Czerwonej w rejonie placu Zwycięstwa, potem biegnie wzdłuż ulicy Jana Kilińskiego do ul. i Marxa, gdzie Włódz w wąskim klinem wrzyna się w Śródmieście i nie dochodząc do ulicy Piotrkowskiej zwraca się ku ulicy Milionowej. Tutaj, wzdłuż ulicy Czerwonej Śródmieście ma niewielki kawałek graniczy z Górą.

Śródmieście jest najmniejszą dzielnicą Łodzi, zajmuje tylko 6,8 km kwadratowych, ale jest też najgęściej zaludnioną, gdyż

Wybudowano w Śródmieściu dwa hotele: „Centrum” i „Światowit”, dzięki czemu przybyło miastu 820 miejsc hotelowych. Powstały pawilony handlowe „Juventus” i „Hermes”, kawiarnie „Dziękanka” w alei ZMP i „Ratuszowa” przy ulicy Piotrkowskiej. Zmodernizowano 85 sklepów, a do końca 1982 roku zmodernizuje się jeszcze 42 sklepy.

W tym też czasie wzniesiono kilka biurów, między innymi „Miastoprojekt”, „Skórimeksu”, Okręgowego Urzędu Miar, Biblioteki Akademii Medycznej, budynku dla Zespołu Opieki Zdrowotnej dla studentów. Buduje się Dom Aktora.

Rozbrano 84 budynki, gdyż były w złym stanie technicznym, zlikwidowano 339 komórek. Położono elewacje na 142 budynkach i wybudowano 11 parkingów. Zmodernizowano 20 boisk szkolnych oraz 11 placów zabaw dla dzieci.

— Zdamy sobie sprawę z tego — mówi Jerzy Janczak — że przebudowa Śródmieścia jest bez wątpienia uciążliwa dla

cznych. A więc najpierw trzeba wybudować podziemia na odcinku ulicy Andrzeja Struga między Piotrkowską a alejami T. Kościuszki. Przez to będzie można poszerzyć wąską na tym odcinku jezdnię. W sposób przygotuje się ten rajon do przejścia ruchu samochodów, kiedy rozpocznie się przebudowa skrzyżowania ulicy Zielonej z alejami T. Kościuszki i Piotrkowską. Budować się będzie podziemne przejścia, które jednocześnie będą zejściami do mającego powstać w przyszłości metra. Bo wszyscy są zgodni, że radykalnie problemy komunikacyjne rozwiąże dopiero metra. Ale na to trzeba jeszcze poczekać.

— Program przebudowy śródmieścia — mówi Tadeusz Lewandowski — opiera się na zasadniczej przesłance, wynikającej z podstawowego założenia socjalizmu: zapewnić ludziom coraz lepsze warunki życia i pracy. Realizacja na-

tu się wybierze po zakupy. Śródmieście spełnia rolę centrum handlowego nie tylko dla całej Łodzi, ale dla województwa i dla tych, którzy przyjeżdżają do Łodzi z różnych stron kraju.

Partery budowanych domów już w projekcie przeznaczają się na sklepy i punkty usługowe. Wprowadza się więc sklepy do podwórka, koncentrując je w określonych miejscach, aby klient wiedział, że w tym podwórku znajdzie sklepy z wyrobami skórzanymi, w innym z czapkami, w innym z drobiazgami potrzebnymi w gospodarstwie domowym. Na rogu alei Adama Mickiewicza i ulicy Jana Kilińskiego budowany będzie dom towarowy, przy alei A. Mickiewicza pawilon „Unitry”.

— W programie XX Konferencji z 1977 roku — mówi Tadeusz Lewandowski — sformułowaliśmy wobec zjednoczeń i krajowych związków spółdzielczości konieczność opracowania perspektywicznych planów dotyczących porządkowania starych i wyeksploatowanych zakładów zlokalizowanych w Śródmieściu. Oceniamy, że postęp prac jest niedostateczny.

Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że taki program określa perspektywy dla rozwoju każdej z fabryk, co ma ogromne znaczenie dla załóg. Dzięki temu znają one swoją przyszłość, a to wpływa na ich stabilność. A po drugie dlatego, że wpływa to na program rozwoju dzielnicy, gdyż pozwala tak planować jej przy-

Mury krwawe (bo ze krwi) biel zabił jaśminów, Jesteś szorstka, jak dłoń chłopki spracowanej, Ale oczy masz piękne. Więć zbieram kasztany, Jakże mi w czapkę moją Tuse rzucają drzewa, I kochając Cię cicho i dyskretnie... śpiewam.”

— Nie, co zaplanowano w przeszłości — dodaje Jerzy Janczak — nie zostało skreślone. Zostało tylko przesunięte w czasie. Planujemy na przykład przyłączenie do Teatru Nowego sąsiedniego budynku. Teatr Powszechny otrzyma nową fasadę i wyburzy się budynek, który go zasłania. Trwa przebudowa Łódzkiego Domu Kultury. Pewnie, że chcielibyśmy, żeby już stała Filharmo-

# ŚRÓDMIEŚCIE: OPERACJA NA ŻYWYM ORGANIZMIE

na km kwadratowy przypada tu 16,011 mieszkańców. Mieszka tu na stałe 115,5 tysiąca ludzi. Pracuje przeszło 137 tysięcy. Jest tu najwięcej sklepów, kin, teatrów, urzędów, restauracji. Ogólna powierzchnia sklepów uspołeczniczonych wynosi 101,3 tysiąca m kwadratowych, są tu 122 zakłady gastronomiczne z 10 190 miejscami. Są hotele, centra handlu zagranicznego, kluby... Jak w centrum każdego dużego miasta.

— Na Piotrkowskiej — mówi na XXI Dzielnicowej Konferencji Partyjnej i sekretarz KD PZPR w Śródmieściu, Tadeusz Lewandowski — stanowiącej jedną w swoim rodzaju centralną ulicę miasta, obok nędznych parterowych domów tkaczy, czynszowych domów z ponurymi, mrocznymi podwórkami, powstawały bogato zdobione, secesyjne kamienice i pałace fabrykantów.

Takie było Śródmieście ściana przed wszystkim do ulicy Piotrkowskiej.

„Śródmieście ma ziemistą cerę, W bramie robotnik usiadł stary, Suche kartofle z miski je, A kolor jego żółtozary...”

Tak pisał o śródmieściu Łodzi Julian Tuwim w „Kwiatkach polskich”. To było dawno. Ale choć miały lata i po wojnie robotnik nie jadał już w bramie suchych kartofli, to przecież w Śródmieściu Łodzi zmieniło się niewiele. Na obrzeżach miasta rosły wtedy nowe dzielnice, wznoszono nowe domy, ale Śródmieście zmieniło się mało i bardzo wolno.

Rok 1971 przyniósł program przebudowy i modernizacji Łodzi. To była zapowiedź zmian i dla tej dzielnicy. Ale żeby te zmiany w Śródmieściu mogły nastąpić, trzeba było budować daleko od centrum. Potrzebne były mieszkania. I dlatego, że ludzie na te mieszkania czekali i dlatego również, żeby móc w Śródmieściu burzyć i przygotowywać miejsce pod nowe szerokie ulice, pod nowe domy.

— Musimy burzyć, aby budować — mówi Tadeusz Lewandowski — innego sposobu nie ma. Ale twarde stojmy na stanowisku, że trzeba zachować wszystko to, co posiada trwałą wartość historyczną. Tak postępujemy i będziemy postępować dalej.

„Program przebudowy i modernizacji Śródmieścia miasta Łodzi na lata 1976—1980” został w kwietniu 1976 roku rozpatrzone i zatwierdzone przez Egzekutywę KL PZPR. Określone wtedy zostały kierunki przebudowy tej części miasta. Sporo przez tych kilka ostatnich lat zrobiono w Śródmieściu.

Wybudowano Śródmiejską Dzielnicę Mieszkańczą, a jest to przecież dopiero początek tego przedsięwzięcia. Wzbogaciła się dzielnica o 1 087 nowych, przestronnych mieszkań. Ale nie zapomina się też o starych mieszkańcach.

— Modernizację starych domów — mówi naczelnik Śródmieścia, Jerzy Janczak — traktujemy tak samo, jak budowę nowych domów. Jest to dla nas jednak ważne. Chodzi przecież o to, aby równie dobrze i wygodnie mieszkano się w starych domach, jak i w nowych, aby jedne i drugie miały takie samo wyposażenie.

mieszkańców, bo jest to przecież operacja dokonywana na żywym organizmie. Ale ludzie rozumieją, że jest to konieczne, że jest to dla ich dobra, po to, aby lepiej i wygodniej się tu żyło. I jeśli się skarżą, to przede wszystkim na opieszalność, na zbyt wolne tempo prac, na marnotrawstwo, jakie często obserwują. Przebudowa Śródmieścia dokonuje się bowiem na oczach łodzian i oni, zainteresowani tym, sprawują społeczną kontrolę nad prowadzonymi pracami.

Są już w Śródmieściu Łodzi fragmenty, które w niczym nie przypominają dawnego miasta. Tak jest w okolicy dworca Łódź-Fabryczna, na skrzyżowaniu alei Adama Mickiewicza z ulicą Piotrkowską. Tak będzie dalej, kiedy rozbuduje się ŚDM, przebiegające się aleje Tadeusza Kościuszki na południe, w kierunku do ulicy Czerwonej.

— Stosunkowo późno — mówi na XXI Dzielnicowej Konferencji Partyjnej Tadeusz Lewandowski — rozpoczęliśmy wielkie przedsięwzięcie rozwoju i modernizacji Śródmieścia, lecz nie oznacza to, że później musimy je zakończyć.

Wprost przeciwnie! I powiedział jeszcze:

— Zwracamy się do urbanistów, architektów i plastyków o śmielsze, bardziej nowoczesne projekty. Musimy rozwiązywać sprawy, które pozostawia nam przeszłość i trzeba do niej wracać, lecz po to, aby zrozumieć kierunki działań i wybrać najlepsze rozwiązania na przyszłość.

Ze Śródmieścia wyraźnie widać jak jednolitym organizmem miejskim jest Łódź. Wszyscy wiemy, że Śródmieście jest klasną. Fragment trasy „W-Z” która przez Śródmieście przebiega, problemem komunikacyjnych nie rozwiązuje, choć trochę je łagodzi. Rano, kiedy rozpoczyna się „wielka wędrówka ludów” na jednego wyjeżdżającego ze Śródmieścia przypada tutaj siedem osób przyjeżdżających. Podobnie jest po południu. Na siedem wyjeżdżających ze Śródmieścia osób wraca tu jedna. Ale osób przez Śródmieście tylko przejeżdża? Jadą przecież z Retkini do pracy na Dąbrowie, z Dąbrowy na Teofilów. Jadą z Widzewa, z Dołbów, Chojen, Tranzytem przez Śródmieście.

— Wszystkie kłopoty komunikacyjne śródmieścia — mówi Jerzy Janczak — zaczynają się poza Śródmieściem i tam też znajdują rozwiązanie. Kiedy ukończy się budowę wiaduktu na ulicy Dąbrowskiego, powstaną wiadukty na ulicy Rokicińskiej i przy dworcu Łódź Kaliska, wtedy i w Śródmieściu poprawi się komunikacja. Wtedy i dla nas nastaną lepsze czasy. I nie tylko dlatego, że można będzie skoncentrować prace przy przebudowie skrzyżowania ulicy Zielonej z alejami Kościuszki i Piotrkowską oraz Andrzeja Struga z Piotrkowską i z Kościuszką, ale i dlatego, że rozwiązania komunikacyjne trasy „W-Z”, alei Włókiarzy wpłyną na usprawnienie komunikacji w centrum Łodzi. Do tego też przyczyni się włączenie do komunikacji miejskiej obwodnicy kolejowej.

W Śródmieściu na razie planuje się podjęcie prac przygotowaw-

czego programu jest realizacją tego podstawowego założenia. Służą przecież temu budowa nowych mieszkań, modernizacja starych. Służą temu modernizacja handlu, przebudowa układu komunikacyjnego. Modernizacja i rozbudowa przemysłu. W Śródmieściu jest wiele fabryk: dziewiarskich, przemysłu włókiennego, precyzyjnego, metalowego. Są to fabryki, które w starych murach mają nowoczesne maszyny, które zostały zmodernizowane, w których radykalnie poprawiły się warunki pracy.

Wprawdzie jeszcze nie wszędzie, bo są oddziały, które dopiero czekają na modernizację. Ale i tam, gdzie zrobiono wiele, okazało się, że to jeszcze mało. Zwrócili nam na to uwagę ludzie w dyskusjach na zebraniach grup partyjnych. W przemysle dziewiarskim około 80 procent pracujących stanowiły kobiety. I choć poprawiły się tam warunki pracy, to okazało się, że są one nadal trudne dla kobiet w ciąży. Więc na wniosek grup partyjnych rozpatrzyliśmy możliwość utworzenia w tych fabrykach oddziałów pracy chronionej. Nie było to łatwe, ale zrobiono. Dziś zastanawiamy się nad tym, jak poprawić warunki pracy i życie ludziom starszym, chorym lub po przebytej chorobie. Nie traktujemy naszego programu statycznie, jak raz coś postanowione i niaruszalnego. Uważamy go za program otwarty, do którego ludzie mogą i powinni wnieść coraz to nowe wartości, usprawniać go i wzbogacać. Bo to jest ich program. I tak go ludzie traktują. Wykazata to dyskusja w kampanii sprawozdawczej, w której głos zabralo 9 700 kandydatów i członków partii, a wśród nich 5 380 robotników. Wykazują to również dyskusja nad „Wytuczonymi KC na VIII Zjazd PZPR”. Jest to dyskusja, w której nie unika się spraw trudnych, skomplikowanych, ale jest to dyskusja, w której szuka się sposobów, jak sobie poradzić z tymi trudnymi sprawami. Bo my je sami musimy rozwiązać. Nikt za nas tego nie zrobi.

W Śródmieściu nieczym w soczewce skupiają się wszystkie sprawy miasta. Wiadomo na przykład, że tak zwane budownictwo towarzyszące, a więc wszystko to, co powinno towarzyszyć nowym mieszkańcom w osiedlach, jak na przykład przedszkola, żłobki, kawiarnie, a przede wszystkim sklepy, powstają później niż planowano. A skoro nie ma w osiedlu dobrze funkcjonującego sklepu, to trzeba kupować w Śródmieściu, gdzie sklepów jest dużo. I tak się najczęściej robi, choć i w osiedlach rozbudowuje się sieć handlową. Pewnie, że każdy wolałby kupować blisko domu, ale wiadomo, że w Śródmieściu jest większy wybór, bo więcej jest sklepów i to blisko siebie położonych. Póki więc co, Śródmieście musi spełniać funkcje handlowe osiedli wyrosłych na obrzeżu miasta.

— Nie to jest jednak naszym celem — mówi Jerzy Janczak — Chcemy, aby w centrum miasta mógł kupić każdy, kto

— Ale rozwój handlu, to nie tylko otwieranie nowych sklepów — mówi Tadeusz Lewandowski — to również poprawa obsługi, wzrost kultury pracy w handlu. Mówiła o tym w dyskusji na Konferencji Dzielnicowej sprzedawczyni z WPHW, Maria Piotrowska, stwierdzając, że handlowcy posiadają wszystko, co niezbędne, aby podnieść jakość obsługi na wyższy poziom. Wszystko bowiem zależy od nas samych, od tego, w jaki sposób czujemy się odpowiedzialni za to, co robimy.

A czy wszyscy czujemy się naprawdę odpowiedzialni za nasze miasto? Głupia sprawa, ale plac Wolności trzeba sprzątać dwa razy dziennie. Nie wiem, ile razy sprząta się przejście podziemne koło „Centralu”, ale wiem, że przed „Centralu” trudno się przecisnąć. Cały plac przed tym domem towarowym zatłoczony jest samochodami. Każdy bowiem, kto ma samochód, chciałby nim wjechać niemal do środka „Centralu”. Władze dzielnicy przewidują więc — i słusznie — ograniczenie parkowania do 30 minut. W odległości około 150 metrów od „Centralu” znajduje się duży, pusty parking. Można spokojnie tam parkować, a pod „Centralu” podjechać tylko na czas załadowania zakupów.

Władze dzielnicy myślą również o wprowadzeniu ograniczenia parkowania wzdłuż ulic — podobnie jak to się będzie robiło w Warszawie — na czas opadów śniegu i mechanicznego oczyszczania ulic. I to jest również słuszne rozwiązanie.

— Nie chodzi nam wcale o to, aby zwolnić służby komunalne z ich obowiązków — mówi Jerzy Janczak — ale musimy liczyć na pomoc ludzi, kierowników, przechodniów, mieszkańców dzielnicy. Aby miasto właściwie funkcjonowało trzeba liczyć na zrozumienie pewnych spraw przez swoich mieszkańców. Jeśli wprowadzamy pewne ograniczenia, to w interesie nas wszystkich. Śródmieście pełni przecież funkcje usługowe dla całej aglomeracji.

W koncepcji rozwoju Śródmieścia ma ono harmonijnie łączyć obie funkcje: być miejscem pracy i życia dla mieszkańców i aglomeracji. Muszą więc tu być mieszkania, sklepy, punkty usługowe, placówki kulturalne, rozrywkowe, hotele, restauracje oraz fabryki. Wprawdzie proces rekonstrukcji i modernizacji przemysłu łódzkiego zakłada wyprzedzenie wielu fabryk ze Śródmieścia, ale część z nich musi tu pozostać. Na przykład Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika przeniesiono z ulicy Ślenkiewicza na ulicę Milionową przy ulicy Promińskiego. A to nie jest jedyny przykład.

Co z pozostałymi fabrykami Śródmieścia?

I tu muszę odwołać się do referatu I sekretarza KD PZPR — Śródmieście, Tadeusza Lewandowskiego wygłoszonego na Konferencji Dzielnicowej.

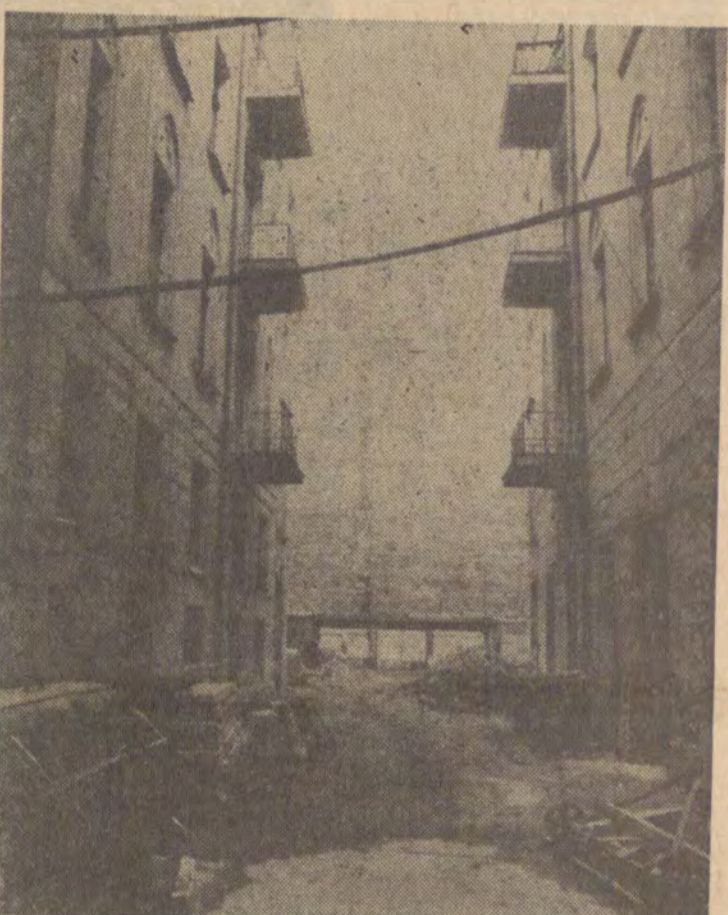


Foto: L. Włodkowski

szłość, aby wokół fabryk można było tworzyć tereny ochronne. Bo choć już w Śródmieściu nie ma zakładów uciążliwych dla mieszkańców, to przecież lepiej, jeśli domy nie będą sąsiadowały z hałasującymi przez całą dobę fabrykami.

— Nie można planować przyszłości Śródmieścia — mówi Tadeusz Lewandowski — bez planowania rozwoju przemysłu. Śródmieście nie może istnieć bez klasy robotniczej. Ona jest przecież siłą napędową wszystkich procesów politycznych i społecznych.

Jest też Śródmieście centrum kulturalnym miasta i aglomeracji, albo — jak się to niepostrzeżenie określa — zagłębieniem kulturalnym. Tu są teatry, kina, związki twórcze, kluby, stowarzyszenia, wydawnictwa, tu koncentrują się środki dyspozycyjne środowisk twórczych. A ma ich Łódź niemało i powinny one spełniać niebagatelną rolę. Czy spełniają?

— My często mówimy o warunkach rozwoju kultury, ale nie mówimy o tym, co się dzieje w mieście — powiada Tadeusz Lewandowski — jakby to były sprawy różne. A ja bym chciał w tym miejscu przypomnieć wiersz Jana Sztandynera pod tytułem „Do Łodzi”. Pochodzi on z tomiku „Pejzaż łódzki”, który otrzymałi wszyscy delegaci na XXI Dzielnicową Konferencję Partyjną:

„Kto Ciebie zna po wierzchu, niedbały przechodzień, Kto tylko przez Piotrkowską przewleka się co dzień, Ten niech nigdy o Tobie nie zabiera głosu, Bo nie zna Twojej zadumy, piękna i patosu. Topole tutaj pachną pod bokiem kominów,

Łódzka, aby była gotowa Galeria Sztuki. Potrzebne są nowoczesne kina. Ale istnieją określone warunki i gradacje potrzeb. Ludzie są niecierpliwi. Chcieliby wszystko od razu. A to jest niemożliwe.

Nie miałbym tej niecierpliwości ludziom za złe. Bo dla mnie jest w tym wielki ładunek optymizmu. Popatrzmy na miasto. Zmieniło się ono w ostatnich 9 latach znacznie. To już nie jest dawna Łódź. To już nie jest tylko dźwięk co do wielkości miasto. Zmieniła się baza i — można powiedzieć — za bazą nie nadają nadbudowa. A ludzie, którzy widzą ten wielki wysiłek — jaki włożyliśmy wszyscy w przebudowę Łodzi, chcieliby, aby też inni wiedzieli o tym, co się w Łodzi i o Łodzi tworzy. A zdarza się i tak, że środowiska do tego powołane, bardziej są zajęte swoimi partykularnymi interesami, niż „sprzedawaniem łódzkiej przemian” na zewnątrz. I to budzi zwątpienie, niewiarę w siłę łódzkich środowisk twórczych. Być może jest to sąd nie zawsze sprawiedliwy, ale przecież oparty na pewnych przesłankach. Czy dzieje się to aby zawsze bez naszej winy?

— Mamy uspaniałoty aktywo — mówi Tadeusz Lewandowski — twórczy, myślący, zatroskany o naszą wspólną przyszłość. Staramy się kształtować tak nasz program, aby nikt w przyszłości nie musiał się za niego wstyżać, bo tworzymy z myślą o tym, co będzie, jak ludzie będą żyli w najbliższych i dalszych latach. Tak, by ci, którzy przyjdą po nas mogli również tworzyć z myślą o przyszłości.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ODGŁOSY 3



# OCHRONA ŚRODOWISKA

Dalszy ciąg ze str. 1

A więc w kontrolowanej części Pilicy są wody najgorszej klasy. Jeśli nawet nie obejmują do Zalewu Sulejowskiego, to przecież Pilica do tego zalewu wpływa, z wód Pilicy Zalew Sulejowski uczyniono. A poza tym Zalew Sulejowski jest systematycznie podtruwany.

3.

— To się jeszcze zobaczy — powtórzył kierownik Mączka i odszedł. Nie było dla niego wątpliwości, że to leśnicy brali wodę do rozpuszczania „lasochronu” i zatruli Tręstę. Śmierdziała ona tak samo paskudnie, jak „lasochron”, którym leśnicy przyskali drewno, jak śmierdziała woda w stawach, po których pływały śnięte pstragi.

Sprawa była jasna. — Leśnicy muszą nam zapłacić za to, co zniszczyli — powiedział kierownik Mączka i zawiadomił władze zwierzchnie o stratach poniesionych za sprawą leśników.

— Czy aby pewnie, że to oni? — pytało kierownika Mączkę. — A kto mógł to zrobić inny? Nawet raki w rzecze podychały. Myślimy tylko ryby w trzech stawach uratowali. Reszta poszła do ziemi. Wszystko teraz trzeba zaczynać od nowa. Niech płacą, choć ryby to i tak już nie uratuje. Nauczą się przynajmniej szanować przyrodę — pleklili się kierownik.

Ale sprawa nie była wcale taka jasna.

W województwie piotrkowskim jest 90 milionów metrów sześciennych ścieków, które wymagają oczyszczenia. Oczyszcza się 82 miliony m sześciennych, 12 milionów biologicznie, 8 milionów m sześciennych nie oczyszcza się w ogóle. Ale jeśli nawet ścieki są oczyszczane, to nie zawsze dokładnie, nie zawsze można uniknąć awarii, nie zawsze oczyszczalnie pracują jak należy.

Wiele kłopotu przysparza Polskiemu Związkowi Wędkarskiemu oczyszczalnie ścieków w Piotrkowie Trybunalskim.

— W 1976 roku ktoś otworzył zastawę i wpuścił ścieki do zalewu powodując straty na przeszło 400 tysięcy złotych.

— W 1977 roku pękł zbiornik ze ściekami. Straty wyniosły około 56 tysięcy złotych.

— W 1978 roku tylko niewielkie ilości ścieków dostały się do wód Zalewu Sulejowskiego nie powodując większych strat.

— W maju 1979 roku zatruto Luciążkę i około 200 ha wód Zalewu Sulejowskiego. Straty wyniosły 900 tysięcy złotych.

Co to znaczy straty wyniosły tyle a tyle?

To znaczy, że PZW szacunkowo określił wartość wytrutych ryb. A nie są to przecież straty wymierne. Bo bywa i tak, że nocą, w czasie deszczu, w czasie śnieżyca, wypuszcza się po cichu ścieki do wody, a te

będąc cięższe od wody opadają na dno, gdzie właśnie jest ryba. Ryba się podtrująca. Szkody niestety nie ma, a przecież ryba choruje i ginie. Straty są nieodwracalne, a nie wymierne. Ginie bowiem też wszelkie życie w zatrutej wodzie, ale ginie powoli, niespostrzeżenie. Nikt takich szkód nie wycyzy i nie pokryje strat.

5.

Rozpoczęło się śledztwo. Leśnicy twardo trzymali się przy swoim, że to nie oni, że to nie

6.

Prokuratura Wojewódzka w Piotrkowie Trybunalskim przeprowadziła kontrolę urządzeń oczyszczających ścieki w 27 fabrykach i stwierdzono, że wszędzie występują nieprawidłowości i często ścieki idą do wody. A robi się to — jak już wspominałam — najczęściej pod osłoną nocy, w deszcz lub za dymką śnieżną, aby możliwość wykrycia sprawy była minimalna, aby uniknąć odpowiedzialności. Bo robi się to świadomie. I tu właśnie doszliśmy

„Z uwagi na szczególną doniosłość problemu społeczno-gospodarczego jakim jest ochrona środowiska naturalnego zarządzą rozpoznanie na sesji sygnalizacyjnej sporu w sprawie oznaczonej nr Łd. 1448/79 z wniosku Międzyokręgowego Zespołu Gospodarki Rybacko-Wędkarskiej PZW w Łodzi przeciwko Okręgowemu Zarządowi Lasów Państwowych w Łodzi o kwotę 348.300 zł dochodzącą przez wnioskodawcę tytułem odszkodowania za zatrucie ryb w stawach hodowlanych w wyniku przedostania się do rzeki

8.

— Co to za bajdurzenie o czystości wód — denerwował się znajomy wędkarz. — Może jeszcze w niektórych jeziorach jest czysta woda. W rzekach to już jej dawno nie ma, bo nie ma oczyszczalni ścieków. Ale i wtedy, kiedy będą oczyszczalnie, to też nie będziemy mieli czystych wód, tylko wody oczyszczone. Proszę popatrzeć, co się dzieje z rybą. Jest jej coraz mniej. Już nie można uświadczyc świnki, brzozy, certy. I to nie tylko dlatego, że ryby się systematycznie podtrują, ale dlatego, że w zatrutej wodzie ikra się nie rozwija. Nie ma narybku. Związek Wędkarski stara się zarybić rzeki, ale to półśrodki. Walczy o czystość wód, ale to już nawet nie półśrodki. Bo to niby naturalne, że jak chcesz odпочыwać z wędką nad wodą, to musisz mieć pewność, że tam, w tej wodzie, coś pływa. Jaki sens siedzieć z wędką nad martwą wodą. Ale to tylko z pozoru tak wygląda. Tu przecież chodzi o coś zupełnie innego. Czasem nawet dyrektor, który sam jest wędkarzem, musi świadomie truć pobliską rzekę, gdyż nie ma innego wyjścia. Rolnik musi opylać kartofle, bo mu je zżera stonka. Sympie sztuczne nawoży, bo chce mieć dobre plony, a to wszystko powoli uszcza się do rzeki, zatruta woda, wywołuje nieodwracalne zmiany w środowisku. O to chodzi. I dlatego starania wędkarzy mają sens większy niż egoistyczne dbanie o własną przyjemność. A gdzie te czyste wody, które są nieodzownym składnikiem naszego środowiska, naszej przyrody? Gdzie one są? Może jeszcze w niektórych jeziorach... Może. Ale coraz więcej wokół nas wody zatrutej.

9.

5 listopada 1979 roku zasiedli przy jednym stole wędkarze, przy drugim leśnicy i zaczęli przedstawiać swoje racje o tym, co się zdarzyło 17 lipca 1978 roku nad rzeką Tręstą.

Fakt był bezsporny. Wytruto ryby.

Siedząca pośrodku wysoka komisja arbitrażowa miała odpowiedzieć na pytanie: kto to zrobił?

Kierownik Mączka zastał leśników, którzy niedaleko Tręsty opryskiwali sągi drewna „lasochronem”. To fakt. Ale ktoś inny mógł też używać jakiejś silnej trucizny i zatrucią nie rzekę. Na przykład jakiś rolnik mógł opylać ziemniaki. Czy mogło tak się zdarzyć?

Na to pytanie odpowiedział biegły, który orzekł, że w pobliżu nie ma pól uprawnych, a na tych, które są nie ma ziemiaków.

A więc leśnicy. Trzeba im to jednak udowodnić. Nad Tręstą ustanowiony jest pas ochronny i są tabliczki, które o tym informują. Leśnicy brali jednak mimo to wodę z rzeki do rozpuszczania „lasochronu”.

— Braliśmy — przyznali leś-

nicy — ale co to ma do rzeczy? Okazało się, że ma. W czasie pobierania wody, kiedy pompa zamykała jej dopływ, część wody wraz z „lasochronem” wypływała do rzeki.

— I to miałoby zatruci ryby? — dziwili się leśnicy. — Taka ociepinka?

Okazało się, że zatrulo, że życie zamarło w Tręście od miejsca, gdzie opryskiwano drewno do miejsca, gdzie pobiera się wodę do stawów hodowlanych. — Opryskiwanie — mówił przedstawiciel nadleśnictwa w Opatowie — jest konieczne. To też forma ochrony przyrody. Dawniej drewno korowano. Teraz nie ma kto tego robić, więc opryskujemy. Ale nie tylko my stosujemy chemiczne preparaty trujące. Inni też, a nas się pościaga do odpowiedzialności. Dlaczego jedno działanie ochraniające przyrodę jest dobre, a inne — nie?

Okręgowa Komisja Arbitrażowa w Łodzi uznała winę leśników i zarządziła, że mają wpłacić wędkarzom 279.900 złotych z tytułu odszkodowania za zniszczoną rybę. Pozwanym przysługują prawo odwołania się do Głównej Komisji Arbitrażowej.

Po czym zarządono przerwę.

10.

W przerwie ktoś mi szeptał że leśnicy nie tylko brali wodę do rozpuszczania „lasochronu”, oni potem jeszcze w rzecze plukali zbiornik i pompę. Ale nie chcieli się do tego przyznać. A w ogóle to „lasochron” nie był atestowany i diabeł tylko wie, jaka to w końcu trucizna i jakie skutki może mieć jej stosowanie. Ta druga wiadomość potwierdziła się w dyskusji, jaka rozpoczęła się po przerwie.

11.

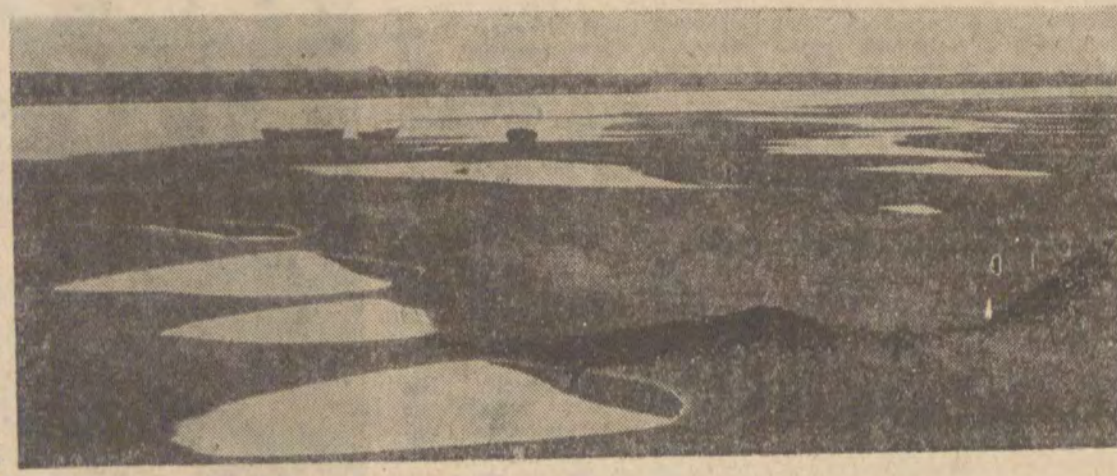
Po przerwie zaczęła się dyskusja nad meritum sporu, ale nie chodziło już o to, kto jest winny, tylko, co robić, żeby się takie trucie środowiska nie zdarzało. Leśnicy mówili o tym, że oni musieli ratować drzewo, że gdyby tego nie robili, to leśnictwo poniosłoby straty znacznie większe niż ponieśli wędkarze. Przepisy zabraniają opylać czegokolwiek w strefie ochronnej, a taka istnieje nad Tręstą. I przepisy nakazują ratować drewno niezależnie od tego — gdzie ono jest. Jak więc postępować?

Wędkarze na to, że opryskiwanie truje nie tylko ryby, ale na opryskiwanie ptaki. Zie ptak podtruta gasienicę i sam się truje. Ze gdzieś tam zbuntowano orwyskali i niszczyli mech, grzybnie. Nigdy już w tym lesie nie będzie mchu i grzybnie, że straty z takiego chronienia lasów są większe niż to można wyrazić w pieniądzu.

Leśnicy na to... Wprowadzić dyskusja na sesji arbitrażowej zakończyła się ale trwał nadal wokół nas wszystkie i zatrucie środowiska też trwa.

BOGDA MADEJ

## GDZIE WODA CZYSTA?



Fotografia przedstawia widok na Zalew Sulejowski, z ciemnym brzegiem w pierwszym planie i spokojną powierzchnią wody w tle.

ich sprawa. Rybacy twardo obstawali przy swoim, że to leśnicy zatruli życie w Tręście i poturli ryby w stawach. A jeżeli w jednej sprawie są dwa stanowiska i każdy obstaje przy swoim, to nie ma innej rady, trzeba iść z tym do sądu. Sądem dla przedsiębiorstw państwowych jest Państwowy Arbitraż Gospodarczy. A dla przedsiębiorstw które znajdują się w województwie piotrkowskim właściwą jednostką jest Okręgowa Komisja Arbitrażowa w Łodzi. I wędkarze wnieśli tam pozew przeciwko leśnikom.

7.

Rozprawę arbitrażową wyznaczono na 5 listopada 1979 roku. 16 października 1979 roku prezes Okręgowej Komisji Arbitrażowej w Łodzi — mgr Tomasz Chwiakowski podpisał następujący dokument:

Tręsty preparatu „Lasochron”, używanego przez podległe stronie pozwanej Nadleśnictwo Opatowie do opryskiwania drewna.

Celem sesji, oprócz rozpoznania sporu, będzie ustalenie przyczyn przedostania się wymienionego preparatu do rzeki oraz spowodowanie podjęcia działań zmierzających do wyeliminowania podobnych uchybień w przyszłości.

Słowem nie tylko rozstrzygnięcie sporu, ale i zapobieżenie takim wypadkom na przyszłość. Sesja zapowiadała się ciekawie.

# PRAWO I ŻYCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

duży postęp w dziedzinie ochrony praw obywatela. Tak, właśnie tak! Wbrew pozorom i podejrzeniu. Okólnik bowiem w sposób jednoznaczny nadaje wyższą rangę wyjaśnieniom obywatela, które w takim przypadku podlegały dotychczas pewnym dowolnościom. Teraz natomiast wyjaśnienia składane przez stronę na temat poniesionych wydatków i źródeł ich pokrycia traktowane są na równi z normalnym zeznaniem podatkowym.

— Po tych wyjaśnieniach, proszę powiedzieć dokładnie, o czym traktuje okólnik.

— Przedmiotem jego zainteresowania są dochody obywateli, ustalone na podstawie znanych zewnętrznych, wyrażających się w ponoszeniu znacznych wydatków, które świadczą z kolei o dochodach nie znajdujących całkowitego lub częściowego pokrycia w ujawnionych źródłach. Postępowaniem podatkowym będą, zatem obejmowane przede wszystkim osoby prowadzące wystawny tryb życia, lecz nie posiadające ujawnionych źródeł dochodów, na przykład nie pracujące zawodowo lub otrzymujące wynagrodzenie, którego wysokość pozostaje w jawnej sprzeczności z wydatkami.

— Intencje zatem jakie przywlewały wydanu tego okólnika nie powinny chyba wzbudzać szczególnych wątpliwości, różnie przecież coraz bardziej niezadowolone społeczeństwa z faktu, że spora grupa obywateli, mimo iż „ni sieje, ni orze”, żyje w dostatku. Ludzi trwają to, iż wydatki niektórych obywateli absolutnie nie pokrywają się z ich statusem społeczno-zawodowym, a więc i z ich legalnymi, ujawnionymi dochodami. Nasuwa się tu jednak pytanie, czy intencje nie rozważa się w praktyce? Czy okólnik dotknie właściwych ludzi?

— Przeważająca większość naszego społeczeństwa pozostaje całkowicie poza zasięgiem zainteresowania okólnika. Jest on przecież wymie-

rzony przeciwko stosunkowo nielicznej grupie ludzi, których — co sobie powiśleliśmy — dochody czy zarobki rozciągają się w sposób jaskrawy ze standardem życia. Podkreśliśmy jeszcze raz, że okólnik w sposób jednoznaczny chroni obywatela. Nie ma tu w ogóle mowy o jakimkolwiek zaczynaniu ferowania wyroków, o dowolnym nakładaniu podatków. Nie tu się nie będzie działo bez wiedzy głównego zainteresowanego, którego wyjaśnieniom nadaje przecież okólnik tak wysoką rangę. A zatem — w niewinnych nie uderzy na pewno.

— Czy jeśli zawistny lub złośliwy sąsiad złoży na mnie donos do Wydziału Finansowego, spowoduje tym samym wszczęcie postępowania wyjaśniającego?

— W środowisku wielkomiejskim jedną z reperkusji kłótni czy niesnasek między sąsiadzkimi bywają też, owszem, donosy, anonimy. Materiał taki ma jednak z reguły charakter wątpliwy, przed co oceniany jest szczególnie krytycznie, poddawany ostrej selekcji i wnikliwej analizie.

— Przyjmijmy zatem założenie, że okólnik nie jest groźny dla osób pracujących solidnie i uczciwie zarabiających. Czy można jednak niekiedy a priori przesądzić o zaklasyfikowaniu do tej kategorii obywateli cichych grup zawodowych czy społecznych? Tak jak czyni to okólnik? Jego ustę 3 głosi przecież:

„Nie należy wszczynać postępowania w omawianym trybie co do pochodzenia środków pieniężnych: 1) a kupno lub budowę domu mieszkalnego, kupno innej nieruchomości (...), jeżeli wydatki te zostają poniesione przez osoby zatrudnione w gospodarce społecznej, przez osoby wykonujące działalność twórczą i artystyczną, a także przez osoby prowadzące gospodarstwo rolne, w na uruchomienie działalności w zakresie: rzemiosła, gastronomii, usług hotelarskich i usług transportowych oraz na nabycie gospodarstwa rolnego, a także na inwestycje w tych rodzajach działalności.”

— Ustęp ten podyktowany został słusznymi racjami. Chodzi o zapobieżenie sytuacji, w której każdy, kto kupi sobie samochód, dom, dach, mieszkanie czy też uruchomi zakład rzemieślniczy — nie musiał się „spowiadać” przed

Wydziałem Finansowym ze swych dochodów.

Pobory każdego pracownika gospodarki społecznej są — pośrednio czy bezpośrednio — opodatkowane. Przecież artyści czy twórcy, którzy udają się więcej zarobić, płacą podatki w równowadze, a rzemieślnicy — podatki od swych obrotów, itd. Do tego zwrócić uwagę, że w następnym ustępie okólnik stwierdza, że: „po-

kosztowna, bo daleko wykraczała poza jego legalne dochody?”

— Rozumiem tę wątpliwość. Sformułowania okólnika są rzeczywiście dość ogólnikowe. Dokumentujemy temu towarzyszą jednak szczegółowe instrukcje, które precyzują wszystkie ogólne stwierdzenia, nadając im konkretny kształt, zapobiegający dowolności interpretacyjnej.

„Nie ujawnione źródła przychodów” — kolejne wielce enigmatyczne sformułowanie. Dopowiedzmy so-

## KTO POWINIEN BAĆ SIĘ

stępowanie wyjaśniające należy jednak wszczynać w stosunku do wszystkich osób, w tym również wymienionych w ust. 3, które poniosły wydatki na kupno lub budowę kosztownego domu mieszkalnego, kosztownego domu letniskowego, kosztownego samochodu, albo które w stosunku do krótkim czasie poniosły równocześnie wysokie wydatki na różne cele, np. kupno lub budowę domu mieszkalnego, kupno innej nieruchomości, nabycie od osoby fizycznej spółdzielczego prawa do lokalu typu własnościowego, kupno lub budowę domu letniskowego, kupno samochodu, biżuterii, futer, dzieł sztuki oraz na inne wydatki konsumpcyjne w znacznej wysokości.”

— Zgadza, lecz jeśli jakiś pracownik gospodarki społecznej poczyni inwestycje, które nie zostały wprawdzie opatrzone mianem kosztownych, dla niego jednak, w jego sytuacji materialnej — są więcej niż

blisko końca, o jakie pieniądze tu chodzi, z jakich pochodzące źródła?

— Przykład pierwszy z brzegu. Ktoś — powiedzmy — dostaje spadek, lecz go nie legalizuje, chcąc doczekać się przedawnienia, aby uchylić się od zapłaty podatku.

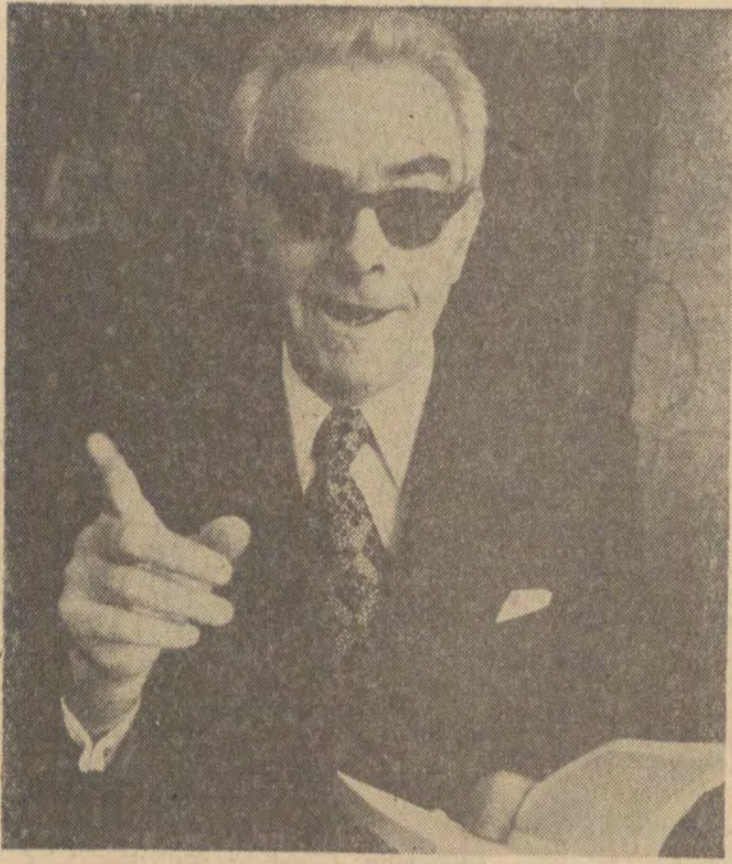
— A więc próbuje oszukać państwo?

— Można to tak nazwać. Ktoś inny — wykorzystując koniunkturę na jakimś tam wyrób — stosuje cenę umowną wielokrotnie przewyższającą koszt produkcji. W efekcie w krótkim czasie „dorabia się” majątku, od którego ani myśli zapłacić odpowiedni podatek.

— Tak chyba było z ostatnimi sukienkami z farbowanej „w zacięki” pieluchowej tetry, które prawie każdy prywatny „boutique” sprzedawał po absurdalnie



STANISŁAW JEŻ



„Prawdziwie polski los, który widzę teraz wyrażacie nie tylko na przykładzie kolegów z partyzantki, ale nawet własnej rodziny”  
Foto: R. ŁUCYSZYN

Uświadamiam sobie nie tylko pod wpływem rocznicowych lektur, których tak wiele ukazało się w ostatnim czasie, że trzydzieści pięć lat mego powojennego życia związa-nych jest z Łodzią, gdzie przyby-łem w listopadzie 1945 r. Widzę siebie teraz paradującego w munda-urze, tamtej jesieni, po ulicach nieoczekiwanie wielkiego miasta. Uciekły strzały frontu, ale żar wojny nie wygasł do końca, a czym jest wojna wiedziałem, choć zaskoczyła mnie, gdy miałem trzynaście lat.

Pochodzę z Lubelszczyzny. Ojciec mój był robotnikiem rolnym w majątku Rudzieniec, należącym do księcia Czetwertyńskiego. Jedynym bogactwem ojca były dzieci, miał ich dwanaścioro; siedmioro było młodszych ode mnie.

W życie wchodziło się wcześniej. Pracowałem od ósmego roku życia, nosiłem wodę dla spragnionych chłodu żniwiarzy, spowizłem kosiarką, wycinałem chwasty w sadzie, zbierałem oporki. Sposobiono mnie na formala, to była naturalna droga awansu syna parobka. Pamiętam, że do mego ojca przyszedł pewnego razu jakiś mężczyzna w kracastej koszuli, o którym folwarcznik mówił: delegat, ale nikogo nie zaangażował, bo na wsi było przynajmniej co zjeść, gdy w mieście trudno było o jakąkolwiek pracę. A ojciec, który musiał wykarmić czternaście gęb, do żadnej organizacji nie należał.

Potem przyszli Niemcy i folwark zmienił nazwę na Liegenschaft, przeszedł na własność Rzeszy.

W życie wchodziło się wcześniej, ale to okupacja uczyniła mnie dojrzałym. Zetknąłem się wówczas z uciekającymi z niemieckiej niewoli radzieckimi żołnierzami. Pamiętam do dziś kawalerzystę Arka-

dego Zorowa pochodzącego z Kłiszczy, gdzie był buchalterem. Opowiadał o sobie, że gra na białym bawianie.

Rosyjskiego nauczyłem się od Iwana, który nosił nazwisko Tre-szczenko albo Jaszczuk, bo przed-stawiał się rozmaicie. Obdarzony był fantazją, więc wszyscy go lu-bili. Kiedy wpadł w ręce Niem-ców, którzy chcieli go rozstrzelać, policjant granatowy ubłagał ich, albo przekupił i od tej pory Iwan przemieniony w Janka pracował przy bydło.

Jeszcze jedno wspomnienie: pła-nący folwark. W nocy, chyba w roku 1943, przyszli partyzanci.

W styczniu 1944 Niemcy wywie-źli mnie w pobliże Majdanka do obozu Baudienstu. Niektórym wię-źniom rodziny przysyłały pacz-ki, ja byłem zdany wyłącznie na siebie. Po trzech tygodniach tego nieźnośnego życia zacząłem sobie szukać partnera do ucieczki i mój wybór padł na Zdzisława Wachu-likę, z którym zdążyłem się zaprzyjaź-nić. Postanowiliśmy wspisać się na wyspiśko śmieci obok obozowej latryny, zarzucić na druty fufajkę i w ten sposób wyostać się na wolność. Zdzisiek Wachulik ukradł z jakiegoś podobozu SS dziesięć szpilek nici (wszystko, co daowało się wymienić, stawało się bezcenna walutą) i o trzeciej nocy ranem przeszliśmy przez trzymetrowy płot. Za obozem znajdował się dom komendanta, gdzie także czatowali wartownicy. Wpadliśmy w ręce Ukraińca Manturuka. Zdzisiek ofie-riował mu nieć, po pięć szpilek za jedno życie, ale Manturukowi wy-dał się to za małą cenę. W każ-dym jednak razie nie uszczęśli-łarum i kiedy pertraktowaliśmy (ży-cie ludzkie było widać kwestią ce-

ny, nie moralności), udało mi się zaskoczyć wartownika. Wyrwałem mu z ręki karabin i przerzuciłem broń za płot. Zgłupiał. Pobiegł do obozu szukać swojej broni. Zaczę-łismy panicznie uciekać, byle da-lej i ukryliśmy się w jakiejś dre-wutni. Kiedy minęła godzina polity-cyjna, wczesnym rankiem, niemal w zupełnych ciemnościach, posta-nowiliśmy iść do wuja Zdzisława. Droge wskazywały nam szyny kole-jowe.

Te trzydzieści pięć kilometrów przebyliśmy zupełnie wyczerpani, w doszczętnie poszarpanych ubra-niach. Nakarmiono nas u wuja Wachulika, ogrzaliśmy się, a po-tem z worków uszyliśmy sobie spodnie.

I znowu w drogę. Zablądziłem w lesie, jacyś ludzie pomogli nam wyostać się ze śniegu, aż dotar-łem do mego chrześniego ojca, leś-niczego. Do domu wracać nie mo-głem, bo tam szukali mnie Niemcy.

Po jakimś czasie do leśniczego przybył oddział partyzantki, gdzie nieoczekiwanie spotkałem swego znajomego, Tadek Zakrzewskiego, który przyjeżdżał do Rudzienca na wakacje. Jego rodzice mieli przed wojną pod Włochami jakąś fab-ryczkę marmolady. I Tadek mnie zaprotegował. Dzięki niemu dosta-łem się do oddziału AK. Nie miałem wtedy jeszcze osiemnastu lat, ale politycznie byłem jeszcze większym gołowosem, najważniej-sze, że przestałem być bezbronny, spotkałem zwyciężonych ludzi.

Ze względu na wiek skierowano mnie do szkoły podoficerskiej AK i znalazłem się w plutonie szkol-nym Jurka „Kruka”. Nauką była walka, przede wszystkim walka. Brałem udział w akcjach pod wsią Olszewnicą, pod Chorzejową Wólą, a szczególnie zapadła mi w pamięć wieś Szczakły, nasz punkt wypadowy na Międzyrzec Podlaski, który mieliśmy zdobyć w ramach planu „Burza”.

W nocy zakwaterowaliśmy się na kolonii, siedzieliśmy cicho nie zdradając swej obecności. Nagle alarm: Niemcy. Kawalerzyści. Byłem pier-wszym amunicyjnym przy karabi-nie maszynowym MG-43, który w naszym partyzanckim języku nosił nazwę „suka”. Ze niby taki szcze-klawy. Dobry karabin, celny, tylko czuły na piasek, wymagał idealnej czystości.

Słyszemy galop, zza pagórka wy-lantają się Niemcy. Pierwsi otwie-ramy ogień. I Niemcy rzucają się do ucieczki. Nie wiedzieliśmy na-wet, że znaleźli wyjścia z okrąże-nia. Rzuciliśmy się w pościg przez zboże. I tak, w pościgu za Niemca-mi, spotkaliśmy Rosjan. Nikt się ich tutaj nie spodziewał i w pier-wszej chwili sądziliśmy, że mamy do czynienia z Własowcami. Ale nagłe rozległy się radosne okrzyki: „Zdrastujcie, partyzany”. Żołnierze radzieccy zaproponowali nam złożenie broni i wstąpienie do polskiej armii, bo na wyzwolonych terenach ogłoszono mobilizację.

Piszę o tym tak szczegółowo, bo mój przypadek jest chyba charak-teryistyczny dla całego pokolenia, które wcześniej musiało zakosztować smaku wojny, oglądało śmierć. W dojrzałość wkraczało się z mar-szu. Pełz splotami, ileż powitań, ileż decyzji przerażających zdol-ność rozumienia, ileż wyborów! Prawdziwie polski los, który widzę

teraz wyrażacie nie tylko na przy-kładzie kolegów z partyzantki, ale nawet własnej rodziny.

Z naszej rodziny, z rodziny for-nala u księcia Czetwertyńskiego, poszła do wojska trójka braci. Jed-en z braci zginął pod Tomaszow-em Lubelskim w czterdziestym piątym. Służył w wojskach we-wnętrznych. Nawet moja młodsza siostra uciekła do armii. Bo wal-ka to był naturalny odruch mojej generacji, której wojna zabrała beztrzęsłą dzieciństwo.

Do polskiego wojska nie chciano mnie przyjąć. „Jesteś małoletni”, mówili, i nie pomogli tłumaczenia, że walczyłem już w partyzantce. Żądał zezwolenia od ojca. Gdzie go miałem szukać, harając się na wędrowkę po niepewnych, wojen-nych drogach. Na szczęście mój brat miał znajomego z PPR, który zaprotegował mnie do milicji. Znalazłem się w plutonie opera-cyjnym. Przebieirańczy, dzieci. Kie-dy mój dowódca zobaczył, że znam musztrę, której nauczyłem się w oddziale AK, postanowił postać mnie na kurs, po którym miałem stać się inteligentem. Trafilem do Radzyna, gdzie zostałem instruk-torem. Jakiś pacykarz wymalował nam w świetlicy orla i od ra-zu poczuliśmy się ważni. Wyku-wałem na pamięć konspekty i mó-wilem do kursantów o ustrojach społecznych. W maju czterdzieste-go czwartego awansowałem na ka-prała, w październiku byłem już plutonowym. Walczyliśmy z banda-mi UPA, szczególnie aktywni na tym terenie, wygłaszaliśmy ostatnie pomyki wojny, były ofiary. W Ło-dzi, gdzie trafiłem do Szkoły Ofi-cerów Polityczno-Wychowawczych MO — awansowałem na chorążego. Tylko sześciu na cały batalion wy-różniono w ten sposób.

A więc Łódź. Niebezpieczne, ale jakie ciekawe czasy. Człowiek czuł, że się znajduje w samym centrum życia. Ryzyko się nie liczyło, było w kalkulowane w życiorys, a ży-ciorys był typowo wojenny. Ode-rwani od rodzin, od miejsc wrodze-nia, jakże my lubiliśmy wtedy śpiewać. Ten śpiew nas jednoczył.

Zbliżało się referendum, podzie-lono nas na trójki. Wystę-powałem na spotkaniach z ludźmi, agitowałem, wygwyżdwa-no mnie, znowu brałem udział w jakimś wiecu. Ale był w tym wszystkim niepojęty romantyzm. Zamieniał z kolegą parabellum na wisa.

W grudniu 1947 roku, kiedy zbli-żyły się wybory do Sejmu Ustawo-dawczego, rozdzielono nas i pocy-sytano do najbardziej zagrożonych województw. Mnie wysłano w Kra-kowskie, gdzie wciąż jeszcze dzia-łały bandy „poogniowe” (od naj-głośniejszego „Ognia”, którego opi-sał Władysław Machejek w powieści „Rano przeszedł huragan”).

Znowu szybko awanse. W lutym 1947 r. zostałem podporucznikiem i zamieniał stanowisko zastępcy dowódcy kompanii na wykładow-cę do spraw polityczno-wychowawczych. 22 lipca 1948 roku by-łem już porucznikiem i starszym wykładowcą. Płacono mi niewiele, ale otrzymałem deputat: 1,5 l wód-ki, 2 l wina, 30 jajek, 3 kg kon-serwu rybnych i tyleż mięsnych, 3 kg masła, 3 kg biszoptów. Co pół roku otrzymywałem kupon wełny na garnitur i raz w roku

kupon materiału na jesionkę. Po-łowe z tego oddawałem gospodyni, u której odnajmowałem pokój.

Od czterdziestego ósmego roku byłem także lektorem partyjnym, jeździłem na konferencje wydawa-ło mi się, że dokonuję czegoś wiel-kiego i ważnego. W czterdziestym dziewiątym upomniał się o mnie mój życiorys, bieg życia wyrzucił mnie na zakreście historii. Przeży-wałem to tak bardzo, że przez trzy tygodnie nie wychodziłem z domu, żeby ludzie nie oglądali mojej smutnej twarzy.

Podjąłem pracę w „Ruchu”, a po upływie pół roku skierowano mnie na uniwersyteckie studium przygo-towawcze — interweniowali dzia-lacze ZMP. Po dwóch latach fi-tensyjnej nauki wstąpiłem na wydział historii. UŁ. I od nowa od-nazłem się w życiu społecznym: zaproponowano mi, żebym został instruktorem ZMP dzielnicy uni-wersyteckiej. Na trzecim roku stu-dium prof. Jan Mujzał agitował mnie do siebie na zastępcę asy-stenta. Ale zwyciężyła prof. Wero-nika Kowalska i w ten sposób tra-filem do katedry marksizmu.

Po październiku trafiłem do Cen-tralnej Szkoły Partyjnej i nastę-pnie, nie zrywając kontaktu z ucze-lnią, trafiłem do ośrodka szko-leńia partyjnego dla dzielnicy Śródmieście w Łodzi. Potem wy-brano mnie sekretarzem propaga-ndy komitetu dzielnicowego. Byłem wtedy jednym z nielicznych dzia-laczy posiadających wyższe wy-kształcenie. W lutym 1960 roku przeszedłem do pracy w ZMS i zo-stałem I sekretarzem KŁ ZMS.

To była także ciekawa praca, spotkałem się z młodzieżą robot-niczą, w niektórych rozpoznawa-łem synów chłopskich jak ja, sta-ram się przyciągnąć do organi-zacji młodych twórców i wydalim-y, ciekawą jako zjawisko lite-rackie do dziś, jedynodniówkę „Z tej strony” podpisaną przez grupe „Nowa linia” i KŁ ZMS. Ale czu-łem się już stary. Nie wiekiem. Raczej doświadczeniem. A kiedy nie mogłem przeformować budowy w Łodzi Pałacu Młodzieży, poszed-łem do Tadeusza Głogowskiego i zwie-rzyłem się z chęci powrotu do mi-licji. Poparł mnie sekretarz KŁ Marian Kuliński.

I udało się. Zostałem starszym wykładowcą wydziału społeczno-politycznego. Awansowałem mnie później na kierownika katedry. Pracowałem także, do roku 1974 jako naczelnik wydziału prewencji i ruchu drogowego Komendy Łódzkiej MO.

Wracając z pogrzebu szwagra uległem wypadkowi. Brat, który prowadził samochód, zmarł. Ja uszkodziłem sobie nogi i od tej pory choruję na rękę kulzową, która niekiedy tygodniami nie pozwala mi wyjść z domu. Na do-datek osłabił mi się wzrok, który podniszczyłem sobie już w dzie-ciństwie, kiedy czytywałem wie-czornami używając zamiast lampy odblasku śniegu.

Ale nie podaję się jeszcze. Jestem lektorem partyjnym, działam jako zastępca rzecznika Komitetu Kontroli Społecznej w dzielnicy Górna. Nie czekam na medale i odznaczenia, choć ich dostatek w swoim życiu nie miało. Należę bowiem do pokolenia, dla którego życie oznacza pracę i działanie. Innej drogi po prostu nie znam.

enie, nabijając w przysłowiową butelkę nie tylko klienta, lecz również i państwo, bo przecież winien uiszczyć odpowiedni podatek.

— Tak, teraz właśnie to robi. Gdyby swoje przychody zgłosił w porę, na pewno skorzystałby na tym. Pozostając w kręgu podobnych spraw, musimy powiedzieć, że będziemy się starać, aby ci, co — na przykład — oficjalnie zatrudniają jedną szwaczkę, a nieoficjalnie wy-

śle pewnie do oddania w ręce milicji czy prokuratury, a nie — zaledwie — do okładania wysokim podatkiem.

— Zostało to powiedziane dość ostro. Rozu-miem, że dziennikarz ma prawo do pewnych przejawów krytyki, bo przecież reprezentuje opi-nię publiczną, którą — nie oszukujmy się — nurtują czy wręcz drażnią zaszykalizowane wyżej zjawiska. Wydział Finansowy nie może jednak zastępować czy wyreczać organów ścigania, nie ma po temu żadnych zresztą upraw-

o i względność. Ustawodawca celowo przyjął pewne minimum, którym obywatel może dysponować, nie wywołując żadnych podejrzeń ze strony organów administracji państwowej. Mi-nimum to jest zresztą stosunkowo wysokie — mamy przecież do czynienia z wyrażonym wzro-stem dochodów pieniężnych, ze wzrostem dobrobytu. Pamiętamy przy tym, że ludzie ciężko pracują i odkładają nieraz całymi latami, żeby dorobić się tej wymarzonej dachy, domku czy samochodu. Nas interesują tu tylko zbyt jas-krawe dysproporcje między dochodem a wy-datkami. Skąd o nich wiemy? Skąd będziemy wiedzieli? Oczywiście, nikt nie będzie chodził po domach, czy podpytywał dozorów lub sąsia-dów. Nie o to przecież chodzi. Wspomnieliśmy już o przepływie informacji. Źródła ich są róż-norodne: urzędy celne, biura notarialne. Do tego dochodzą informacje z takich organów, urzędów, instytucji, jak Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontrola Finansowa. A przecież ma-my też i własne informacje. Przykład: ob. Kowalski kupił „Mercedesa”, podczas składania wyjaśnień stwierdza, że m.in. sprzedał ob. Wiś-niewskiemu za 150 tysięcy złotych papierosnice. To jest dla nas informacja, to jest sygnał, że musimy sprawdzić czy ob. Wiśniewskiego stać na tak luksusowe wydatki.

— Okólnik opublikowany został 29 września. Co od tego czasu zdały już zdziałać służby podatkowe w naszym województwie?

— Wyjaśniliśmy już sobie, że proces ustala-nia dochodów na podstawie znamion zewnę-trznych jest procesem ciągłym. Ze zmieniała się nieco tylko hierarchia naszych zadań i powin-ności. Wprowadziliśmy trochę zmian organiza-cyjnych. Prowadzimy też intensywną działal-ność instruktażową. Rzecz bowiem w tym, że naszym pracownikom, którzy będą realizować okólnik nr 13, potrzeba nie tylko odpowiedniej dozy wiedzy i umiejętności, lecz i dużo taktu.

Postępowanie wyjaśniające musi być tak pro-wadzone, aby obywatel nie poczuł się dotknięty czy urażony. Stosować też musimy z należytą konsekwencją zasadę absolutnej dyskrecji. Procz głównego zainteresowanego, nikt, tak w miejscu pracy jak i w miejscu zamieszkania, nie powin-nien wiedzieć o prowadzonym postępowaniu. Rozmowy zresztą na temat naszych wątpliwości prowadzić będziemy u nas, w odpowiednio przygotowanych, nie krepujących dla wezwane-go — a raczej zaproszonego — warunkach. Da-lecy przecież jesteśmy od tego, żeby przysparzać ludziom zmartwień i przykrości, dawać im po-wody do irytacji i zdenerwowania.

— Nie zmienia to w niczym faktu, że przeciętny obywatel — nawet ten najuczciwszy, najsolidniejszy — może obawiać się, że ktoś zechce wykorzystać okólnik przeciwko niemu. Może obawiać się, że padnie ofiarą, jeśli nie nadzyszczy, to przynajmniej pomyśli. Cóż z tego, że wytumaczy się, że udowodni. A swoją drogą, czy to on powinien udowadniać swoją nie-winność?

— Wiemy skądinąd, że w wielu krajach każdy podatnik, włącznie z najbardziej szanowanymi obywatelami, składać musi zeznanie podatkowe, co nie jest dla niego ani zenujące, ani przykre, ani denerwujące, o ile nie ma czegoś na sumieniu. Wracając jednak na nasz grunt, zazna-czyć należy, iż stworzyliśmy system organiza-cyjny, który powinien wyeliminować pomyłki, nie mówiąc już o nadużyciach. O wszczęciu po-stępowania cacydować może tylko i wyłącznie dostatecznie obfity i pewny materiał informa-cyjny, obszerny zestaw danych. Dodatkową gwa-rancję stanowi fakt, że w przypadkach wątpli-wych postępowanie wyjaśniające wszczęte być może tylko na mocy osobistej decyzji dyrektora wydziału czy jego zastępcy. A przecież od po-stępowania wyjaśniającego do wymierzenia po-datku droga jeszcze daleka, skrupulatnie kon-trolowana i nadzorowana...

Rozmawiał: JACEK INDELAŁ

OKÓLNIKA NR 13

korzystują dwudziestu chałupników — również za to zapłacili.

— Słowem, pieniądze, którymi interesuje się okólnik, pochodzą w przeważającej większości z oszustwa, kradzieży, łapownictwa...

— Może za mocno to zostało powiedziane, aczkolwiek nie bez racji. Uściśliłbym jednak, że w wielu przypadkach chodzi tu o dochody, na które powinien być nałożony podatek, nie został jednak potrącony, gdyż...

— ...ich posiadacz nie uczynił tego w porę, próbował się od tego uchylić, a więc próbował oszu-kać państwo, próbował oknieć nas wszystkich. Osu-zstwo kradzież łapownictwo, spekulacja. Mamy jednak przecież tutaj do czynienia zaledwie z próbą złagodze-nia skutków, podczas gdy oczekuje się raczej sięgnię-cia do przyczyn, do korzeni zła. Przecież przeważająca większość ludzi, których dosięgnie okólnik, kwalifikuje

nień. Nie oznacza to jednak, że z organami tymi nie współpracuje i nie współdziała. Handlarz, udający turystę, doczeka się w końcu skreślenia pieczęci w dowodzie osobistym. Na pewno zaś nie skończy się na podatku wszędzie tam, gdzie wystąpi podejrzenie przestępstwa, gdzie środki zdobyte zostały w wyniku sprzecznej z prawem działalności...

— Wróćmy jeszcze do istoty okólnika: jak będzie on w praktyce realizowany? Skąd — na przykład — Wydział Finansowy będzie wiedział, że ja nie kupilem w ostatnim czasie żonie futra z norek i kołki z per-łami, a sobie — złotą papierosnicę z brylantami, że nie wyłożyłem ścian w łazience z marmurem, a przedpokój — modrzewiem?

— Zaczniemy od tego, że trudno wydatki obywateli ująć w formę taryfy kolejowej. Okólnik celowo zakłada pewną umowność



Leśny podaje mi ociosany klocek.  
— A teraz niech pan je poglądzi lekko palcami, posłuchajmy w dłoń i ocieplę tak, by ożyło i mówiło o sobie... I co pan czuje?  
— Nic... kawałek drewna — odpowiadam zakłopotany.

— Bo pan nie umie słuchać. A ja je biorę do ręki, słucham i już wiem, jakie ono jest. Co z niego da się zrobić.

Leśny przykłada drewno do policzka.  
— Trzeba także rozróżnić jego zapach. Chłodne pachnie inaczej i ogrzane w ręce też. Młode inaczej i stare, włókniste też ma inny zapach. Albo jak się rozrycha. Takie drewno też ma swoją woń i swój głos.

Zaraz po wojnie mieliśmy tu, w stolarni, jeszcze nie wykonane pomnikowe krzesła. Było tego z kilka tysięcy sztuk. Roboty wykończyć nie było komu, bo ludzi brakowało, to te krzesła tak trzeszczały, wydawały takie żałosne świsty, że kobiety bały się pracować. Mówiły, że to Niemcy tak straszą. Tak było...  
— Leśny kiwa głową na potwierdzenie słych słów. — A to, panie, drewno, wspominało się o sobie. By je skrócić, polakierować, by zaczęła robotę skończyć.

Bo drewno, panie, jak człowiek. Każde inne, mimo że podobne. Nawet, jak jest z tego samego lasu, z tej samej ziemi, z tego samego pnia. I każde ma swoją historię. Rodzi się i umiera, by żyć potem w innym świecie... A co to są trociny? Z prochu powstał i w proch się obrócić. Jeśli pan wierzący, to pan to zrozumie.

Takie jest credo Stanisława Leśnego, człowieka, który od ponad pół wieku ma do czynienia z drewnem, więc zna je jak mało kto. Zna je i czuje wszystkim zmysłami. I choć teraz jest na emeryturze i dorabia sobie układaniem parkietów, to przecież nie przestał być artystą. Miał siedemnaście lat, gdy rozpoczął pracę w „Świętego Wojciecha”. Poznańska firma wykonuje wnętrza kościołów. Ołtarze, ambony, lawki, organy, spowiednice. Sztukaterie, malowidła, ozdobne rzeźby w drzewie. Na Leśnego, jeszcze kiedy był w szkole, zwrócił uwagę nauczyciel rysunku, architekt Karwatka, który projektuje wnętrza kościołów. On to, poza szkołą, udzielał Leśnemu dodatkowych, bezpłatnych lekcji rysunków, on też, gdy Leśny kończył szkołę, zaimponował mu pracą w „Świętego Wojciecha”. Młody praktykant musi poznać i wczuć się w każdy styl: gotyk, renesans, barok — by najdrobniejszy szczegół, detal zaprojektowanego przez architekta ołtarza czy ambony, oddać wiernie w drzewie. Po dwóch latach już zastępuje mistrza i wykonuje samodzielnie większe prace, zaś po ośmiu jest już mistrzem. Lubi drewno. Coraz lepiej je poznaje, coraz bardziej rozumie. Do wojny zbudował 25 ołtarzy i tak trudne prace rzeźbiarskie jak Droga Krzyżowa (12 stacji), którą firma wykonywała dla jednego z kościołów łotewskich. Wojna zastaje go przy budowie kolejnego ołtarza. Przeciaga robotę, mając na plebanii bezpieczne schronienie. Proboszcz orientuje się, dlaczego Leśny podejmuje się dodatkowych czynności. Widząc jednak, że ołtarz i kościół tylko na tym zyskują, bez słowa przystaje na to przedłużanie prac.

W tym samym czasie, na Wołyniu, w miejscowości Tuczyń, 20 kilometrów od miasta Równe, spalony w czasie działań wojennych młyn, remontuje Jan Sobolewski. Jest jedynym w okolicy fachowcem-stolarzem, więc Rosjanie natychmiast kierują go do pracy. Chleba brakuje, dlatego dyrektor młyna, Szczerbakow, przynajmniej Sobolewskiego, by szybko zakończył robotę. Polak pracuje wolno, ale dokładnie. Budowa młyna to stolarka precyzyjna. Trzeba ciąć różne spady, uskoki. Wszystkie drewniane części muszą być idealnie spasowane. Toteż, gdy w 41. roku do Tuczyń wkraczają Niemcy, Sobolewski jeszcze nie zakończył prac.

W Matki Boskiej Gromnicznej, 2 lutego 1944 roku, Niemcy w popłochu opuszczają Tuczyń. Sobolewski jest akurat w kościele, gdy z powrotem widzi Rosjan i znajomego mu dyrektora Szczerbakowa. Ośmiem dni później jest już w armii, w 9 Samodzielnym Korpusie Telegraficzno-Ekspluatacyjnym przy sztabie Wojska Polskiego. Jednostka zabezpiecza sztabowy połączenie z linią frontu. Dowodzi nią Rosjanin, kapitan Łabanow.

Sobolewski do szkoły średniej zna biegle w mowie i piśmie rosyjski, więc trafia do kancelarii. Tłumaczy korespondencję dla dowódcy, wypisuje przepustki, zlecenia na zaopatrzenie, itp. Najpierw stacjonuje w Stiepanowce. Pierwsze ćwiczenia, teoria i poligon. Korpus przenosi się do miejscowości Kłwercze, gdzie organizowane jest zgromadzenie przed ofensywą. Przechodząc przez Równe wpada do domu, dowiaduje się o śmierci ojca. Nie może zostać na pogrzebie, bo musi iść dalej. Przez Lublin aż do Zielonki pod Warszawą. 1 sierpnia 1944 roku wybuchła powstanie warszawskie. Sobolewski widzi płonąca stolicę. Podejmuje decyzję. Kapral Jan Sobolewski nie chce siedzieć w kancelarii, chce walczyć, iść na front. Idzie na przeszkolenie do Szkoły Oficerów. Otrzymuje stopień chorążego i nominację na dowódcę plutonu w 14 Pułku Piechoty 6 Dywizji 3 Batalionu 8 Kompanii. W Pi- le spotyka Łabanowa.

Oj, Wanio, ty oficer! — ścisła go były dowódca i zaczyna płakać. — A wiesz ty, że twój następca, co po tobie przyszedł, nie żyje. Germanicy dom zaminowali i stano się. Zginął na zapleczu. A ty poszedłeś na front i żyjesz. Tobie widać śmierć nie pisana.

Sobolewski w te słowa wierzył. Bije się w pierwszej linii, nie zważa na kule, brawurowo prowadzi swój pluton do natarcia, bo wie, że tu właśnie jego miejsce. Walczy o Kolobrzeg, a po jego zdobyciu (jakie mieliśmy, panie wielkonośne świece w zdobycznych domach, to się w głowie nie mieściło. Stoły ustawione, orkiestra grała, zupełnie jakby się wojna skończyła) marsz na Siedmiogrodzie i forsowanie Odry. Sobolewski, jak wspomina o tym, to musi kielicha wypić, bo bez kielicha, panie, nie idzie o tym mówić. Tam też jest ranny, ale szczęśliwie, bo po tygodniu znów jest na pierwszej linii i prowadzi, wprawdzie jeszcze w bandażach, swój pluton. A potem część I Armii szturmującej Berlin, zaś jego pułk idzie na Oranienburg. Kanał Hohenzollernów, by dotrzeć do Łaby. Spotkanie z Amerykanami, koniec wojny.

Zyciorys wojenny, jakich wiele. Ale jest je-

den moment, w tym zyciorysie, który będzie miał znaczenie decydujące dla dalszych losów Sobolewskiego. Oto 17 wyróżnionych oficerów, wśród nich i „Wania” Sobolewski, otrzymuje rozkaz stawienia się w sztabie. Zdobycznymi limuzynami jadą oficerowie przez Berlin, Poznań do Włoch pod Warszawą. Całą tę grupę prowadzi gen. Spychalski. We Włochach odpoczywają i świętują zwycięstwo przez równy tydzień. Po tygodniu towarzysza pułkownik personalna bierze każdego na indywidualną rozmowę. W trakcie takiej rozmowy Sobolewski otrzymuje propozycję wyjazdu do Szkoły Sztabowej, do Moskwy. Ale Sobolewski ma matkę i siostry na Wołyniu, w Równem, śpieszno mu do nich, nie do Moskwy.

Zgoda — mówi pułkownik personalna. — Pojedziesz do matki, a potem do nas wrócisz. Masz dwa tygodnie na przemysłenie i podjęcie decyzji.

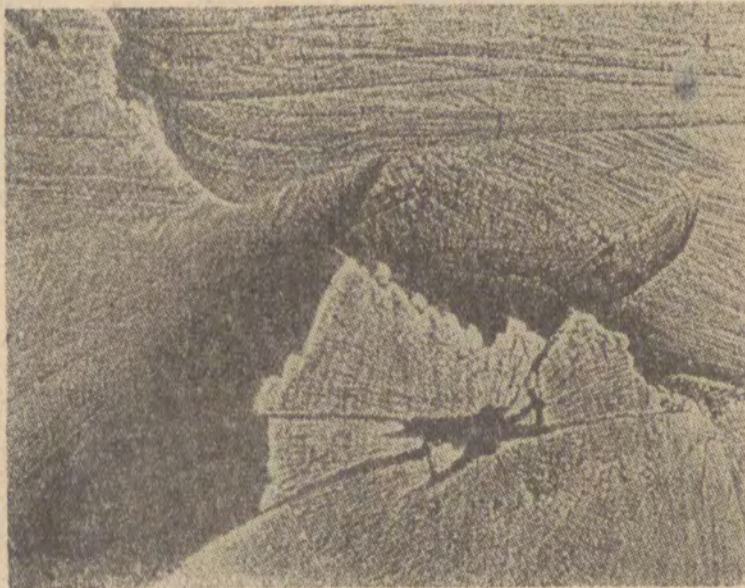
Ale w Równem mieszka dziewczyna, która się matką opiekuje. Ma jasne włosy, niebieskie oczy, dobre serce, więc decyduje zapada i już towarzysza pułkownik personalna nie namówi go na karierę wojskową. (Inni koleżdy, panie, którzy wtedy wyjechali, to zostali nawet generalami).

Nie chcecie, Sobolewski, jechać do Moskwy, to pojedziecie do Szczecina. Tam ciężko i niespokojnie. Jeszcze nie umiły strzalać, czasem ktoś strzelił z ukrycia, czasem nie wiadomo, co się z żołnierzem stało.

Szczecini. Zbliżają się zima. Trzeba zebrać

ZAPACI

Zbigniew Wojciechowski



DRZYWA

plony. Oficer Wojska Polskiego, stolarz Jan Sobolewski bierze do ręki kosę i staje się rolnikiem. Pierwszy, pamiętny lipiec po wojnie. W tym samym pogodnym lipcu Stanisław Leśny dostaje wiadomość z Dyrekcji Lasów, od swojego brata, by przyjechać do Berlina. Tak się wtedy nazywało miasteczko Nowy Berlin, położone 30 kilometrów od Gorzowa, opodal Choszczyna. Przed wojną była to baza wypoczynkowa dla mieszkańców Berlina. Miasteczko stare, obchodzące w przyszłym roku 700-lecie nadania praw miejskich. Teraz miasto nazywa się Barlink, bo tak w latach pięćdziesiątych ktoś wrażliwy i nadgorliwy postanowił.

Przyjeżdżaj — namawiał Leśnego brat. — Tu potrzebują takich, co znają się na drewnie. Na razie nikt w Polsce nie stawia ołtarzy, ale poszukujemy są mównice i trybuny.

3 sierpnia Stanisław Leśny był już na miejscu z zadaniem zabezpieczenia tartaku i uruchomienia stolarni. Dawnie była to własność Mossiera, Niemca pochodzenia żydowskiego, później przejął to Hageman, który prowadził firmę do końca wojny.

Pierwsze, co robi Leśny, to przy wejściu do tartaku wywieża biało-czerwone flagi, by wiadomo było do kogo teraz zakład ten należy. Na terenie stolarni i tartaku są maszyny, niestety niektóre już zdewastowane, niektóre zacięgnięte na przyległą łąkę, przygotowane do kradzieży, do wywiezienia. Większość, zwłaszcza tych ciężkich maszyn, stoi na swoich miejscach, gotowa do uruchomienia. Pod dachem jest 6 tysięcy metrów tarczy dębowej i bukowej, 60 tysięcy metrów sklejki, 25 nie używanych silników. Tych ostatnich nie udaje się Leśnemu uratować.

Barlink jest miastem w trzydziestu procentach zniszczonym. Gdy do miasteczka wjeżdżają pierwsze patrole rosyjskie, żołnierze niemieckich już nie ma. Dzień wcześniej uciekli. Została ludność, około 7 tysięcy, a wśród nich jeden rozfanatyzowany chłopak z Hitler Jugend, który zaczyna strzelać do wkraczających żołnierzy Armii Czerwonej. Nie znając sytuacji, Rosjanie wycofują się z miasta, okrażają je i ostrzelują. Po czym z jednego wystrzału zajmują miasto.

Barlink ma szczęście wynikające z nie-szczęścia. Oto w trakcie działań wojennych uszkodzono linię kolejową. Trudno się dostać do Barlinka i trudno też wywieźć z niego co cięższe i większe maszyny i urządzenia. Dzięki temu ocalał generator elektryczny typu Wolf o mocy 200 kW, napędzany lokomotywą parową. To jedyny źródło prądu znajduje się na terenie tartaku. Jest więc Leśny tym, który włącza i wyłącza światło. Tartak, Zarząd Miejski, a następnie Polska Komendantura Wojenna, milicja, działająca już od 15 kwietnia poczta, otrzymują prąd o mocy 110 kW w godzinach od 7 do 22. Osoby prywatne mogą otrzymać prąd w godzinach 15-22. Moga, ale nie muszą. Decyduje o tym Leśny. Z tego też względu pozycja jego stale rośnie. Wzrosnąć jeszcze znacznie, gdy się okaże, że na terenie tartaku znajduje się 30 metrów zboża. Za prąd młynarz wiele mu żoże. Za podobną usługę piekarz wypieka chleb. W ten sposób Leśny zdobywa ludzi do pracy w tartaku i stolarni. Kto pracuje, ten ma chleb. A jest to najbardziej poszukiwana, najcenniejsza waluta. Liczy się jeszcze wódka. Ją także ma Leśny. W piwnicach znajduje się 400 litrów spirytusu. Ma- jątek. Kupuje za niego krowę i konia. Krowa

daje mleko. Koniem wozi się z pola ziemiak-ki. Tartak karmi ludzi w Barlinku i daje im światło.

Rozpoczyna się akcja przesiedlania Niemców za Odrę. Na początku w tartaku pracuje 80 Niemców i tylko pięciu Polaków. Leśny i pabianczanin Barycin z trzema synami. Porozumiewają się poprzez tłumacza, Gertrudę Walter. Prawie z każdym dniem do Barlinka przybywa coraz więcej Polaków.

12 sierpnia, o godzinie 14.15 rodzi się pierwszy obywatel polski w osiadłej tu w maju rodziny Ireny i Władysława Koniecznych. Dziewczynce nadano imię Marianna.

Barlink ma już częściowo czynne wodociąg. Remontuje się trafioną pociskiem neogotycką wieżę zabytkową kościoła z XIV/XV wieku. Leśny uzupełnia fragmenty ołtarza. Na razie msze odbywają się w niewielkim kościółku św. Bonifacego.

5 października powstaje Komitet Miejski PPR, a w kilka dni później Komitet Miejski PPS. Jest już drużyna Ochotniczej Straży Pożarnej pod komendą Trześniewskiego i Woj- data, a niebawem zostanie założona przez Czesława Pańnika Drużyna Harcerska im. Wawrzy Czarnego. Trwają prace nad uruchomieniem drukarni.

W listopadzie, ósmego, odbywa się pierwsze

niezastąpionych, że są jeszcze ludzie, na których w trudnych sytuacjach można liczyć i że wobec tego odwołuje Sobolewskiego ze stanowiska kierownika stolarni, a na jego miejsce powołuje Leśnego. Tak stał się Sobolewski starszym asystentem działu przygotowania produkcji.

Leśny, mimo całego swego doświadczenia, nie mógł wykonać nierealnego planu. Po I kwartale już było wiadomo, że nie podoła. Po półroczu szykowało się katastrofa. Leśny wprowadza żelazną dyscyplinę. Za najdrobniejsze uchybienia zwalnia się ludzi z pracy. Wymaga pracy po godzinach, chcąc w ten sposób nadgonić plan, zwiększyć wydajność. Zwołnieli odwołują się do CRZZ. Przyjeżdżają komisje, badają podstawy zwolnień. Psują się atmosfera. Zjednoczenie, widząc, co się dzieje, przyznaje przydział potrzebnych maszyn. Ale to też nie pomaga. Załoga jest skłócona.

Lecą głowy. Zmieniono dyrektora, Leśnego zrobiono mistrzem u... Sobolewskiego, któremu znów powierzono kierownictwo stolarni. Sobolewski triumfuje. Zwyciężyła jego fachowość. Dzieje się to w roku 1963. W tym roku, 25 czerwca, Marianna Strych, z domu Konieczna, która jest pierwszym dzieckiem urodzonym w wyzwoleonym Barlinku, rodzi córkę, Elżbietę. A więc rośnie w mieście drugie pokolenie. Miasto już liczy 7.790 mieszkańców, przekraczając przedwojenny stan ludności 7.600 osób. Zatwierdzono już plany rozbudowy Zakładów Przemysłu Drzewnego i Fabryki Pługów, która jest już teraz znaczącym Zakładem Urządzeń Okrętowych. Powstaje pierwsza w powiecie Spółdzielnia Mieszaniowa Piast.

Nie jest to dobry okres dla Leśnego. Zia- passa trwa. Jak się raz komus noga powinie, jak się raz potknie, trudno mu się potem wyprostować. Wypuszczony przez dawną dyrek- cję zbiera owoce swej nierozważ- gi. Leśny, pracując w Zakładach Drzew- nych, pracował także w szkole zawodowej, ucząc rysunku. Ale i tam zaczęto mu szyć bu- ty. Ktoś, gdzieś, komus, jedni mówią, że w komisjach, inni, że w radzie, powiedział zar- tem, a może nie, trudno teraz dociec, że Leś- ny dlatego plan zawałił, że miał dwa etaty. W stolarni i w szkole. Ludzie nie lubią tych, co więcej od nich zarabiają. Strachliwy dyrektor szkoły, by mieć święty spokój, podziękował Leśnemu za pracę. Ale w tym wypadku Leśny był niezastąpiony. W Barlinku nie było czło- wieka, który mógłby poprowadzić zajęcia z ry- sunku technicznego. Artysta plastyk, Romana Kaszczyk, absolwentka Wydziału Ceramiki wrocławskiej PWSSP, zamierzała dopiero prze- nieść się z Choszczyna do Barlinka. Sprowadził kogoś, kto by poprowadził ten przedmiot w szkole, znaczący dać mu mieszkanie. A w Bar- linku już ciasno, już są kłopoty mieszkaniowe. Więc Leśny, też jak Sobolewski, po półrocznej karencji przeżywa swoją satysfakcję, gdy władze proszą go, by wrócił do szkoły na po- przednie stanowisko.

Leśny lubi uczyć rysunku, udzielać rad, chęt- nie pomaga. Pamięta bowiem swego nauczy- ciela, architekta Karwatke, który pokierował jego uzdolnieniami.

Sobolewski także lubi młodych. To dla nich, społecznie po pracy, wraz ze swoją brygadą wykłada boazeria klub Limba. Bo Sobolewski po pracy musi jeszcze coś robić. Tak się nau- czył od początku przyjazdu do Barlinka. Naj- pierw remontował mieszkanie, potem śpiewał w amatorskim klubie śpie- waczym Halka, występował także w zespole teatralnym. W Firacyku w za- lotach grał rolę mieszczańską, w sztuce Świt już bliżej — rolę wieźnia, śpiewa w barlinie- kim Kabarecie Starszych Panów. Trzy razy w tygodniu chodzi na próby. Wciąż do tej działalności żonę, która suferuje, i synów, któ- rzy muzykują. Najstarszy syn, Józef, tak się wciągnął, że skończył szkołę muzyczną i jeździ po świecie z zespołami rozrywkowymi. Sobolewski jest dumny z wszystkich czterech synów. Są dorośli, mają swoje rodziny, zawo- dy. Żal mu tylko, że żaden z nich nie poszedł jego śladem, żaden nie czuje drewna.

Ala gdy Sobolewski się zastanowi, przeanaliz- uje, to ich rozumie. Nie dziwi go, że nie chcieli robić w drewnie.

Gdy w latach 1974-75 pobudowano nowy zakład — Barlinkieckie Przedsiębiorstwo Prze- mysłu Drzewnego — zmieniła się nie tylko nazwa, ale wszystko, dosłownie wszystko. Już nie było prymitywnej, bo prymitywnej, ale stolarni. Zlikwidowano ten oddział. W nowym zakładzie, w nowych budynkach, nowe maszyny tylko przerabiają drewno. Tną drewno na tarcice, klepki parkietowe, podkłady kolejowe, deski podłogowe, boazerie, okleiny i zrab- ki.

Świszczą, piszczą zębate pily. Lecą wióry. Kręcą się tryby maszyn. Byłe szybko, wydaj- nie. Mechanicznie, precyzyjnie. Wielki zakład, wielka produkcja. Plan, który trzeba wykonać, przekroczyć. Tylko tarcicy zakład rocznie przerabia 17 milionów metrów kwadratowych. 1.250 zatrudnionych. Zgiełk, gwar, ruch. Auto- matyzacja. Transportery i podnośniki. Elek- tronika i programowanie. Tu się niczego nie tworzy z drewna, tu się drewno przerabia. I to jest zasadnicza różnica między dawnym zakła- dem, a tym nowym. Między starym i nowo- czesnym przemysłem. Różnica między Berlin- kiem a Barlinkiem końca lat siedemdziesią- tych. I tak jest wszędzie. Z małej Fabryki Pługów powstały ogromne Zakłady Urządzeń Okrętowych Bomet, których wyroby trafiają z Barlinka na wszystkie kontynenty. Ci z Bo- metu nazywają tych z zakładów drzewnych trociniarzami. Sobolewski z gorącą przyzna- je, że nie ma się czego obrazać za to przezw- isko. Ono oddaje sedno rzeczy.

Dawnie nazywano nas stolarzami, byli- my pracownikami w stolarni, drzewiarzami, czasem drewniakami, bośmy pracowali w drewnie. Czuli je i kochali. A teraz może pa- nie czuć drewna i pracować w tym fachu. Naciska pan puzik i maszyna wszystko za pa- na zrobi. Tylko się trociną sypią. A dawniej mówi Sobolewski i ja już skądś znam ten ton — dawniej trzeba było czuć drewno w ręku. Śluchać, co mówi, rozróżniać jego zapach, głos... Bo drewno jest także różne, mimo że po- dozne, nawet jak jest z tego samego lasu, z tej samej ziemi, z tego samego pnia. Rozumie pan? — pyta mnie Sobolewski.



Czy prawdą jest — jak się powszechnie utrzymuje — że naukowcy stanowią taki typ społeczności, która w imię ogólnoludzkich celów zajmuje się bezinteresownie i w pełnej zgodności wyłącznie poszukiwaniem prawdy? Pogląd taki podaje w wątpliwość autor poniższego artykułu stwierdzając, że i on sam i większość jego kolegów badaczy, podobnie jak członkowie innych grup zawodowych, stara się za pomocą niemal wszystkich dostępnych metod dowieść pierwszeństwa przede wszystkim swoich zdolności i odkryć. To współzawodnictwo z innymi jest według niego integralną częścią procesów twórczych i jednym z naturalnych bodźców w pracy naukowca.

James Dewey Watson wyklada biologię molekularną na Uniwersytecie Harvardzkim i kieruje laboratoriami Cold Spring Harbor w Nowym Jorku. W 1960 roku otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny i biologii. Jego książka „The Double Helix” jest relacją o tym, w jaki sposób doszedł on (we współpracy z F.H.C. Crickiem do odkrycia struktury DNA, uważanego za podstawowy materiał genetyczny życia. Niniejszy artykuł jest skróconą wersją referatu wygłoszonego w waszyngtońskim Instytucie im. Smithsona.

Gdyby większość z nas potrafiła znajdować przyjemność i radość w odkrywaniu dokonywanych przez innych, a nie domagała się, aby mierzono nas i chwalała wyłącznie w kategoriach naszych własnych zdolności i osiągnięć, problem jako taki w ogóle by nie istniał. Faktem jest jednak, że większość z nas wybiera sobie

inną drogą. Uznanie w nauce przypada tym, którzy pierwsi coś odkryli lub stworzyli.

Ta nieustanna pogoń za pierwszeństwem to sprawa nie wyłącznie próżności. Wiadomo powszechnie, że np. o objęciu stanowiska decydują najczęściej nasze osiągnięcia osobiste. Świat zapomina zazwyczaj o tych, którzy dochodzą do mety jako drudzy. Liczą się produktywność i oryginalność, jeśli ich się nie wykazuje, szanse otrzymania etatu czy pieniędzy na kontynuowanie badań naukowych są mizerne. I odwrotnie — kto, kto uznaje, że może z góry liczyć na stanowisko i fundusze, które umożliwiają mu „produkowanie” nowych osiągnięć. Taka jest rzeczywistość i nie nie wskazuje, że coś się w tej sprawie zmieni.

Tak więc nie tylko uznanie, ale i jakość życia naukowca zależy od pozycji, jaką sobie zdobył wśród kolegów. Jeśli potrafi zachować w sobie ogień i entuzjazm młodości, zawsze będzie go wspierać nadzieja, że dokona czegoś, co zafascynuje kolegów po fachu — palony ambicją będzie spędzał długie wieczory w laboratorium — w przekonaniu, że odkryć dokonuje się szybko i nagle, może tylko kosztem jeszcze jednej dodatkowej godziny czy tygodnia. Bo chociaż zdaje sobie sprawę z tego, że ostateczny eksperyment poprzedzał zwykle wiele lat żmudnych wysiłków, wie również, iż momentem triumfu jest nagły moment odkrycia. Odkrycie jest formą objawienia — przez długi czas nie, nagle w pewnej chwili wszystko, a w każdym razie „wszystko” do chwili, gdy pojawi się potrzeba nowej zagadki.

JAMES D. WATSON

Wybór problemu

Każdy z nas niemal automatycznie uświadamia sobie prosty fakt, że „nasz problem” może się stać w każdej chwili własnością innych. Wyłączność ma się jedynie w przypadkach, które dotyczą rzeczy trywialnych. W każdej dziedzinie nauki istnieją pewne wyraźnie zdefiniowane problemy, które — gdy je ktoś wreszcie rozwiąże — wyjaśniają aspekty o wiele szerszej pojętych zjawisk. Specjalista zdaje sobie sprawę z ich istnienia i szereguje je wedle ważności.

Często tak zwany problem centralny uznaje się z góry za nierozwiązywalny, czasami mijają lata zanim pojawi się wiedza, która umożliwia „atak frontalny”. W takich przypadkach podejmuje się zwykle problem pośredni — po przekalkulowaniu sobie, że on właśnie ułatwi nam dotarcie do problemu głównego szybko i samodzielnie. Przeważnie nie popłaca krocząc po utartej drodze i zajmować się rzeczami, które — a to podstępnie nam intuicja — i tak rozwiążą inni. Nawet jeśli nam się powiedzie, inni uznają nas za imitatorów; w najgorszym przypadku — oskarżają nas o kłusownictwo.

Niestety, w większości przypadków, łatwiej jest tę prostą prawdę przekazać innym niż nią się w własnym życiu kierować. Ponieważ nauka jest poszukiwaniem niewiadomego, kroki prowadzące do niewiadomego nie są proste i łatwo się zgubić zanim znajdzie się drogę właściwą. Ale ponieważ podjęcie każdego większego zadania wymaga specjalnych nakładów, ani jednostka, ani nawet pokazny zespół jednostek nie może sobie pozwolić na badania na wszystkich frontach. Nielatwo też zmienić kierunek badań po dokonaniu wyboru, nawet wtedy, gdy powstaje podejrzenie, że na naszej drodze natknemy się na ślepe ściany — wydaliliśmy za dużo pieniędzy na zakup ekwipunku, zatrudniliśmy zbyt wielu pracowników, a nawet — dokonaliśmy już przecież takich postępów, że utwierdzają nas w nadziei, iż uda nam się zamierzony cel osiągnąć. Pech w tym, że to właśnie w tej fazie badań często dowiadujemy się, iż ktoś inny nasz cel „dubluje”, ale przekornie poszedł drogą, która może się okazać bardziej sensowna niż nasza.

Dalszy ciąg na str. 8

# WSPÓŁ-ZAWÓDNICTWO

swój zawód w pełnej świadomości tego, że odsłanianie tajemnic przyrody czy tworzenie wielkich teorii da nam tytuł do członkostwa w wybranej społeczności „twórców”. Odkrycia dokonywane przez innych bywają oczywiście dla nas czasami źródłem radości, ale najczęściej tylko wtedy, gdy nie są w konflikcie z naszymi. Górn: nadaje się nazwy od imienia pierwszych zdobywców, a nie drugich, nawet jeśli wspieli się na szczyt zupełnie

Jako środowisko naukowe, a zarazem wpływowego kierunku filozoficznego, oddziałujący na kręgi tak zwanej nowej lewicy na Zachodzie, szkoła frankfurcka zwróciła na siebie uwagę szerszych kręgów opinii publicznej właściwie dopiero w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, w związku z rewoltą studentów i młodej inteligencji, która ogarnęła liczne wysoce uprzemysłowione kraje kapitalistyczne. Od tej pory poglądy, głoszone przez przedstawicieli frankfurckiego kierunku, stały się w centrum współczesnych dyskusji ideologicznych. Szkoła frankfurcka bowiem, poszukując trzeciej drogi, która by wiodła w przyszłość między kapitalizmem a socjalizmem, rozwinęła z jednej strony krytykę panującego na Zachodzie systemu kapitalistycznego, z drugiej zaś zwróciła krytyczną ostrze również przeciwko systemowi socjalistycznemu, dostarczając argumentów dla krytyki koncepcji marksistowskich przez środowiska, reprezentujące różnicowane tendencje współczesnego antykomunizmu.

Nie też dziwnego, że w tych okolicznościach, zapatrywania reprezentantów frankfurckiego kierunku musiały być oceniane częstokroć bardzo różnie: gdy dla jednych były one najbardziej rozwiniętą wersją współczesnego neomarksizmu, przeciwstawianego marksizmowi — leninizmowi, to dla drugich stanowiły nieraz jedynie subtelną formę dywersji ideologicznej, wymierzonej przeciwko marksizmowi oraz socjalizmowi i komunizmowi. Jak w wielu skrajnych uję-

ciach, tak samo i w tych tkwi jakieś źródło prawdy, chociaż niecała prawda: bezkrytyczne przyjęcie któregośkolwiek z nich prowadziłoby do uproszczeń, bynajmniej nie ułatwiających polemiki z argumentami, rozwiniętymi czy to przez samych przedstawicieli interesującego nas kierunku, czy sformułowanymi pod ich imię lub bardziej wyraźnym wpływem.

Do sporej dziś, wielojęzycznej marksistowskiej literatury, poświęconej poglądom modnego zachodniemieckiego kierunku, doszła właśnie książka polskiego autora Antoniego Malinowskiego zatytułowana *Szkoła frankfurcka a marksizm* (PWN 1979). Bezpośrednio przed nią ukazały się za granicą inne, całościowo zamierzone prace, poświęcone krytyce zapatrywania tego nurtu, by wspomnieć tu tylko o monografii J. N. Da w y d o w a o społeczno-filozoficznych koncepcjach frankfurczyków (1977), czy o drugim wydaniu zbiorowego opracowania autorów radzieckich i czeskosłowackich, poświęconego filozofii społecznej tego kierunku (1978). Swoją książką włączył się więc A. Malinowski w szeroki nurt aktualnych dyskusji, tocących się w piśmiennictwie wielu krajów.

Głównym celem rozprawy A. Malinowskiego było przedstawienie ewolucji stosunku przedstawicieli szkoły frankfurckiej do marksizmu. Nie ma co do tego wątpliwości, że dla tego kierunku jest to sprawa o znaczeniu zasadniczym. Szkoła frankfurcka — jak pokreśla polski autor — w tym właśnie punkcie w ciągu swego kilkudziesięcioletniego

istnienia przeszła kolosalną ewolucję przekształcając się z kierunku, czerpiącego pewne inspiracje i zapożyczenia z materializmu historycznego, w kierunek zdecydowanie antykomunistyczny, w którym po dawnych sympatiach dla marksizmu nie pozostało żadnego śladu.

Zaznaczając najślusniej, że

padku rozwiązaniem rzeczywiście najszcześliwszym.

Rozważania o historii omawianego kierunku wypełniły bowiem bardzo wiele miejsca w blisko czterystustronicowej monografii, nie pozostawiając zbyt wiele dla omówienia szeregu zasadniczych zagadnień filozoficzno-ideologicznych. Tak więc bardzo niewiele

my z obcych publikacji, znalazłem w jego książce wiele ciekawych interpretacji i autorskich przemyśleń. Dotyczy to w szczególności zagadnienia granic recepcji marksizmu w tym nurcie w latach trzydziestych i później, oraz proponowanych na jego obszarze interpretacji teorii materializmu historycznego. Trudno nie go-

## SZKOŁA FRANKFURCKA

rozbieżność w ocenach poglądów interesującego go kierunku jest w znacznej mierze rezultatem przyjęcia odmiennych założeń i reguł metodologicznych (oraz — dodajmy — kryteriów ideologicznych). A. Malinowski podkreślił, że dla uzyskania adekwatnego obrazu całości badanej przezeń problematyki należy przede wszystkim uwzględnić zasadę historyczną. Trudno bowiem zrozumieć genezę, założenia i ewolucję „krytycznej teorii”, bez uwzględnienia realiów społeczno-politycznych i intelektualnych, istniejących w danym okresie, mianowicie od końca lat dwudziestych naszego wieku po czasy współczesne. Z pewnością wszystko to jest słuszne, można jednak się zastanawiać, czy formuła pracy przede wszystkim historycznej — bo taką jest w istocie książka A. Malinowskiego — była w tym przy-

nie narzekajmy jednak zbyt nio: ostatecznie każdy autor ma prawo do ujęcia badanej sprawy siebie problematyki, jak mu to się wydaje najlepsze. Choć wolałbym, aby A. Malinowski dał nam ujęcie bardziej może analityczne, by nie powtarzał o historii szkoły frankfurckiej tego, co już wie-

dzić się z autorem, gdy wbrew zdaniu np. P. Vranickiego stwierdza on, że spotkania frankfurczyków z marksizmem, a w szczególności z materializmem historycznym, należy rozpatrywać raczej jako kwestię mniej lub bardziej bezpośrednich oddziaływań marksizmu na inne kierunki filozoficzne i socjologiczne, niż jako część historii marksizmu. Z pewnością też na uwagę zasługują autorska interpretacja wysiłków frankfurczyków, zmierzających do uzupełnienia materializmu historycznego przez odwołanie się do koncepcji psychologicznych o proveniencji psychoanalitycznej, choć na pewno W. Reich nie był, wbrew temu, co sądzi A. Malinowski, pierwszym psychoanalitykiem, próbującym „połączyć” marksizm z freudyzmem. W. Reich — autor niezmiernie interesującego studium *Psychologia masowa* fa-

szyzmu, którego obszerne fragmenty doczekały się ostatnio polskiego tłumaczenia w znakomitej antologii pt.: *Faszyzm europejski (1922-1945) w oczach współczesnych i historyków* (Czytelnik 1979) — a który próbował w latach trzydziestych poenić marksizm z freudyzmem, miał pod tym względem bardzo licznych poprzedników w Związku Radzieckim, gdzie w latach dwudziestych freudyzm cieszył się ogromną popularnością i był niejednokrotnie uważany za swego rodzaju dopełnienie marksizmu. Zorganizowany w 1923 r. w Moskwie zjazd psychoanalityczny zgromadził około dwóch tysięcy uczestników; już sam ten fakt ilustruje rozmiary ówczesnej psychoanalitycznej fascynacji w Kraju Rad. W burzliwych dyskusjach, jakie się wówczas toczyły wokół tych spraw, brał udział również i autorzy zagraniczni. W. Reich włączył się do nich stosunkowo późno, drukując w 1929 r. artykuł *Materializm dialektyczny i psychoanaliza* na łamach periodyku *Pod znamiem marksizmu*. Uczynił to w okresie, kiedy fala freudowskiej fascynacji już opadała, a koncepcje psychoanalityczne były — właśnie na łamach tego samego periodyku — coraz skuteczniej krytykowane przez marksistów.

Proszę mi wybaczyć tę dygresję, spowodowaną rozważaniami A. Malinowskiego. Autor dał nam do ręki interesującą monografię, poświęconą wąskiej, aktualnej problematyce filozoficznej. Czegoż więcej trzeba?

ANDRZEJ F. GRABSKI

SLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

kto tworzy naukę

kogo tworzy nauka

GŁOS KIBICA

I oto mamy dyskusję z prawdziwego zdarzenia („Odgłosy” nr 46). Zastanawiam się nawet co bardziej podziwiać, czy bardzo dobre przygotowanie autorki, czy odwagę i rzeczowość wypowiedzi naukowców, czy wreszcie pełne zrozumienie podejście „Odgłosów”, które tę dyskusję akceptowały. Tak czy inaczej w dobie monologów urodziła się publiczna, fachowa, a nie hermetyczna dyskusja trafiająca w sedno współczesnych rozważań o nauce. Rozważań najczęściej kawiarnianych, bo rzadko kiedy wygłaszanych publicznie. Pozwalam sobie na takie stwierdzenie, gdyż od lat kilku przypatruję się nauce w ogóle, a łódzkiej w szczególności, publikując to i owo o osiągnięciach prominentów nauki. Krytyczne uwagi są raczej sporadyczne, bo moi znawcy rozmówcy niechętnie zdobywają się na taw, szczerze.

Raz bodaj udało mi się nagrać podobną do publikowanej w „Odgłosach” dyskusji w czasie ogólnej polemiki nad stanem polskiej nauki przed XII Plenum KC PZPR. Zwykłość jednak onych wypowiedzi szybko się uspokoiła i znów wszystko wróciło do normy. Wcale to jednak nie oznacza, że nastąpiła generalna poprawa. Po prostu naukowcy znów zaczęli swą żmudną pracę, polegającą na krok po kroczku wydeptywaniu ścieżek i szlaków, które doprowadzają w końcu do tytułów naukowych.

Cóż zatem może zaobserwować kibic nauki, który z półśrodków, ćwierćcałujki buduje sobie obraz środowiska niezwykle hermetycznego, które strzeka swych tajemnic jak oka w głowie.

Otóż po pierwsze dostrzega on cały system powiązań, w które uwikłany jest pracownik nauki z powiazaniami wewnątrzinstytucyjnymi, instytutowymi, centralnymi, towarzyskimi, itd., itd. Wystarczy, aby w jednym z tych układów zrobił jakiś nie-rozważny krok, już jego gwiazda blednie.

Często zdarzało się, iż chciałem z tym lub innym naukowcem przeprowadzić wywiad na temat jego pracy naukowej, wiedząc z dotychczasowych publikacji, że będzie o czym mówić. Jednakże niestety, ni zowad okazywało się, że lepszemu do wywiadu będzie inny człowiek.

„No dobrze” — argumentowałem, ale mój wybrany ma osiągnięcia, a tego drugiego nie znam.

„Tak — padała odpowiedź, najczęściej rzeczniczka prasowego nauki — ale twój profesor nie jest teraz dobrze notowany, a ten drugi — też ma osiągnięcia, i to spore”.

Przez kogo notowany, komu podpadł — zwykle pozostawało tajemnicą, a fakt jego dorobku naukowego nie był argumentem.

Pamiętam na przykład rozliczne polemiki wokół wynalazku prof. Bachmana — niech mi w tym miejscu pan profesor wybaczy, że postępuję się jego przykładem, bo nie wiem czy mu niedźwiedziej przysięgi nie wyrządza — wynalazek dotyczył metody otrzymywania białka z metalonu. Według obliczeń Zakładu Doświadczalnego w Jastce metoda była ze wszech miar efektywna i to w myśli obliczeń opartych na logice, że 2 razy 2 jest 4, ale tymczasem zaczęto to wszystko jeszcze raz przeliczać, analizować. Ktoś podobno odkrył inną metodę, która nie wiadomo czy nie będzie lepsza.

Słowem sprawę... „poddano głębszej analizie”, i nikt chyba dziś nie wie kiedy jakikolwiek efekty będą. Gdzieś pan profesor popełnił błąd. Niekoniecznie w obliczeniach naukowych...

A więc pierwsza refleksja kibica sprawdza się do stwierdzenia, że naukowcy w opracowaniach nowych metod winni uwzględniać także czynniki „MP” — możliwość przebiela.

Druga refleksja dotyczy szeroko pojętej efektywności badań naukowych. I tu na początek przypomnę fakt, że niemal wszyscy laureaci Nagród Nobla otrzymywali owe światowe wyróżnienia po dziesiątkach lat pracy. Opowieści o wynalazkach, które były dziełem jednej nieprzespanej nocy, należy włożyć między bajki. Natomiast, kiedy ów wynalazek stał się faktem, o jego realizacji zabiegali naukowcy, najlepsze firmy świata. U nas obserwuję odwrócenie tej sytuacji. Tymczasem najwazniejszą sprawą jest powiązanie nauki z praktyką, a więc — aby nauka produkowała nowe rozwiązania niemal taśmowo. W chwili zaś, kiedy jakieś interesujące rozwiązanie wymaga prób politechnicznych czy pilotażowych — to wtedy piętra się góry trudności.

Znów nie będzie gołostownym — przypomnę rozwiązanie konstrukcyjne nowej plecionkarki (maszyny pasmanteryjnej) autorstwa dr. Hoffmana. Wszyscy (?) się nią zachwycili, ale najmniej autor, który miał dość bicia głową w mur. Też nie uwzględnił czynnika „MP”.

Nie wiem, może jestem lekkim, ale mnie zawsze przerażały plany efektywności badań naukowych. Jak bowiem można przewidzieć, że za lat pięć z jednego laboratorium „wyjdzie” np. 10 rozwiązań. Ta zresztą spekulacja myślowa dotyczy także produkcji magistrów, doktorów i doktorów habilitowanych.

Dostrzegam jakby scieranie się różnie pomiedzy „czystą nauką” a racjonalizacją. Wydaje mi się, że na przedstawicielach czystej nauki nałożono obowiązki racjonalizatorów, zaś tzw. zaplecie naukowo-badawcze zrównano prawie z zakładami produkcyjnymi wraz ze wszystkimi konsekwencjami z tego faktu wynikającymi — a więc nadmierną biurokracją, sprawozdawczością, kontrolą itd., itd.

Stąd to wynika fakt, że globalnie ludzi w tych ośrodkach dużo, a wyników w przeliczeniu na jednego zatrudnionego mało.

Druga zatem refleksja kibica sprawdza się do stwierdzenia: myślimy wolno, ale jak coś wymyślimy, to realizujemy szybko, bo inni też myślą.

I na zakończenie odwołam się do akapitu w dyskusji w „Odgłosach” — dotyczącego pojęcia naukowca-twórcy. Otóż jestem za tym, aby uznać prominentów nauki za twórców, a przywilejem tworzyć przez duże „T” jest jakości, dobie-ro na drugim miejscu ilość. Dziś nie da się zrobić dużo, tanio, szybko i dobrze. Zawsze na początku dobrze znaczy poważnie, spokojnie i najczęściej nie tanio, a później równa się często fałszywej oszczędności i nieumysłowieniu. Odnosi się to i do badań i do dydaktyki na wszystkich szczeblach.



Dalszy ciąg ze str. 7

Naszą pierwszą reakcją na myśl, że nas prześcignie, jest irytacja i depresja, oraz nadzieja, że się przechrzty lub że padnie rażony nagłą śmiercią. Możemy oczywiście powziąć decyzję przerwania pracy, ale to przekreśliłoby postępy i unieważnił wysiłek czasem wieloletni. Często też nie widzimy przed sobą problemów, które by nas równie intensywnie pobudzały do działania. Nie pozostaje więc nic innego, jak harować dalej w obawie, że pewnego dnia zobaczymy w gazecie fotografię kolegi X szczerzącego zęby z radości. Kusi nas myśl, by przeorganizować tok naszej pracy i pójść śladami rywala. Bo chociaż w danej chwili nas wyprzedził, przy odrobnie chętności my go jutro prześcignemy.

**Przechytrzenie rywali**

Moralność naszego zachowania się w takich sytuacjach mierzyć można chyba w zależności od tego, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o szybszych postępach lub wyższości naszego rywala. Jeśli wiadomość o tym znaleźliśmy w artykule opublikowanym w jakimś czasopiśmie naukowym, gdzie on sam nas o wszystkim informuje, sprawa jest prosta — jego osiągnię-

znieżęca innych i przez kilka miesięcy będzie miał spokój i monopol na pracę. Robi się to często w sposób sprytny i pozornie do niczego nie zobowiązujący, jak np. gdy się mówi, że pewne fakty już zostały ustalone — powiedzmy fakt wyodrębnienia podkluczowego enzymu, niegdyś centralnego problemu biochemii. Po zaznajomieniu się z taką informacją wielu naukowców może zaniechać dalszych badań, bo przecież marnowaniem czasu i pieniędzy byłoby zlecenie np. młodszemu kolegom prac już właściwie sprawdzonych. Często się okazuje, że doświadczenia w danej sprawie przeprowadzono powierzchniowo i niedbale, a więc problem w dalszym ciągu czeka na rozwiązanie. Morał z tego taki, że sceptycznie należy się odnosić do informacji udzielanych nam nieoficjalnie oraz ostrożnie na ich podstawie podejmować decyzje.

Przytomność umysłu konieczna jest także i w przypadkach, gdy odkryta przez nas nowa technika ujawnia nam nową postać rzeczy i rozwiązań. Jeżeli dysponujemy pokaznym laboratorium i dostatecznie kompetentnym zespołem pomocników, z wigorem i śmiałości możemy sobie pozwolić na eksperymenty i testy. Jeżeli brak nam takich pomocy — zarówno technicznej jak i ludzkiej — na ujawnienie publicznie odkrycia rzucą się jak hieny inne laboratoria,

socjologia badań onkologicznych nie wykaże się rezultatami większymi niż w innych dziedzinach nauki. I w tym przypadku mamy do czynienia ze zwykłą realnością natury ludzkiej — dychotomią współpracy i rywalizacji.

Bo chociaż Państwowy Instytut Onkologiczny zaprojektował wiele potężnych schematów, mających na celu ułatwienie i uzgadnianie wspólnych wysiłków, nie wszystkie laboratoria, nie mówiąc już o naukowcach, zgłosiły w akcji swój udział. Wiem, że istnieją wielkie i doskonałe zakłady laboratoryjne, które wykonują prace głównie lub może tylko „na zamówienie”. Naukowcy mają w nich dostęp jedynie do wybranych i zaaprobowanych z góry informacji — takich, które są im potrzebne wyłącznie do uporania się z ich fazą doświadczalną. Taka skrytość to oczywiście symptom obawy, że inni wykorzystają naszą pracę i przegonią nas w rywalizacji. Jest to i nieźła metoda zapobiegania rozpowszechnianiu się „samochwalnych plotek”, które komplikują pracę innych. Jednakże to utrzymywanie w tajemnicy odkryć naukowych jest w sumie szkodliwe, bo utrudnia lub wręcz uniemożliwia dyskurs między uczonymi oraz utrudnia wykrywanie błędów i posłizgnięć w rozumowaniu. Szczególnie w przypadku naukowców mniej twórczych błędy nie korygowane w porę wyrządzają wielkie szkody w nauce.

**Badania samodzielne**

Powstaje pytanie, czy nadmierna skrytość w badaniach naukowych nie opóźnia badań, które z czasem mogłyby odsonić przed nami wielkie sekrety np. molekularnych układów raka. Moim zdaniem — nawet w najgorszym przypadku, jej wpływ na ostateczne wyniki będzie niewielki.

Mają rację ci, którzy twierdzą, że skrytość w badaniach jest w jakimś znacznym stopniu szkodliwa, gdyż kieruje badaczy na drogę bezproduktywnych i marnotrawnych poszukiwań przez okresy czasu dłuższe niż konieczne, choć równie dobrze można by twierdzić, że pozwala innym pracować w spokoju, bez którego wydajność w pracy musi z natury rzeczy ulec redukcji. W warunkach przymusowej intensywności i ciągłego strachu, że każdy telefon to sygnał, iż ktoś nam depte po piętach, trudno jest nabrać zaufania do siebie, zaufania, którego źródłem jest przeświadczenie, iż nauka jest sumą czasu i cierpliwości, że w ostatecznym rozrachunku jest to kwestia spokojnej wytrwałości. Samotność właśnie i samodzielność pozwala nam właściwie ocenić własne zdolności i możliwości — o nieznajomości natury ludzkiej świadczy np. często głoszone hasło, że najlepiej pracuje się we współpracy z innymi. W wielu sytuacjach dwie czy trzy osoby mogą oczywiście harmonijnie ze sobą współpracować, ale ta harmonia to najczęściej wynik tego, że każdy z członków zespołu coś sam sobą wnosi i niełatwo jednego zastąpić drugim.

Toteż istnieją naturalne granice liczbowe, w ramach których zespół ludzi funkcjonuje optymalnie, i jeśli się te granice przekroczy, całość rozbiła się na nieefektywne części. W większości przypadków zespół idealny — to zespół złożony z dwóch osób — w takim układzie ma się partnera, który potrafi nas pobudzić do działania, gdy nas ogarnie depresja, i prawie nigdy nie powstaje sytuacja, kiedy jedna lub druga wchodzi w drogę partnerowi. Jednakże w przypadku skomplikowanych i kosztownych przedsięwzięć naukowych najlepsze wyniki osiąga się tylko wtedy, gdy ma się do dyspozycji większy zespół kompetentnych ludzi. Ale i w tych przypadkach grupy stanowią całość tylko tak długo, jak długo potrafią zachować swoją tożsamość i bezinteresownie współpracować z innymi.

Nigdy nie opłaca się zatrudniać zbyt wielu osób wyłącznie w imię zasady, że im więcej, tym lepiej — a więc, że im większa liczba pracowników, tym szybsze wykonanie pracy. Jeśli mechanizm kosztów i sprzętu na to zezwala, rozsądniej jest montować kilka samodzielnych, luźno ze sobą powiązanych zespołów. Większa to oczywiście niebezpieczeństwo dublowania prac, ale i produktywność, będąca skutkiem synergii, iż wykonuje się coś samodzielnie. Skompensuje ona z nadwyżką minusy, które mogą wynikać ze złe pojętego współzawodnictwa.

**Układy dzentelmeńskie**

Często się zdarza, że od rywali właśnie możemy się uczyć nie tylko rzeczy związanych technicznie z naszą pracą, ale i wzajemnego szacunku. Jeśli ich bliżej poznamy — na konferencjach, zebraniach lub podczas wizyt w laboratoriach zawiąże się może między nami przyjaźń, której owocem będzie jeśli nie w pełni podjęta współpraca techniczna, to w każdym razie szczerza i otwarta wymiana myśli. Fakt, że jeden z zaprzyjaźnionych rywali rozwiąże jakiś problem kilka tygodni czy dni wcześniej niż drugi może się okazać mniej ważny od tego, że obydwaj wniosli wkład do czegoś, co ma wartość ogólną. Takie dzentelmeńskie układy zawiera się niestety przeważnie w przypadku drobnych problemów, wobec których reszta kolegów nie wykazuje większego zainteresowania.

Nie wydaje mi się, by współzawodnictwo i egoizm w nauce miały w najbliższej przyszłości zaniknąć. Nie oznacza to, że nasza działalność jest w jakimś szczególnym sensie niemoralna. Wybieramy sobie ten właśnie a nie inny zawód właśnie dlatego, że urzekają nas tajemnice zagadki nauki, w innych zawodach czulibyśmy się obco i nie na miejscu, każdy zresztą wymaga — jeśli się doń podejrze sumiennie — wysiłku i taktu, w każdym działaniu te same lub podobne procesy współzawodnictwa. Ideali i marzenia wcześniej lub później ulegają normatywnej korekcie codziennych rzeczywistości. Jeśli mimo to udaje się nam zachować z nich tyle, ile trzeba, młodość wykracza poza granice wykreślone dla niej kalendarzem i każdy dzień staje się zaproszeniem do przygody — umysłu i serca.

(„Dialogi”)  
JAMES D. WATSON

**KRONIKA TYGODNIA**

W Polsce przebywał z oficjalną wizytą kanclerz Austrii — Bruno Kreisky. W rozmowach problematyka międzynarodowa zajęła wiele miejsca i potwierdziła dążność obu krajów do rozwijania procesu odprężenia w świecie. Tym razem jednakże zwrócić uwagę na obszar stosunków dwustronnych, a zwłaszcza nowe inicjatywy i tematy, jakie zostały w toku tych rozmów podjęte. Zarysowała się możliwość ścisłej współpracy w dziedzinie surowcowo-energetycznej. Strona polska gotowa jest zapewnić Austrii długoterminowe dostawy węgla energetycznego, w sposób narastający, aż do poziomu 1.250 tysięcy ton rocznie, poczynając od 1985 roku. Strona austriacka natomiast wyraziła zgodę na propozycję budowania w naszym kraju wielkiej elektrowni, pracującej na węglu brunatnym, a jej koszt byłby spłacany w przyszłości dostawami prądu. Innym ważnym tematem jest współdziałanie produkcyjno-techniczne i handlowe firm austriackich i polskich na rynkach trzecich.

Wybraliśmy tylko dwie sprawy, o których dyskutowano w czasie wizyty, wskazując one na dużą konkretność rozmów i możliwość wspólnego rozwiązywania problemów, które — jak np. surowcowo-energetyczny — są dziś podstawowymi w świecie. Dobry to przykład współdziałania państw o różnych systemach.

W ub. tygodniu zakończyły się w Rzymie obrady FAO, a więc, Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa. Tym razem dyskutowano o sytuacji żywnościowej. Dokonana analiza nie brzmiała optymistycznie: światowa produkcja pszenicy będzie mniejsza w br. o 7 proc., innych zbóż — o 2 proc., ryżu — o 8 proc.... Więcej będzie tylko roślin olejnych. W tej sytuacji większe kraje rozwijających się, gdzie występuje deficyt żywności, nie będzie mogło dokonać potrzebnych zakupów. Niestety — powiększy to liczbę głodujących i nie dożywających. Jeszcze bardziej smutne jest to, iż prognozy do 2000 roku zapowiadają stałe pogarszanie się bilansu żywnościowego. Zmianę tej sytuacji może tylko postęp naukowo-techniczny i wysokie inwestycje.

Zagadnienie, o którym piszemy, łączy się przede wszystkim z problemem zahamowania wyścigu zbrojeń, gdyż pochłania on ogromne kwoty. Tymczasem na Zachodzie, jak wiadomo, głośno mówi się o modernizacji broni nuklearnej NATO i jej rozlokowaniu na terytorium zachodniej Europy. Przeciwno takim zamierzeniom nasilają się protesty. Ostatnio oświadczenie złożyła SFZZ.

W szerokim temacie rozbrojeniom międzynarodowym się oczywiście wiedeńskie rozmowy na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.

Przed kilku dniami odbyło się kolejne spotkanie delegacji 19 państw. Również w czasie tego spotkania kraje NATO poświęciły uwagę tzw. czynniki geograficznemu. Jest to jeden ze sposobów przewleknięcia porozumienia O co chodzi? Otóż Zachód twierdzi, że strefa redukcji, obejmująca: RFN, Holandię, Belgię, Luksemburg, Polskę, NRD i Czechosłowację, leży tak blisko ZSRR, iż daje to przewagę Wschodowi na wypadek konfliktu. Oczywiście strona zachodnia nie dodaje, że wokół Związku Radzieckiego i innych krajów wspólnoty socjalistycznej znajduje się 386 amerykańskich baz wojskowych, w których łatwo jest zgromadzić większe rezerwy wojsk oraz że stale obecna jest amerykańska flota śródziemnomorska. To po pierwsze, a po drugie redukcja ma przecież służyć zmniejszeniu niebezpieczeństwa konfrontacji militarnej, a nie przygotowaniu do wojny. Wreszcie trzeba powiedzieć i o tym, że u progu rokowań określono jednoznacznie strefę redukcji i wówczas nie pojawiały się żadne tego typu zastrzeżenia. Dlatego nie można traktować inaczej wysuwanie „czynnika geograficznego” niż tylko jako chęć dalszej gry na zwłokę. A w danym wypadku czas ma znaczenie przeogromne.

Przewodzący teraz do Portugalii, gdzie w niedzielę odbyły się przedterminowe wybory do parlamentu. Nie znamy jeszcze ich wyników, gdy piszemy ten komentarz. Nie o analizie głosów zatem chodzi, lecz podkreślenie ich znaczenia. Są one na pewno barometrem sytuacji wewnętrznej w 5 i pół roku po rewolucji „czterech gwiazdek” i mogą zdecydować o kursie politycznym tego kraju nawet po roku 1980.

W Portugalii w ostatnim okresie nastąpiła dość wyraźna polaryzacja sił politycznych, a otwarcie głoszonego celem przez prawicę jest przełamanie lewicowej większości w parlamencie. Przypomnijmy, że dotąd składała się ona ze 101 mandatów socjalistów i 40 mandatów komunistów w 283-osobowym Zgromadzeniu. Aby zmienić dotychczasowy układ prawica zawiązała przed wyborami tzw. Sojusz Demokratyczny, co miało dać jej większe szanse.

Wybory rozpisane zostały przed terminem datowanego, aby wyjść z przewlekłego kryzysu rządowego, którego mogłoby nie być, gdyby socjaliści zdecydowali się na współpracę z komunistami.

Co przyniosła wyborcza niedziela — dowiedzą się Czytelnicy z prasy codziennej. Na wyniki głosowania trzeba spojrzeć przede wszystkim pod kątem omówionych powyżej kwestii.

W. ŚLAWSKI

**WSPÓŁ— ZAWODNICTWO**

cia są własnością publiczną, można z nich pełną ręką korzystać. Jeżeli jednak dowiadujemy się o jego postępach np. na prywatnym zebraniu od osób trzecich, należałoby zaniechać, aż staną się formalnie dostępne dzięki ukazaniu się w druku.

Ale co robić w sytuacji, kiedy udostępnione nam szczegóły o jego postępach dyskredytują nasze własne osiągnięcia? Szczególnie, gdy zdajemy sobie sprawę z tego, że nasz rywal odkłada publikację swojego artykułu do chwili sobie wygodnej — to znaczy do czasu, kiedy z triumfem może się poszczycić wynikami swoich odkryć?

Sytuacje takie komplikuje okoliczność, że między przedłożeniem artykułu w redakcji, a jego opublikowaniem może nieprzebrać rok. Artykuły przedłożone w redakcji wysyła się często do tak zwanych referatów, od opinii których zależy, czy ukazać się w druku. Zazwyczaj referatami są osoby pracujące w pokrewnych dziedzinach, toteż zdarza się, że między nimi a autorem artykułu istnieje tak zwany konflikt interesów. Chociaż przyjmuje się powszechnie, że referenci nie powinni wykorzystywać sytuacji, to znaczy nie przekazywać innych odkryć dokonanych przez autora artykułu, jakąś formą okrucieństwa byłoby nieinformowanie kolegów o odkryciach już dokonanych, a więc skazywanie ich na pracę, której owoce będą albo mizerne albo żadne. Chociaż zakładam, że istnieją tzw. „uczciwi” referenci, nie wydaje mi się, że stanowią oni większość. Nie należy zresztą zbyt dużo od nich wymagać.

Jednakże w celu zachowania jakiegoś stopnia przyzwoitości powinniśmy chyba publicznie ogłosić, iż korzystamy z niedostępnej jeszcze dla wszystkich informacji, podając na przykład w razie publikacji, iż odnośnie doświadczenia „wykonane zostały po zaznajomieniu się z wynikami pracy innych”. Niestety, dosyć często się zdarza, że takie publiczne podziękowanie sformułowane jest w sposób niejasny lub dwuznaczny — jedynie „wtajemniczeni” wiedzą, o co w całej sprawie chodzi i kto komu jest dłużny. Zdarza się też, że naukowcy i badacze załatwiają sobie szybko publikację własnych artykułów — a to po to, by pojawiły się one co najmniej równocześnie z publikacją prawdziwego odkrywcę.

Niewłaściwie zachowują się w tych sprawach nie tylko naukowcy drugorzędni, ale często i wybitni. Sukces zdobyty na początku kariery naukowej wzmagając apetyt na coraz więcej — wielu nawet wybitnych naukowców podświadomie uznaje każde nowe odkrycie za własność nieczyją. Wiedzą oni iż nabyli dobrze, jak bardzo zależny jest od pierwszeństwa prestiż i nawet los wielkich „imperii badawczych”. Jedynie ktoś nieorientowany lub nieuleczalnie naiwny uważa w ich przekonaniu naukę za dyscyplinę otwartą, w ramach której każdy z jej członków sumiennie informuje innych o swoich planach i osiągnięciach.

**Ujawnianie odkryć**

Nie odnosi się to wszystko do odkryć o tak ogromnej wadze, że mogą one zdecydować o całości i dalszym rozwoju danej dyscypliny. W takich przypadkach nie ponosi się ryzyka obwieszczenia przedwcześnie światu o odkryciu. Przykładem — odkrycie podwójnej spirali, którego dokonał za mną Francis Crick wiosną 1953 roku. Jasne, że należało o nim natychmiast zawiadomić świat — już choćby tylko dlatego, że w wypadku zwłoki ktoś inny wpadłby na to samo i musielibyśmy się z innymi podzielić triumfem.

Pragnienie pozbycia się rywali może też skłonić uczonego do wyolbrzymiania własnych osiągnięć — w nadziei, że jego rzekome postępy

co oczywiście utrudni naszą własną działalność w sprawach dla nas kluczowych. Uchronić się można przed takim nieszczęściem jedynie poprzez ukryte badania we własnym laboratorium — przynajmniej do czasu aż się w pełni zrealiżuje doświadczenie. Dopiero wtedy można sobie pozwolić na przyjemność ogłoszenia wyników, z czystym sumieniem, że nikomu nie wyrządziliśmy krzywdy.

Kluczowym elementem w takich sytuacjach jest liczba osób, które pracują równocześnie w danej dziedzinie. Brak wymiany i możliwości sprawdzania własnych postępów powoduje nie tylko nudę, ale i zanik energii twórczej. Bieżąca literatura techniczna (czasopisma i książki) jest koniecznym bodźcem w pracy, zwykle monotonna i męcząca. Toteż chociaż nieraz uskarżamy się na nadmiar np. konferencji naukowych, faktem jest, że i one są konieczne, bo ułatwiają nam zapoznanie się z tym, co ważne i nowe w naszej własnej pracy. Panikę wywołuje w nas artykuł, który zdaje się kryć w sobie odpowiedź na coś, co stanowi centrum naszych zainteresowań i ambicji, ale leży w zamian ulgi znajdujemy stwierdzając, że inni nie doszli jeszcze do mety, do której i my zdążamy!

**Potrzeba rywalizacji**

Tak więc zdrowy rozsądek domaga się jakiejś równowagi między naszą własną produktywnością, a produktywnością innych. Jeśli nas samych stać na energię i zapal twórczy, cieszą nas sukcesy kolegów i gotowi jesteśmy wspomagać ich w działaniu, które z kolei nas wspomaga. Jeśli z naszym samopoczuciem i produktywnością krucho, jeśli stwierdzamy, że uznania dla naszej działalności słabnie, skłonni jesteśmy do negowania i lekceważenia wysiłków innych — jak biznesmen w konfrontacji z konkurentem. Umilowanie nauki, które w młodości mogło być dla nas motorem działania, słabnie, a nawet w pełni zanika, jeśli przedmiot własnej miłości traktuje nas obojętnie lub niezyczliwie. Uświadomienie sobie prawdy, że naukowcy to ludzie ani lepsi, ani gorsi niż inni, przychodzi czasami za późno.

Ze szczególnym sceptycyzmem odnosić się należy do „tezy”, że naukowcy pracujący w dziedzinach dotyczących bezpośrednio spraw życia i śmierci człowieka, są mniej podatni na pokusy niż np. uczeni z dziedzin bardziej abstrakcyjnych. Prasa rozpisuje się czasami na temat wielkich projektów czy akcji, których celem ma być rozpoznanie i leczenie strasznych chorób lub odkrycie przed ludzkością nowych źródeł energii — może tylko po to, by nas przekonać, że stoimy w przededniu narodzin jakichś nowych form współpracy i harmonii międzyludzkiej. Z własnych obserwacji wiem, że to wszystko nonsens. Akcje takie uruchamia się nie dlatego, że mają one jakiś sens naukowy, lecz po to, by uspokoić społeczeństwo, przed którym liczni przywódcy polityczni w ten sposób ukrywają swoją własną bezsilność.

**„Opanowanie” raka**

Istnieją oczywiście problemy i formy działania, które mogą przynieść realną pomoc całej ludzkości i w których wspólne dobro odgrywa rolę naczelną. Mamy już nawet przykład takiej akcji, zainicjowanej uchwiałą Kongresu dotyczącą walki z rakiem. Przynano na nią środki tak ogromne, że aż nie do uwierzenia jeszcze kilka lat temu, a nawet opracowano sposoby, za pomocą których zainteresowani doradcy mają wykonywać nadzór nad jej szybką realizacją. Obawiam się jednak, że i w tym przypadku opanera się cała rzecz na złudzeniach, przynajmniej w kategoriach czysto naukowych, i że



Naród syryjski pod kierownictwem Socjalistycznej Partii Odrodzenia Arabskiego (SPOA) pomyślnie dokonuje głębokich przeobrażeń, które szybko zmieniają oblicze tego starożytnego kraju. Realizacja tych zadań w dużej mierze zależy od pokojowego i sprawiedliwego uregulowania problemu bliskowschodniego, o co rząd republiki zdecydowanie zabiega.

Dzięki szybkiemu rozwojowi ekonomicznemu Syria utrzymuje dziś ożywione stosunki handlowe z wieloma krajami świata, wśród których uprzywilejowaną pozycję zajmują kraje socjalistyczne. W ubiegłym tygodniu zakończyła wizytę w Syrii delegacja Sejmu PRL, gorąco podejmowana przez gospodarzy. Obie strony podkreśliły szczególnie dobre stosunki wzajemne w dziedzinach: politycznej, kulturalnej i naukowo-technicznej. Oceniając pozytywnie dotychczasową współpracę gospodarczą, obie strony wskazały na duże możliwości jej dalszego rozwoju w interesie obu krajów. Dokonano także wymiany poglądów w kwestii węzłowych problemów międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Narodowy Front Postępowy (NFP) po przeanalizowaniu sytuacji w świecie arabskim i wewnątrzpolitycznej sytuacji w Syrii doszedł do wniosku, że zbrodnicze wystąpienia przeciwko bezpieczeństwu państwa i obywateli są dziełem ruchów reakcyjnych, ściśle związanych z planami „rozwiązania problemu palestyńskiego”. Na niedawnych posiedzeniach centralnego kierownictwa NFP, którym przewodniczył prezydent H. Asad, wspólnie z regionalnym kierownictwem SPOA, rozpatrzono różne aspekty wewnętrznej sytuacji w kraju oraz stopień wykonania programu narodowego, sprecyzowanego w wystąpieniu prezydenta Asada na forum Zgromadzenia Ludowego w marcu ub. roku. Program ów przewiduje konsolidację jedności narodowej w drodze zwiększenia roli NFP oraz umocnienia organizacji społecznych. Podkreśla się w nim wagę wytworzenia w kraju atmosfery demokracji ży-

cia, umacniania władzy organów terenowych zapewnienia wolności i bezpieczeństwa oraz poszanowania godności obywateli.

W programie zwraca się także uwagę na znaczenie sektora państwowego w ekonomice narodowej i na wszechstronne planowanie jako drogę wiodącą do socjalizmu. Przed rządem stawia się również zadanie ekonomicznego wzrostu przez zwiększenie produkcji towarów, żeby zapewnić masom pracującym dostatek życia. Wiele miejsca w programie zajmuje kwestia zwiększenia obronnego potencjału kraju i umocnienia sił zbrojnych zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym.

Syria zajmuje ważną pozycję str-

telegiczną na Bliskim Wschodzie. Na północy graniczy z Turcją, od południa z Jordanią, na wschodzie z Irakiem i na zachodzie z Libanem i terytoriami okupowanymi przez Izrael. Wybrzeża republiki obmywa Morze Śródziemne. Eufkrat od dawna był źródłem rozkwitu gospodarki rolnej, która do dziś jest wiodącą gałęzią ekonomiki kraju. 9-milionowa Syria posiada niezliczoną ilość zabytków historycznych, które świadczą o jej chlubnej przeszłości. Obecnie naród syryjski jest zdecydowany przekształcić kraj w kwitnący sad Bliskiego Wschodu.

Z podziwem należy odnotować przemiany, które nastąpiły w Syrii w okresie niepodległego bytu, a przede wszystkim na przestrzeni ostatnich lat. Po 30 z górą latach od momentu, gdy ostatni obcy żołnierz opuścił syryjską ziemię, naród Arabskiej Republiki Syrii osiągnął wiele sukcesów zarówno w dziedzinie umocnienia politycznej i ekonomicznej niezależności

Naród syryjski, pod przewodnictwem Socjalistycznej Partii Odrodzenia Arabskiego, osiągnął znaczne sukcesy w przeobrażeniu kraju w nowoczesne, rozwinięte państwo. Dotyczy to ekonomiki i kultury oraz wszystkich innych sfer życia społecznego. Tam, gdzie niedawno jeszcze rozciągała się bezpłodna pustynia wyrastają fabryki i inne zakłady pracy, szkoły i szpitale. W miastach nędzne domostwa ustępują miejsca nowoczesnym, wielopiętrowym gmachom. W Syrii wydobywa się dziś około 9 milionów ton ropy naftowej i zajmuje ona 10 miejsce wśród krajów Bliskiego Wschodu, produkując naftę.

Symbolem ekonomicznych zdobyczy republiki jest wspomniana już wspaniała zapora wodna w Tabke. Ogromna tafla wody wśród pustynnych i kamienistych gruntów wydaje się być cudem. Znaczenia tej tamy dla narodu syryjskiego nie sposób przecenić. Pozwoliła ona nie tylko uję-

ć w cugle burzliwe wody Eufratu i zapobiec powodziom, lecz także nawadniać wielkie pola ziemi. Nie przypadkiem uważają Syryjczycy tamę w Tabke za ekonomiczny kręgosłup republiki. Dzięki tej inwestycji rolnicy przekształcili ten rejon Syrii w spichlerz całego kraju i przywrócili mu dawną chwałę „raju na ziemi”. Jak nazywali dolinę Eufratu starożytni Rzymianie. U podnóża gigantycznej zapory wodnej wyrosło nowe, współczesne miasto z 50 tysiącami mieszkańców, w większości byłymi koczownikami. Niedaleko rozłożyły się państwowe farmy.

Szerokie projekty przewidziane w trzecim pięcioletnim planie nawadniania i melioracji gruntów odegrały de-

ciągając rolę w gwałtownym wzroście gospodarki rolnej. Dziś syryjscy chłopcy wysiewają pszenicę, jęczmień, kukurydzę, przeróżne warzywa, wszystkie rodzaje owoców charakterystycznych dla strefy śródziemnomorskiej. Rozwój gospodarki rolnej dał z kolei impuls do wzrostu przemysłu przetwórczego, fabryk włókienniczych i innych.

Przed finansowym aparatem kraju stoi obecnie nielatywny problem: w jaki sposób zapewnić środki niezbędne dla potrzeb obrony, nie redukując przy tym wydatków przewidzianych na rozwój ekonomiki. Niemniej budżet państwa w roku bieżącym zwiększył się w porównaniu z ubiegłorocznym o 24,4 proc. i wyniósł ponad 22 miliardy funtów syryjskich, w porównaniu z 18 miliardami w roku 1978. Ponad trzecią część wszystkich asygnacji państwowych przeznaczono na cele obrony państwa: 8 miliardów funtów wobec czterech miliardów w roku ubiegłym, co wynika ze wzrostu napięcia na Bliskim Wschodzie i aktywizacji knowań militarystycznych kół Izraela.

Specjalny nacisk kładzie się na rozwój przemysłu ciężkiego, a przede wszystkim górnictwa. Oddanie do użytku nowych elektrowni, zakładów chemicznych i petrochemicznych w Homs, modernizacja portów w Tartus i Latakij, rozbudowa sieci kolei, rozpoczęcie budowy międzynarodowego portu lotniczego i in. — są konkretnym wynikiem ogromnych zamierzeń Syryjczyków. Kraj przetrząsa się w jeden z najważniejszych ośrodków życia ekonomicznego całego arabskiego Wschodu.

Rozwojowi ekonomiki towarzyszył wzrost poziomu życia narodu. W ostatnich latach siła nabywcy ludności podwoiła się. Rząd zwraca szczególną uwagę na budownictwo mieszkaniowe, rozwój sieci punktów opieki lekarskiej, na podwyższenie poziomu kulturalnego społeczeństwa. Przywódcy syryjscy uważają, iż mimo ciężkich strat, jakie poniósł kraj w wyniku izraelskiej agresji, zwiększenie wydobycia ropy naftowej a także eksploatacja chromu, manganu, miedzi, żelaza, azbestu i innych bogactw naturalnych stworzą niezbędne warunki dla realizacji programów ekonomicznych zamierzonych w planie. W roku 1980 Syria zamierza doprowadzić objętość handlu zagranicznego do wysokości blisko 7 miliardów funtów syryjskich, to znaczy niemal 4-krotnie więcej niż w 1975 roku.

Postępowe przemiany, umocnienie ekonomicznej niezależności, wzrost potencjału ekonomicznego i obronnego — wszystko to jest wynikiem konsekwentnej realizacji polityki rządu. Dziś odgrywa Syria ważną rolę w świecie arabskim. Jej inicjatywy ukierunkowane na konsolidację narodów arabskich przeciwko reakcji i agresywnej polityce Izraela, znaczny wkład w ogólny postęp narodów arabskich, a przede wszystkim ciężkie ofiary poniesione przez Syrię w imię sprawy arabskiego narodu Palestyny zyskały Syrii uznanie w oczach światowej opinii publicznej.

JERZY CZECH

## GIGANT W DOLINIE EUFRATU

# TEHERAN



W chwili, gdy oddajemy ten numer do druku, trwa w naszym ciągu kryzys w stosunkach USA — Iran. W ambasadzie amerykańskiej w Teheranie uwięzionych jest 49 obywateli USA, pracowników ambasady, podejrzanych o „niebezpieczną działalność szpiegowską”. Irańscy studenci okupujący ambasadę żądają ekstradycji szacha i zwrotu zrabowanych przez niego bogactw. Paryski tygodnik „Paris Match” zamieścił unikalne zdjęcie z wnętrza gmachu ambasady, które prezentujemy obok. Poniżej — gmach ambasady z zewnątrz.



O bogatych i pięknych tradycjach oraz dnu dzisiejszym radzieckiej muzyki rozrywkowej i piosenki estradowej mówił m.in. na niedawno zakończonym VI Zjeździe Kompozytorów wybitny twórca Tichon Chrennikow:

„Byłoby rzeczą wysoce niesłuszną niedocenić rolę w społeczeństwie tego gatunku muzyki, która nie tylko stanowi integralną część działalności i dorobku naszego związku, ale jest po prostu potrzebna społeczeństwu, a zwłaszcza młodzieży. Jak w każdym gatunku muzycznym tak i tutaj spada na twórców pełna odpowiedzialność, obywatelska i nawet moralna za ich działalność. Oparte na folklorze i melodyjne piosenki radzieckie z pięknymi poetyckimi tekstami cieszą się popularnością na całym świecie, niestety, w zamian świat częściej nas ogłuszającym kosmopolitycznym beatem, któremu niekiedy ulegają i nasi „specje od lekkiej muzy”. Inne niebezpieczne zjawisko to tzw. przemysł muzyczny, czyli produkowanie jak największej ilości „przebojów” za wszelką cenę, a mówiąc konkretnie, kosztem zaufania słuchaczy. Inaczej mówiąc, chodzi tu o masowe produkowanie byle jakiej muzyki z jeszcze żłośniejszymi tekstami. Wiadomo nie od dziś, że stworzenie dobrej pio-

## „ŚWISZCZĄCY SŁOWIK” I INNE CUDA

senki, autentycznego przeboju, jakie pisali Dunajewski czy Gershwin nie jest rzeczą prostą ani łatwą. Ale nie oznacza to wcale, że pozwolimy w tej dziedzinie na chałturę. Miałem niezbyt przyjemną okazję zaznajomić się z tekstami niektórych piosenek. Bajecznie w nich i kolorowo, dużo o przyrodzie i miłości i wszystko byłoby wspaniałe, tylko, żeby nie uziąć autorów — jest to czysta grafomania. Zresztą służę przykładami: „Powiedz, powiedz drzewko wiśni, czemu miłość nam nie wyszła”. Albo: „A dokoła śniegi, śniegi czyste, biały dym, biały sen i biały jęk” (chodzi tu zapewne o jęk słuchacza). „Jeśli nie wierzysz, jeśli nie kochasz, morza nie zmierzysz i nie przepłyniesz”. I wreszcie taki rodzynek: „A kule świszczą, jak w sadzie słowiki”. Tu chciałoby się zapytać świsu kul, szanowny autor zapewne, chwala Bogu, nie słyszał, ale nie chyba nie stało na przeszkodzie, aby posłuchał sobie słowików... One naprawdę nie świszczą!

Wszystko to jest śmieszne, ale problem bardzo poważny. Stawiamy sprawę ostro, choć takich pseudosłagierów nie pojawiło się więcej, niż przed pięć, dziesięć laty. Niebezpieczeństwo kryje się w tym, że bardziej niż kiedykolwiek są one lansowane przez radio, TV i rozpowszechniane na naszych stradach, jakby na równych prawach z utworami rzeczywiste wartościowymi. Podobne grzechy mają na sumieniu wydawnictwa muzyczne i płytowe. Sądzę, że nowo wybrany zarząd Związku Kompozytorów w porozumieniu ze Związkiem Pisarzy zajmą właściwe stanowisko wobec poruszonych tu problemów, które dotyczą wprawdzie „tylko” muzyki rozrywkowej, ale któż z nas nie lubi posłuchać ładnej piosenki z trafiającym do serca tekstem?”



Z Syberią zapoznałem się już po trzech godzinach lotu z Moskwy. Potężny „Tu-154” lądował w środku nocy w Omsku. Chyba niebo spryskiwało się przeciwko naszej grupie: ściana deszczu odbierała ochotę do wychodzenia z zacisznej kabiny samolotu. I na dokładkę ten przenikliwy ziąb, który trząsnął nami podczas godzinnego postoju. Tak, prawdziwy — i jakże mroźny — okazał się ten pierwszy oddech Syberii...

nierów. Wszystkie młode pary po dopełnieniu formalności przyjeżdżają tutaj. Ma to swoją wymowę. Po sąsiedztwie prześlizgnięcia cerkiew, poddawana właśnie gruntownej renowacji. Spod płatyni rusztowań wyraźnie widać już koronkowe zdobienia, majestatycznie puszą się bulwiaste kopuły. Nieco dalej — o ile mniejszy, jakże bardziej skromny, ale tak bliski sercu polski kościół. Taki nasz, z czerwonej cegły, ze strzelistą

załamanie pogody spowodowało tragedię — nie uratował się żaden...

Brack to również fabryka celulozy — nagromadzona ilość spawionego tu wodą drewna zajmuje imponujący obszar.

Samo miasto niezbyt urodziwe. Może za bardzo monotonne bryłami jednakowych bloków? A może po prostu zbyt nowe? Za to kilkupasmowe ulice, szerokie chodniki, dużo zieleni — do tego w Łodzi nie jesteśmy przyzwyczajeni. Tutaj także można zobaczyć pierwszą znajomość ze słynną Bajkalsko-Amurską Magistralą, której trasa wiedzie m.in. także i przez to miasto. Często widuje się potężne składy wagonów dowożących budowniczym materiały potrzebne do pracy, sprzęt a nawet całe mieszkania — wygodne, drewniane domki. Wiele samochodów ciężarowych spotykanych na ulicach przedstawia się trzema literkami wymalowanymi na drzwiach: BAM. I wszystko już wiadomo.

Dopiero tutaj, w tym mieście, które jak głosi legenda założyli bracia — kozacy (stąd właśnie Brack) gdzieś w połowie siedemnastego wieku, zrozumieć można lepiej co to przetrzeźnienie i odległość. Z lotniska do dzielnicy, w której mieszkałem (Osinowka) jest około 40 kilometrów. Po drodze — oddzielne osiedla, niby dzielnice, a przecież wszystko razem. Jedno miasto.

Jakos pokutuje u nas przekonanie, że Syberia to przede wszystkim zimno, potem mówi się obowiązkowo o życzliwych ludziach, tajdzie, potężnych rzekach i czystym powietrzu. Hm, zimno rzeczywiście bywa, nawet w środku lata, ludzie gościnni ponad miarę, a przyroda? — Najlepiej zobaczyć to własne oczy.

Uzasadniony niepokój budują wszystkie te formy działalności człowieka, które burzą równowagę w przyrodzie, które wyrządzają szkodę. Z położonej nad miastem Góry Jodłowej widać parasol dymu, unoszący się nad okolicą niby nad gigantycznym kotłem. Sprawa? Miejskowa huta aluminium dzielnie wspomaganą przez zakłady celulozowe i inne pomniejszych fabryczki...

Niezapomniany wrażeń dostarcza kilkudniowa wyprawa nad Bajkał. Utańczyło się przekonanie, że oglądanie Syberii bez najkrótszej chociażby wizyty nad tym największym zbiornikiem wody słodkiej na świecie — zupełnie pozbawione jest sensu.

Nie ma w tym ani słowa przesady. „Król syberyjskich jezior” wywiera olbrzymie wrażenie. Na turystów działa więc niezmiernie magnes — stale spotyka się tu grupy turystyczne z RFN, Angli, Francji, Hiszpanii, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Czechosłowacji, Węgier i oczywiście z Polski. Nie ma na świecie drugiego takiego jeziora, w którym zachowałaby się tak kryształnie czysta woda. Płynąc statkiem kamieniem na dnie widać się bez trudu na głębokości... 40 metrów!!!

W upalny dzień strugi potu wylewają się z ludzi, którzy zapragną wdrapać się na Pik Czerskiego w Lstwie. Niezapomniany widok: ujście krętej Angary z jednej strony, a po przeciwnej — bezkres morza. Na wodzie „normalne” statki, pełnomorskie barki, kilometrowe karawany drewna holowanego do kombinatu celulozowego. Daleko na horyzoncie mająca jakieś cienie. Chmury? A może szczyty gór? Skromnie leżąc odległość na drugi brzeg wynosi z tego miejsca jakieś 60 kilometrów.

— A tam, co tak dymy — pytam Ludmiłę Georgijewną, mojego niestrudzonego przewodnika.

— Film „Jezioro” z Szaukszynom widać? — słyszę w odpowiedzi. Skoro widać, to znasz chyba problem fabryki w Bajkalsku. Wody wprawdzie już nie zanieczyszczają, ale powietrze, sam widzisz...

Podróży statkiem do Zatoki Piaszczystej nie podejmuję się opisać. Cóż, skoro nawet zdjęcia i kolorowe przezroczna nie oddają w pełni piękna bajkalskiej przyrody, to co tu pokładać nadzieję w płócie. I tu trzeba by użyć słów, żeby oddać malowniczość licznych zatoczek, lesistość dolin i urok małych portów w nich skrytych. Jakże drobniawo musiałby być opis „pijących drzew”, które w tej zatoce widziałem. Jak oddać najwspanialszy kolor wody zmieniającej się po

zachodzie słońca. Nie darmo więc koledy przestraszali, że Bajkału nijkaj opisać się nie da.

A przecież wspomnieć należy o słynnym omułu, syberyjskiej rybce, która nie chce rozmnażać się w żadnym innym jeziorze — tylko tutaj. No a zima? Nawet w pobliskim Irkucku zupełnie inna niż nad wodą. Pokrywa lodowa pojawia się tu na stałe w końcu roku. I zaraz potem uruchamia się w poprzek szlak samochodowy na przeciwny brzeg. Przez kilka miesięcy załadowane pojazdy mkną po lodowej tafli niczym po najlepszej autostradzie. A jak już zaczyna się robić ciepło, zdarzają się wypadki zarwania lodu, ponoć sporo pojazdów pograżyło się w półtorakilometrowej głębi. Dobrze, że chociaż ludzie zdają zawsze wyskoczyć.

Dawniej, a żyją jeszcze ludzie, którzy to pamiętają, na zamrażniętym jeziorze okresowo układano... tory kolejowe, po których jechały pociągi na wschód.

Cedrowe żniwa. Kto by przypuszczał, że aż tylu ludzi jest tym zainteresowanych. Brałem w tym udział. Ubrani w nieprzemakalne ubrania, z wielkimi metalowymi bańkami na plecach szliśmy pod górę ponad dwie godziny. Jak przebiega sam zbiór? Prosta sprawa: należy najpierw popłuć w dłoń, głęboko zaczerpnąć powietrza i z całej siły potrząsnąć palną wałną w pień. Spróbowałem. Uderzyłem tak mocno, że o mało mi ręce nie odleciały — zaraz potem o mało nie przysypała nas lśniąca lawina szałwek, która runęła z korony drzewa. Zbierania było na jakieś półtorej godziny — i to nie jakieś tam karzelki, ale szyski imponującej wielkości. Potem już tylko pozostało wyluskać z nich same orzeszki (w specjalnej niby maszynie do mielenia mięsa) i jeszcze znieść je do pociągu czy autobusu.

Jak ktoś ma trochę wolnego czasu, to może sobie na tym nieźle zarobić, sprzedając leśne runo (jagody, grzyby) na miejscowym rynku. Różnych owoców — zatrzeszenie. I nie, że sprzedawane czasem po wygórowanych cenach (trudno dziwić się np. Gruzinom, którzy przywożą samolotami winogrona, by oddawali je za darmo) — stragany wprost ugnają się pod ciężarem cytryn, pomarańcz, pomidorów czy jabłek. To także Syberia.

O jednym wieczorze nie zapomnę nigdy. Siedzieliśmy w domu przed telewizorem, kiedy spiker zapowiedział program przedstawiający historię stosunków radziecko-chińskich. Najpierw dziennikarze omówili wszystkie aspekty zagadnienia, a potem wyświetlono uciążliwy film. Były to zdjęcia wykonane w trakcie pamiętnych zajęć granicznych sprzed kilku lat. Tego widoku nie da się tak prosto zapomnieć: w miejscu gdzie przebiega granica z ChRL stol kordon żołnierzy radzieckich ze splecionymi rękami. Za nimi, tuż za plecami, gęsty tłum chińskich dzieci, młodzieży i kobiet. Wszyscy trzymają w rękach książeczki — wykrzykują coś, popychają bezustannie pełniących służbę pograniczników. Na zakończenie pokazano migawki z chińskich „szkół”: kilkunastoletni uczniowie z zaciekawieniem przyglądają się składaniu i rozkładaniu karabinu maszynowego, przedszkolaki drepczą w koło powtarzając za opiekunką całe kwestie czytane przez nią z książki...

A kiedy przyszło się żegnać — nie wierzyłem, że minęły całe trzy tygodnie. Oddział „Inturistu” Irkuckiego lotniska tego ostatniego dnia zapelnili się niespodziewanie. Odnawiało mnie kilkanaście osób. Nie zapominaj napisad po przyjeździe do domu, uważaj w drodze, przyjeżdż znowu — słyszałem co chwila.

Potem linał deszcz. Trochę nie było się gdzie schować, bo przyszła pora wsiadania do samolotu — zmokliśmy więc doszczętnie.

I na dobrą sprawę do dziś nie wiem, czy mokra twarz Ludmiły, czy zakatarzony nagle nos Walerego — to tylko sprawa ulowy. A i mnie coś tam dawało w gardle i oczy jakoś dziwnie mi się „spociły”. Zrobiło mi się po prostu żal...

SŁAWOMIR DARZYCKI

# GOZIEŚ NAD BAJKAŁEM

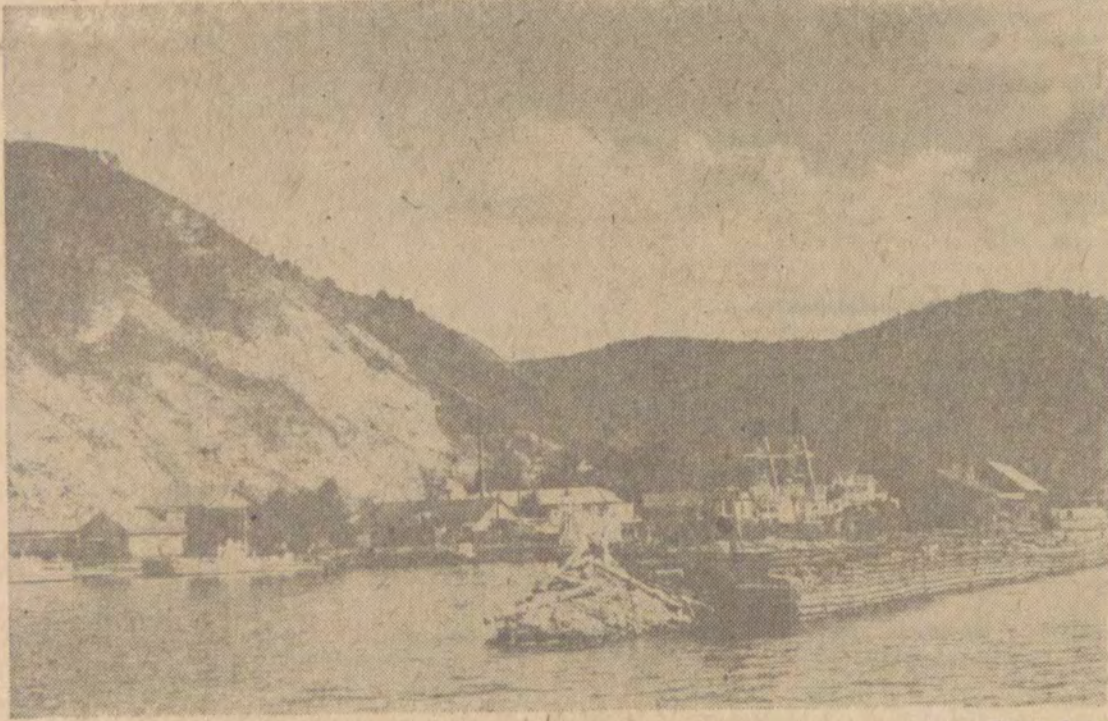


Foto: Autor

Chcąc chyba wynagrodzić pasażerom trudy podróży, kiedy już po 7 godzinach lotu (tak lekko licząc — jakieś 6 tysięcy kilometrów do Warszawy) wysiedliśmy wreszcie w Irkucku — zaświeciło słońce. I to jakieś! Przez całe lato nie mieliśmy w kraju takiego upału. Ot, cała Syberia.

Nie dając odpocząć (wypisz się w domu) przyjaciele zaraz zaprowadzili mnie nad Angarę, jedyną rzekę, która uchodzi z Bajkału — a wpływa doń ponad trzysta.

— Patrz — mówią — bo trudno gdziekolwiek indziej zobaczyć w rzece tak czystą wodę. Nawet tutaj, ponad 60 kilometrów od jeziora, można ją pić bez obaw.

A potem, to już taka lokalna tradycja, poszliśmy pod pomnik-mauzoleum poświęcony mieszkańcom obwodu Irkuckiego, poległym podczas II wojny światowej. Wielka tablica z niekończącymi się rzędami nazwisk. Marmurowa płyta z wiecznie gorejącym ogniem i wianki kwiatów. Obok warta honorowa Irkuckich pio-

wieź — pomnik tych wszystkich rodaków, którzy onegdaj na Syberii byli, i którzy tutaj pozostali na zawsze.

Odlatowałem nie mogłem, że na letnie miesiące zawieści swoją działalność polski klub „Wisła”.

Brack leży o 40 minut drogi od Irkucka. Mniej więcej około... 600 kilometrów. Tylko 40 minut? Tak, najpopularniejszym w tym rejonie środkiem lokomocji — samolotem, i właśnie tutaj dane mi było oglądać imponującą budowlę — dzieło ludzkich rąk, elektrycznie wodna. Trudno znaleźć w tym przypadku właściwe słowa, które by oddały ogrom tej konstrukcji. Proszę sobie wyobrazić stromą, betonową ścianę wypiętrzoną na ponad 120 metrów w górę i długości blisko... kilometr.

A zalew przed zaporą — toż to prawdziwe morze! Ze wszystkimi jego kapryszkami: sztormami falami i mgłami. Właśnie na kilka dni przed naszym przyjazdem — jak podawała prasa — czterech młodych ludzi zbytnio zawierzyło swoim umiejętnościom wypływając na ryby. Nagle

został odwołany, teraz wrócił do Kampali tylko po to, by spakować kufry. Ekscelencja Walter Froewis jest już trzecim ambasadorem RFN, którego karierze zaszkodziła zbytnia sympatia dla ponurego Bajazzo.

Obecnie sprawami RFN w Ugandzie zawiaduje radca ambasady, Frank Elbe, który zabarykadował się w swojej siedzibie, porobiwszy zapasy żywności i mydła na kilka miesięcy.

Uganda jest bowiem wciąż jeszcze terenem niebezpiecznym nie tyle zresztą dla dyplomatów, ile dla miejscowych cywilów. Silniejszy zabiera słabszemu co chce, co zresztą było w zyczuju już za czasów Aminy. Tymi silniejszymi są tu obecnie Tanzańczycy, którzy wywołili Ugandę spod władzy tyra. Wojna, aczkolwiek zwycięska, zrujnowała wywołilieli, za to mają teraz placić ci, którzy zostali wyzwoleni. Trofea w postaci odborników transzytorowych czy zegarków, jakich po kilka opina przedramiona niemal każdego żołnierza tanzańskiego, to tylko skromna część łupów.

Prezydent Julius Nyerere wydał wprawdzie zakaz plądrowania, ale wielu żołnierzy od miesięcy nie otrzymało w ogóle żołdu. W końcu nawet najwyższe tanzańskie dowództwo wojskowe nie traktuje zbyt poważnie postanowień konwencji haskiej w kwestiach, dotyczących prawa własności na terenach objętych wojną. Prom, który dwa razy w tygodniu kursuje między Dżindzą w Ugandzie, a Mwanzą w Tanzanii jest na ogół po brzegi wyladowany rupami wojennymi. Można tam zobaczyć samochody, sprzęt wojskowy, całe tony surowej kawy, a od czasu do czasu — cysternę spirytusu. A ponieważ generalnie tanzańscy nadzorują posiedzenia ugandyjskiego rządu przebiegowe, nikt nie waży się wystąpić z oficjalnym protestem przeciwko temu jawnemu rabunkowi.

W Kampali ustaly przynajmniej nie kontrolowane rabunki od czasu, gdy 800 policjantów, przybytych specjalnie w tym celu z Dar es Salam, patrzy na ręce swoim kolegom z armii. Zmalała też liczba zabójstw — z około 20 do 4-5 dziennie. Drastycznie natomiast zaczęły mnożyć się zabójstwa w okręgu Karamoja — najdalej na północ wysuniętej części kraju, którego mie-

pistoletami automatycznymi. Ugandyjski taksówkarz zaczyna gorączkowo gestykułować. „Ndugu, Ndugu! — woła wychylając się przez okno samochodu. — Towarzysze, dobry przyjaciel...” Tanzańczycy zresztą wcale nie mają wrogich zamiarów. Jeden z nich wdrapuje się na platformę ciężarówki i pokazuje olbrzymi kłód słońca: „Kupić... tanio, bardzo tanio!”

## po Aminie UGANDA

szkańcy od dawna styneli jako rabusi bytła. Podczas wycofywania się wojsk Aminy w ich ręce dostała się spora ilość broni palnej. Niedługo na swoje wyprawy Karamojczycy wyruszą uzbrojeni w łuki i strzały, dziś — wkracząc na ścieżkę wojenną obwieśnami granatami i z karabinami w ręku.

Podczas dokonanego przez nich napadu na jedną z wiosek w pobliżu Nimule, w październiku br., zgineło prawie 100 osób. Karamojczycy wpełzli całą ludność do pobliskiego wozu i wrzucali tam granaty, wydając radosne okrzyki przy każdej eksplozji.

Południe jest stosunkowo bezpieczne, przynajmniej dla ludzi. Kierowca taksówki pokonuje trasę z Kampali do Masaki w niespełna 3 godziny, nie zatrzymując się ani razu. Ale już 10 km za Masaką, w kierunku Fort Portal, drogę zagraża tanzańska ciężarówka wojskowa. Oparci o chłodnicę, w niebałych pozach stoją trzej żołnierze z

Żołnierze tanzańscy wystrzelali zwiernę we wszystkich parkach narodowych. W Parku Narodowym Kabalega na północy Ugandy, pogłowie stoni spadło do niespełna 20 proc. poprzedniego stanu. A w jeziorze Alberta, w którego wodach żyło niegdyś 1000 hipopotamów i 10 tys. krokodyli, można dziś — po 3 miesiącach stacjonowania nad jego brzegiem dwóch tanzańskich jednostek wojskowych — kąpać się tak samo bezpiecznie jak w basenie. Dyrektor parku, Ochira, kazał wszędzie w buszu powystawić tablice zakazujące polowań, ale Tanzańczycy w ogóle nie zwracali na nie uwagi. Pan Ochira dziwi się: „Czy to wywołiciecie czy okupanci?”

Rozpełnanej przez Aminę apokalipsy nie sposób — jak się okazało — powstrzymać tylko zarządzeniami. Przez 8 długich lat obowiązywało tu prawo silniejszego. „Przez wiele lat” moje dzieci widziały, jak zarzyna się ludzi, niby kury czy owce — mówi księgo-

wy z Dżindży, Richard Mulondo. Widział, jak ludzie z tajnej policji wyciągnęli z domu mego brata i zatkli na podwórzu pałkami i maczetami. W jaki sposób będą mogły odzyskać szacunek dla godności ludzkiej?”

Powoli rozwiał się trupi zapach, jaki niegdyś stale wydobywał się z kazał wzięcia na wzgórzach Nakasero, do kad Amin lubił w swoim czasie udawać się przed smem na mały seansik tortur, ale dzieci do dziś bawią się w „Chop the Sabo”, co można przetłumaczyć jako „krojenie sabotażystów w plasterki”. Odzyskanie poczucia godności ludzkiej wymaga czasu...

Z biznesem sprawa jest prostsza. Jego ryccerze stawili się już w komplecie, w niennagannie zaprasowanych spodniach, z teczką w jednej i piwoworem w drugiej ręce. Zjawili się tu pierwsi, tak samo jak w swoim czasie w Kongu, Biafrze i Angoli, gdy z ruin zaczęła powstawać tam życie. Z godnością żują „usali ja nyama” — kukurydzą z kozim mięsem i myślą swoje. Wiedza dobrze: niebawem będzie lepiej. Stawki łapówek nie uległy zmianie: 20 proc. wartości towaru na konto w Londynie czy w Zurichu.

Prezydent Godfrey Binala wycofał z obiegu stare banknoty z wizerunkiem Aminy. Nie wpłynęło to na ożywienie gospodarki pieniężnej. W Masaka za chleb i banany płaci się nadal agrarkami, kluczami francuskimi czy innymi przydatnymi narzędziami.

Ponieważ brakuje dewiz, rząd ustalił poufną listę priorytetów importowanych. Pewien kupiec europejski, rozdącający się po pijanemu, zdradził treść zamówienia, jakie — zgodnie z tą listą — otrzymał: 5 tys. skrzynek whisky, tysiąc skrzynek wina i 400 skrzynek szampana. Tymczasem szpitalowi Mulago w Kampali grozi zaunkniecie z powodu braku pieniędzy na lekarstwa...



Reporter zachodniemieckiego tygodnika DER SPIEGEL, Erich Wiedemann odwiedził niedawno Ugandę, która wciąż jeszcze nie może wydobyć się z chaosu, jaki panuje tam po obaleniu dyktatury Aminy.

Festus Kibengere, pianista z hotelu „International” w Kampali i zachodniemiecki ambasador w stolicy Ugandy, Walter Froewis są do siebie podobni pod dwoma względami: obaj są w chwili obecnej bez zajęcia i obaj są przekonani, że obalenie dyktatury Idi Aminy, aczkolwiek oskarża się go o zamordowanie 250 tys. ludzi, nie było dla Ugandy wydarzeniem pomyślnym.

Festus Kibengere ma swoje powody. Oficjalnie Aminy nigdy nie skapili szylingów i poczęstunku, gdy na swoim pianinie wygrał im nieśmiertelne „It's a long way to Tipperary”. Tanzańczycy zaś chcą mieć wszystko za darmo. Ostatnio kilku pijanych żołnierzy próbowało go zmusić do zagrania tanzańskiego hymnu narodowego. Kiedy Festus wzdragał się, ponieważ nie znał melodii, wygrameli w pianino serię z automat. Od tej pory jest bez pracy. — Na takie zachowanie marszałek Aminy nigdy by nie pozwolił — mówi Festus. Podobnie widzi to ambasador Froewis. Pełnił on swoją funkcję w Kampali przez półtora roku przy Aminie i uważa, że ma prawo czynić porównania. „Za czasów Aminy — mówi — Murzyni czuli jeszcze respekt wobec białych, a dzisiaj...” Co się zaś tyczy owych masowych mordów, to Froewis ma również wyrobione zdanie: „Big Daddy nie był oczywiście aniołkiem, trochę prawdy w tym jest, ale żeby zaraz tysiące...”

Jednakże bońskie MSZ nie wykazało zrozumienia dla stanowiska swego ambasadora. Kilka tygodni temu Froewis



Dalszy ciąg ze str. 1

IFIT na „Międzynarodową Federację Teatru Otwartego”, kładąc nacisk na słowie „otwartość”. Za „niezależność” drogo się płaci — większość teatrów zachodnich, biorących udział w listopadowym, sztokholmskim spotkaniu, pracuje bez dotacji, lub z minimalnymi tylko dotacjami, z trudem wiążąc koniec z końcem, wiążąc niekiedy życie waga-bundów. Są to z reguły grupy zawodowe — zawodowe w tym sensie, że starają się z pomocą Melpomene zarabiać na ży-

(najchętniej głośnie, obce nazwiska robiące kasę), niż na przecieranie różnych, własnych ścieżek w kulturze.

Klamrą festiwalu, pozostałmy już przy tym łatwiejszym w użyciu określeniu, były dwa przedstawienia „kooperacyjne”, a mianowicie „Skrzyżowanie — Kórsvag”, przygotowane wspólnie przez gospodarzy i łódzki Teatr 77 oraz „Wiosna Ludów — Springtime of Nations” (po szwedzku „Folkens Varflod”) — dzieło Teatru 77 i zespołu „Divadlo na Provozku” z Brna. Oba przedstawienia oglądaliśmy w Łodzi, drugie ostatnio w ra-

Do najciekawszych zespołów festiwalu zaliczyć trzeba także „Comunę Baires”, która przywiozła swój najnowszy spektakl „Wisconsin”. Nie należą do bezkrytycznych chwalców tego przedstawienia, zawierającego obok scen przejmujących, zadziwiających trafnością teatralnego wyrazu, także wiele scen teatralnie pustych, dłużących się niemiłosiernie. Jest to dla mnie najgłośniejszy rzecz biorąc, spektakl o potrzebie ochrony jednej z największych ludzkich wartości — a mianowicie pewnych postaci historycznych, które stały się już mitem, stają się także obiek-

wię w języku teatralnym, w umiejętności budowania znaczeń poprzez sam teatr.

Podobnie z przedstawieniem „Woyzecka” duńskiego zespołu „Den Bla Hest”, kierowanego przez Aleksandra Jochweda, zarazem wykonawcę głównej roli. Ta propozycja, na tle innych festiwalowych produkcji, innych zespołów używających z reguły gwałtownych, atakujących widowie środków wyrazu, była swoistym ewenementem. Duńczyki pokazali spektakl „Woyzecka” bardzo skupiony, oszczędny, impresyjny, skierowany do wnętrza. Swoisty język teatralny, polegający tu na budowaniu nastroju poszczególnych scen i klimatu całego przedstawienia w oparciu o bardzo subtelne i precyzyjne działania, pozwala odczytywać historię Woyzecka nie tylko w jej planie dosłownym, lecz przede wszystkim metaforycznym — jako historię losu ludzi małych, poniżanych, deptanych, w których z wolna rodzi się bunt. Udało się to uzyskać zespołowi bez odwoływania się do teatralnej iluzji; współtwórcą tego spektaklu jest wyobraźnia widowni, nadająca wiadru z wodą w które zagłada Woyzeck znaczenie lustra, w którym bohater znajduje swoje odbicie, znaczenie studni, w którą Woyzeck „wpada” w sensie metaforycznym. A wiadro jest przy tym wiadrem, pełniącym także funkcję rezonatora. Ot, jeden przedmiot i tyle jego ról. Podobnie wykorzystane są i inne rekwizyty, a także po prostu sprzęt, jak np. reflektory. Podobnie z muzyką i całą sferą dźwięku. Bardzo to klarowny i spójny spektakl, czytelny ponad wszelkimi barierami językowymi.

Odrębnym nurtem festiwalu były przedstawienia związane z ruchem „Woman's Liberation”. Czytaliśmy, jeszcze w kraju, co nieco na ten temat, ale co innego czytać, a co innego być w samym środku kobiecego buntu. Zjechały tu zespoły „Clapperclaw” i „Beryl and the Perils” z Anglii, „Porquettas” z Finlandii, występowała ponadto ze swym monodramem Saara Salminen z Finlandii. Nurt ten wymaga odrębnego omówienia, rzadzi się bowiem swą własną ideologią, jest ponadto dość agresywny w sposobie egzekwowania swych praw.

Zwłaszcza zespoły „Clapperclaw” oraz „Beryl and the Perils” chętnie przekraczały granice sceny, prowokując widownię, a i uczestników festiwalu do niekończących się dyskusji na temat upośledzenia społecznego, erotycznego, intelektualnego itp., kobiet. Nam może się to wydawać, i co tu dużo mówić — wydaje się śmieszne, ale sądząc po aplauzie nie tylko kobiecej widowni, po zainteresowaniu, jakim obdarzano produkcję zbuntowanych pań, nurt ten nie wisi w społecznej próżni, ma chyba swoje uzasadnienia w społecznej sytuacji kobiet w Anglii, Finlandii, Danii itp., o czym zresztą bardzo interesująco mówiono, zwłaszcza w dyskusjach.

Najstrawniejsze wydaje się pigułki serwowane przez „Clapperclaw”, którego trzy członkinie dają po prostu świetny program kabaretowy, cięty i dowcipny, sarkawny, że aż po zadrości, daleko wychodzący poza czyste kobiece żale. Ta propozycja budzi szacunek — nie jest bowiem obliczona tylko na prowokację, daje szansę partnerskiego męsko-damskiego dialogu. A że panie mają dowcip cięty, nie oszczędzają nie tylko mężczyzn, ale i siebie, łącznie z p. Margaret Thatcher, aplauz nie dziwi.

Podobnie poważną w sensie artystycznym, choć w zupełnie inaczej w sensie teatralnym rozgrywaną propozycją, jest monodram Saary Salminen. To historia życia dziewczyny, od narodzin do śmierci, mówiąca o urazach i krzywdach zadawanych w dzieciństwie przez matkę, później przez mężczyzn. Jest to przy tym historia przede wszystkim człowieka, a nie tylko kobiety, jako kogoś wyodrębnionego z rodzaju ludzkiego. Znalazła też aktorka adekwatne do poruszanych treści środki wyrazu teatralnego, gesto operując scenami mającymi znaczenie symbolu, lub psychoanalitycznych odniesień.

Kontrowersje budziły natomiast występy „Beryl and the Perils” — kwartetu estradowego nie przebiegającego w wyborze broni. Dwa jego przedstawienia — „Dennis” i



Teatr 77 i „Divadlo na Provozku” — „Wiosna Ludów”



Teatr 77 i Teater 9 — „Skrzyżowanie”

## Na af Chapman i gdzie indziej

cie, często jednak nie mogą się obejść bez zasłóg dla bezrobotnych, jak na przykład „Den Bla Hest” z Aarhus w Danii, trupa, która przywiozła tu „Woyzecka” Büchnera.

Nikt się tu nie kwapi o dopłacaniu do kultury; tym „niezależnym” teatryzmem wychodzi to o tyle na dobre, że zmusza je do przekraczania progów amatorstwa, które u nas zbyt często polega nie tyle na miłośnictwie, co na nieporadności, złej dykcji, kłopotach związanych z „byciem” na scenie. Tym, co odróżnia te grupy ludzi od „oficjalnych” zawodowych teatrów Sztokholmu, Kopenhagi, Helsinek, są lewicowe z reguły zapatrywania, krytyczna postawa wobec układów społecznych. W Szwecji takich grup istnieje około 60; tylko 10-15 z nich ma swoje stałe, lub półstałe siedziby. Reszta grywa okazjonalnie, wspomaganą niekiedy przez związki zawodowe, organizacje kobiece i szkoły, w których daje spektakle dla dzieci i młodzieży. Są też na tym festiwalu wyjątki, jak na przykład francuski Temps Forts, teatr zajmujący się orientalnymi technikami teatralnymi, próbujący niekiedy wyrażać poprzez nie pewne mity europejskie, co daje czasem zaskakujące efekty, są też wyjątki innego rodzaju, ale o tym potem.

Gospodarze, Teater 9, ma pośród zespołów szwedzkich najlepsze warunki pracy. Wyalczył dla siebie gmach, otrzymuje też skromną, ale zawsze, dotację, od rady miejskiej Sztokholmu. Zarobił na to latami ciężkiej pracy, dając od roku 1963 prawie 50 premier. To już uznana instytucja kulturalna, gromadząca wokół siebie przyjaciół o zbliżonych zapatrywaniach politycznych, dająca azył innym, podobnym zespołom ze Skandynawii. Jest to teatr aktywny; także w tym sensie, że stara się również poprzez zorganizowanie teatralnego spotkania, w którym uczestniczymy, prowadzić własną politykę kulturalną, polegającą na rozwijaniu społecznego nurtu w kulturze kraju, który stał na sprowadzanie najdroższych śpiewaków, najdroższych dyrygentów, reżyserów itp., ale który w gruncie rzeczy jest pasywny kulturalnie, nastawiony raczej na konsumpcję

mach XV Łódzkiej Spotkań Teatralnych, oba były już opisane, nie będę więc wracał do nich od nowa. Oba mają wyraźne polityczne intencje. Pierwsze, to konfrontacja dwu światów, zmierzająca w intencji zespołów do porozumienia, do wzajemnego uczenia się na błędach partnerów: otwarta propozycja współpracy ponad barierami wynikającymi z różnic ustrojowych. Drugie jest czystą w intencjach i egzemplifikacjach apoteozą internacjonalizmu, mającego swe źródło we wspólnocie celów dwu narodów słowiańskich.

Wybór tych właśnie, a nie innych przedstawień na otwarcie i finał I Sztokholmskiego Międzynarodowego Spotkania Teatralnego, świadczą o zamiarze organizatorów co do dalszego kierunku spotkań oraz o tym, do czego IFIT przykłada wagę największą. Poza nimi znalazły się w programie kierunku spotkań, a to: „Wiosna Ludów”, przedstawienie — „Wesele” według Bertolta Brechta i „Commedia dell'arte”. Zespół ten, wręcz ekwilibrystycznie sprawy, włączający do spektakli elementy niemal cyrku, umiemy nawiązywać bezpośredni kontakt z publicznością w sposób spontaniczny, nie narzucający się nie gubi przy tym w swych przedstawieniach ich wymowy. Bo przecież „Wesele” (pełny tytuł brechtowski — „Wesele drobniomieszczanina”), jest przy tym zjadliwą krytyką wartości świata mieszczaństwa.

tem manipulacji, również poprzez sztukę. Korzysta „Comuna Baires” z historii Ethel i Juliusa Rosenberga, przywołuje teksty Juliusa Fucika, odwołuje się do George'a Orwell'a, Woltaire'a Jeana Jacquesa Rousseau, Immanuela Kanta. I, jak to bywa przy tego rodzaju collage'ach, niektóre elementy wymykają się poza intencje zespołu, zaczynają żyć życiem własnym, podlegając przez to interpretacjom dość dowolnym, rozchwianym. Niezrozumiałe zwłaszcza wydaje mi się umieszczenie w spektaklu postaci Fucika. W takich momentach wydawało mi się, że „Comuna Baires” sama pozwala się manipulować przypadkowi, tworząc nowe fałszywe wbrew swym intencjom. Pogłębiające były one przez to, że zespół, mający ambicje zamienia „samym teatrem”, ponad barierą języka, używa jednak języka włoskiego, formułując w nim wiele znaczących dla spektaklu kwestii — nie zabrawszy o skrótowne choćby, o „kierunkowe” wyjaśnienie ich znaczenia. Z tego też powodu trudno o kateryczne opinie — podziwiać można, jak powiedziałem, pewne sceny tłumaczące się same przez się teatralnym wyrazem, podziwiać można dyscyplinę zespołu, pozwalającego się niemal torturować na scenie, można akceptować ogólną wymowę spektaklu, będącego, jak mi się wydaje, apelem o uczciwość wobec siebie i wobec historii, trudno jednak wdawać się w precyzyjniejszą analizę.

Ot i kwestia języka. Teater 9 przedstawił własną wersję mitu Prometeusza według Aj-schylosa. Reżyser tego spektaklu, Stefan Johansson, odwołując się do doświadczeń rebelii studentów Zachodu, wprowadza na scenę Prometeusza jako współczesnego, nieugłaskanego intelektualistę, którego społeczeństwo niszczy, używając nie sępów i skały Tartaru, lecz tortur właściwych współczesnej technice. Spektakl poprzez odwołanie się do powszechnie znanego mitu, poprzez użycie bardzo czytelnych i wyraźnie ukierunkowanych wyobrażeń widza środków wyrazu, jest, mimo że używa się w nim języka szwedzkiego, całkowicie czytelny. Rzecz



„Comuna Baires” na ulicach Sztokholmu

nie angażując do tego teatru. I tak to sprawozdanie przekazywało się na kobiecą stronę. Czy niesłusznie? Chyba słusznie, bo tak, po zastanowieniu — ten temat opanował festiwal w równym niemal stopniu co inne kwestie (o Finkach i „Porquettas” tylko wspomnę, że według mojego sądu chciały się dorobić na ideologii „Woman's Lib. i przedstawiły niesmaczną apoteozę damsko-damskiej miłości. Ich sprawa).

Włosi nie przelebili się, nikt z „Comuny Baires” nie dostał nawet kataru. Cóż może wiarę w teatr! Pod koniec festiwalu wszystkie zespoły zostały zaproszone przez Mera Sztokholmu do Stadhuset, gdzie głównymi atrakcjami były — sala, w której wręcza się Nagrody Nobla oraz langusty serwowane podczas przyjęcia. Tym sposobem mer dał znać, że i Sztokholmskie Spotkanie Teatralne uważa za ważne i cenne dla Sztokholmu i Szwecji.

Przemyslałem sobie to wszystko przewracając się z boku na bok na wąskiej, twardej pryczy, już na af Chapman.

JERZY KATARASIŃSKI

Foto: M. Wojtechowski



Andrzeja Kuśniewicza (urodzonego 30 listopada 1904 roku w Kowenicach koło Sambora) uznać można z pewnością za fenomen w naszej współczesnej literaturze. I to z kilku względów. Po pierwsze: zadebiutował wyjątkowo późno, gdy liczył sobie lat pięćdziesiąt z okładem. Po drugie: od tego czasu należy do najplodniejszych i najruchliwszych (również w sensie ukazywania się na małym ekranie) naszych pisarzy. A z pewnością nie powiedział jeszcze ostatniego słowa; niebawem powinna się ukazać w PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej jego najnowsza powieść *Witraż*. Po trzecie: należy do autorów cenionych i docenionych. Także poza granicami naszego kraju. Nie tak dawno przecież przebiegł wzdłuż francuski rynek. Próbuje się też przekładać prozę Kuśniewicza na język filmu, vide *Lekcja martwego języka* w reżyserii Janusza Majewskiego. I po czwarte: jest autorem popularnym, bądź — jak kto woli — modnym. Nie znać twórczości Andrzeja Kuśniewicza, nie mówić o niej, nie pisać — po prostu nie wypada.

Jego książki nie tylko nie stanowią ciągu fabularnego, lecz i w obrębie poszczególnych utworów fabuła odgrywa rolę dalszoplanową. Obdarzony wielkimi zdolnościami narracyjnymi pisarz chętnie korzysta ze zdobyczy prozy dwudziestowiecznej, miesza przy tym sposoby opowiadania, gatunki literackie, poetykę powieści wzbogaca o elementy ballady i gawędy. Fascynuje go przemierzanie kultur wynikię z bliskiego sąsiedztwa różnych nacji — często sięga więc pamięcią do odległych czasów własnego dzieciństwa i młodości, wraca wspomnieniami do stron rodzinnych. Powroty owe mogą znaleźć i inne wytłumaczenie, nawiązujące do dawnych rewelacji Freuda: to przecież doznania dzieciństwa są dla życia psychicznego niezwykle ważne, stają się źródłem większości kompleksów, wynikających ze skutecznego tłumienia pożądań oraz popędów i spychania ich w sferę podświadomości. Wyładowanie — jak wiadomo — następuje najczęściej po latach, a i to z reguły w sposób pośredni, symboliczny. W kolejnych utworach ukazuje Kuśniewicz coraz to inne mechanizmy tłumiące kompleksy zepchnięte zrazu w nieświadomość, a odywające w wieku dojrzałym. Tęsknota zaś za młodością — to nic innego jak odmiana wątku faustycznego, stwarzającego okazję do wielu podtekstów. Wśród nich skłonnościom poznawczym i inspiracjom literackim przypada miejsce niepoślednie. Nie zawsze zachowuje pisarz w tym względzie konsekwencję, ale uwarunkowane jest to i zmiennością realiów i potrzebą poszukiwania nowych rozwiązań starych spraw.

Krytycy i recenzenci stosunkowo często przysnawali się do kłopotów, jakie nastroczać może próba streszczenia jego powieści. Wynika to stąd, że zdecydowana większość wydarzeń w nich przedstawionych posiada wyjątkowo pretekstowy charakter, z reguły potrzebne są one o tyle, o ile dostarczają dogodnego punktu wyjścia do komentarza, do snucia dywagacji. Mniej wyrobiony czytelnik nie zawsze nawet dostrzeże moment, w którym miejsce szczytowej fabuły zjawia się eseistyka, dość zrestia swoista, bo oparta przede wszystkim na Kunszie aluzji.

Do aluzji ulubionych należy postać Fausta — pojawia się w każdej niemal powieści. Publikowany przez czas jakiś na łamach *Literatury* eyki wypowiedzi *Moja historia literatury* (który równie dobrze mógłby nosić nazwę *Moja prywatna biblioteka*), rozpoczął Kuśniewicz od wymienienia dwóch najważniejszych dlań książek — *Odysei* i *Fausta*. Ten ostatni wybór motywował następująco:

„Faust” to symbol pokusy uzyskania czegoś dla nas bardzo ważnego nawet za cenę zaprzędania się Złu. A na tym polega poświęcenie wartości mniejszych dla osiągnięcia większych, a zatem cała nieco gorzka mądrość...

Cała kultura, a nawet szerzej — cywilizacja, nosi w powieściach Andrzeja Kuśniewicza cechy faustyczne: powoli obumiera (jak niegdyś utrzymywał Spengler), a pragnie się odrodzić! Bohaterowie tych powieści starają się więc niejako powstrzymać proces starzenia. Wbrew wiedzy i doświadczeniu pielęgnują w sobie wiarę, iż będą mogli się odrodzić, powstać na nowo, jak feniks z popiołów. Na wierze tej opiera się — zdaniem autora *Trzeciego Królestwa* — *morfologia ludzkiego gatunku*. Jednocześnie wspomniani bohaterowie mają świadomość, iż za odmłodzenie trzeba będzie zapłacić wysoką cenę. I płacą, pełni determinacji, muszą bowiem powrócić do kraju lat dziecinnych oraz w okolicę młodości górnej i chmurnej, by w przypomnie-

niu i przewartościowaniu rozpoczętych wtedy spraw znaleźć określenie i wyjaśnienie naszego Dziś przez wielkie D.

W prehistorii jednostkowego rozpoznawania zjawisk świata następuje zetknięcie z nierzęczywistą rzeczywistością, ową *die unwirkliche Wirklichkeit*, tak często eksponowaną w powieściach Kuśniewicza i polegającą na systematycznym i coraz głębszym wnikanu w sztucznie poklepane, czyli rejestrowane w kulturze, nawarstwiającej się przez całe generacje strefy najpierw rodzinnej, a potem coraz szersze zataczającej kręgi, pamięci. Jej rozpoznawanie zapoczątkowane zostaje w dzieciństwie, jej rozumienie pojawić się może znacznie później — dopiero w wieku dojrzałym. Do jej wyjaśnienia zaś potrzebne są oba elementy. Stąd bierze się tęsknota za młodością, potrzeba cofnięcia się w czasie by na przykładzie zrozumienia własnego życia wykazać sens tradycji historycznej, narodowej, kulturowej. Nawet wówczas, jeśli teza ta nastroczać będzie trudności. Ontogeneza jest przecież powtórzeniem filogenezy!

Faustyczna droga do odmłodzenia wiedzy

strukturzy i prokuratorzy po zakończeniu pracowitego dnia przemycają chylkiem do podrzędnych domów rozpusty.

Lecz świat jest nie tylko chaosem. W *Królu Obojpa Sycylii* jest groźny i destrukcyjny. Tradycyjne zadanie, by go porządkować i interpretować nie może zostać właściwie spełnione. Zaświadcza to choćby początek powieści: rozpoczyna ją Kuśniewicz czterokrotnie, a każda wersja posiada taką samą wartość, czytelnik może wybrać sobie dowolny wariant. Można stąd zresztą wysnuć wnioski o propozycji partnerstwa wobec czytelnika, jakie pisarz zakłada przy odczytywaniu swoich powieści — podróży do źródeł.

O ile określenie Kazimierza Wyki c. k. ballado-powieści dobrze oddawało charakter wcześniejszych utworów Andrzeja Kuśniewicza, o tyle w przypadku *Stref* — najgłośniejszej chyba książki — mówić można raczej o galicyjskiej ballado-powieści, albo, lepiej, o galicyjskiej gawędzie. Gatunkowe cechy gawędy są tu zupełnie wyraźne: brak więc zdecydowania kompozy-

niowych i tworzenie takich smętych pojęć. Tam, gdzie przemieszały się i mieszały narody i kultury nie może być ani jednostronności, ani jednoznaczności. W ten sposób oglądamy w powieści konkretny świat Trójkąta Wielkich Łąg, ale w ten sam sposób patrzymy potem na cały świat. Również narracja *Stref* jest gawędą zwielokrotnioną. Różne media ukazują te same wydarzenia, za każdym razem odmiennie, z inaczej rozłożonymi akcentami. Właśnie owe akcenty zdają się być najważniejsze — wszystkie są subiektywne, lecz układają się w całość nierozdzielną i każdy składnik jest jednakowo ważny. Tak oto dochodzi autor do prawdy syntetycznej. Myliliby się jednak ten, kto by przypuszczał, iż jest ona prostą sumą wyrazistych subiektywnych racji. Racje owe muszą się po prostu bez przerwy mieszać i krzyżować.

Symbolicznie i prościej potraktowane zostały w *Strefach* pojedyncze losy. Z nich bowiem wyrasta los uniwersalny, subiektywne w miarę upływu czasu stara się przejść w obiektywne. Wspólne uczestnictwo w minionym, przypomnienie i rozpamiętywanie na zasadzie zwielokrotnionych wyznań, wygłaszanych podczas domniemanego spotkania koleżeńkiego, polega najpierw na celowym zgęszczeniu informacji, potem na szukaniu znaczeń, wreszcie na wzajemnym określaniu się. Pokonywanie kolejnych stref pamięci, zabarwione ledwo skrywanym sentymentem wobec młodzieńczych nieporadności i mitologii, to nic innego w końcu, jak dążenie do ukazania integracyjnej funkcji literatury.

Wymowną symboliką średniowiecznego opata Joachima de Fiore posłużył się Kuśniewicz w *Trzecim Królestwie* z całą przemyślnością. Oto zbieżność może najwyraźniejsza — res sacra miser: nie mogą nasycić wszystkich głodnych i zarazem nie mając zamiaru zmniejszyć rosnącej różnicy dochodów i poziomu życia, w obronie sytych wyniesiono na piedestał ubóstwo jako najwyższy ideał moralny. Ten relikw średniowiecza jest nader żywotny, głoszą go różne sekty, komuny, hippisi, obiecując w zamian Trzecie Królestwo. W taki oto sposób przypominają średniowieczne Domy Dobrowolnego Ubóstwa oraz Gminy Wspólnoty Całkowitej, nie mówiąc już o zakonach żebraczych, jako swego rodzaju poprzedników różnych *Aniółów Piekła* — czy zwykłych kłozardów i beatników. Znajdują dla nich wspólną formułę protestu przeciw tak zwanemu establishmentowi.

Kontestacja, czyli odmiana społecznego protestu, wynika nie tylko z tradycji, nie jest zwyciężym odruchem ludzkiego buntu. Warunkuje ją gwałtowny rozwój cywilizacji, jego natęczenie. Warunkuje ją pogarda dla materialnych celów. W szaleńczym wyścigu cywilizacyjnym, przy coraz szybszym tempie życia, w chaosie wartości współistniejących w dzisiejszym świecie, coraz łatwiej o zagubionych i buntujących się, poszukujących namiastki ucieczki, marzących o azylu, bezradnych wobec podziału wiedzy na coraz więcej specjalności i podspecjalności, z coraz mniejszymi szansami na całościowe ogarnięcie świata. Tym większą wymowę nabiera precyzyjnie określony czas akcji powieści: 21 lipca 1969 roku, kiedy to pierwszy człowiek wylądował na Księżycu. Czy nie można tego potraktować jako próby symbolicznej ucieczki?

I wreszcie *Lekcja martwego języka* — powieściowy traktat o Sztuce i Śmierci. Rozmyślania bohatera tej książki, zabarwione filozoficzną głębią, ale i scholastycznym machinacjami dadzą się sprowadzić do kilku podstawowych, odwiecznych niemal problemów i przeciwstawień. A więc tradycyny manicheizm: Dobro i Zło oraz wszystko, co te pojęcia łączy, dzieli i przenika. A więc radość i smutek, ból i szczęście, finalizm i przypadkowość. Do tego mitologiczne sceny i twarde wojenne realia. Nade wszystko zaś Sztuka — domniemane panaceum na wszelkie dolegliwości obolałej Psyche.

Gdybym na koniec chciał jednym zdaniem określić Andrzeja Kuśniewicza i jego twórczość, rzekłbym: staroświecki nowoczesny pisarz. Jest Kuśniewicz pisarzem paradokso- i charakterystycznych zresztą dla czasów, w których tworzy: sentymentalny racjonalista, metafizyk żywiący kult do świata realnego, wierzący przy tym w większej mierze literaturze niżli temu, co nazywa się życiem czystym.

Nade wszystko wyróżnia go jednak cecha najważniejsza — potrafi zajmująco i znakomicie opowiadać.

# STAROŚWIECKI NOWOCZESNY PISARZ

przez symboliczne obnażenie się człowieka, przez choćby chwilowe ukazanie jego moralnej nagoci. Tak rozumiana młodość dąży do szczęścia całkowitego, nie przejściowego zadowolenia, o fizjologicznym często podłożu, lecz szczęścia jako namiastki boskości. Złudzenia tego poszukuje każdy, co ciekawsze ma nadzieję, że znajdzie — każdy gdzie indziej. W ten sposób człowiek jest zdeteminowany przez samego siebie, nie istnieje bowiem coś, co filozofowie zwykli nazywać dobrem obiektywnym.

cyjnego, wątki poprowadzone zostały bardzo swobodnie, często mamy do czynienia z powtórzeniami, zdarzają się także bezpośrednie zwro-

## TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI

ty opowiadającego pod adresem partnerów-narratorów. Przynajmniej odnieść to można do *Strefy pierwszej* — *Znaków Zodiaku*. Wyraźnie rysuje się w niej znamieny walor tego pisarstwa — fascynacja stykiem kultury, zainteresowanie mieszkającymi w tej samej okolicy przedstawicielami różnych narodów: Polakami, Ukraińcami, Żydami, Niemcami, Austriakami. Skomplikowane, uwarunkowane historią i aktualnymi wydarzeniami, relacje między poszczególnymi nacjami ujawniają się w rezultacie odsłaniania kolejnych stref pamięci. Niewyczerpana zda się być *cloaca maxima* pamięci, tworząca swego rodzaju szkolną fotografię zbiorową z tak odległych czasów. Na nawiązane w szkolnej ławie koleżeństwo i młodzieńcze przyjaźnie nakładają się linie narodowych, politycznych i religijnych podziałów. W pokojowym czasie wydają się młodym ludziom niezbyt groźne i wcale nie przeszkadzają im we wzajemnych kontaktach, wręcz odwrotnie, odrębność i wzajemna ciekawość zdecydowanie przyciąga. Z całą siłą wybuchną jednak w okresie wojny. Spłątane linie podziałów tworzą istny labirynt. Rozeznaniu w nim, już z odległej perspektywy, służyc ma wspólnie dokonywana zbiórka różnych faktów i nie faktów — może późniejszych lektur, snów. W taki bowiem sposób, poprzez przypomnienie i wyjaśnianie zjawisk historycznych i przeżyć osobistych, można próbować rozumieć rzeczywistość.

Kontakty plejady bohaterów *Stref* przez klębowisko zróżnicowanych, sprzecznych nierządności, przez konfrontację odmiennych spojrzeń na to, co ich otacza, służą przede wszystkim zwielokrotnieniu prawd subiektywnych, indywidualnych, by dać następnie świadectwo syntetycznej prawdziwości o Trójkącie Wielkich Łąg. Bo przecież aby czynić próby interpretacji świata niezbędne jest wychwytywanie wrażeń zwielokrot-

W twórczości Kuśniewicza jakże często chodzi o zwykłą nienaruszalność Stron Pierwszych, czyli pamięci pierwszych świadomych lat życia, owego niezmiennego świata postaci, kształtów, zapachów i dźwięków, odywającego już tylko na zasadzie mniej lub bardziej przypadkowych skojarzeń. Świata, do którego jednak bez przerwy się wraca. Świata, który dostarcza podstawowych elementów do wszelkich foto- i faktomontaży pamięci — stałego środka wyrazu wszystkich powieści Andrzeja Kuśniewicza. To, co ich narratorzy proponują jako rzeczywistość niejednokrotnie bywa widoczna od razu quasi-rzeczywistością, marzeniem, projekcją, zabawą, mieszaną wspomnień i lektur, a więc po prostu wyobraźnią. Właśnie wyobraźnia okazuje się swego rodzaju kamieniem filozoficznym, który potrafi rozpuszczać rzeczywistość na dowolne składniki i tworzyć z nich nową jakość artystyczną. Wyobraźnia okazuje się więc w końcu wcale nie najgorszą namiastką młodości. Chodzi oczywiście o typ wyobraźni prezentowany w niektórych powieściach Kuśniewicza, wyobraźni groteskowej, a nawet absurdalnej, wręcz monstrualnej niekiedy, a w każdym razie opozycyjnej wobec zastanego świata, sprzeciwiającej się utartym normom i zwyczajom.

Młodość, czyli swego rodzaju prawdziwość odruchów i gestów, przeciwstawiona zostaje maskom i symbolom kultury, jej złudzeniom i oszustwom. Prawda tkwi w żywiole, nie w konwencji. Kultura sublimuje i stara się utrzymać człowieka w ryzach. On jednak wymyka się — tak właśnie jak w powieści *W drodze do Koryntu* godni społecznego szacunku poeci i myśliciele, pedagodzy i sędziowie, kon-

EWA FILIPCZUK

## SYN

jeszcze nie potrafi założyć  
koszuli butów spogląda na mnie  
spoza zielonej wody rozgrzebuje ziemię  
bawi się ślimakami nikogo nie krzywdzi  
to jeszcze przed nim czeka  
aż minie dręczące dzieciństwo mój krzyk  
ucichnie a on dorósł — o wtedy  
przekonam się  
że

## POEZJA

garstki zdań  
pięknych i prawdziwych  
ale samotnych

to nie wyprzedzą mowy  
gdzie każdy udaje

nie słowa obłąkane

zawsze spokojna  
powinna przyjmować prawdę  
ze wszystkich rąk  
bez próżności dziecinnej  
i chęci sprzeciwu

a powleczone poezję  
mgłą ciemności  
i z czasem  
zgrabiono do niej klucz

## DRZEWO

To co tak cicho wyrosło zaczyna już rodzić  
pierwsze pąki i kwiaty owoce i śnieg  
A jeszcze nie myślałem o pierwszym spacerze  
Tymczasem pory roku lekko przemieniły  
Teraz w głębi ogrodu połyskują kropelki  
A to co weszło rośnie kwitnie owocuje Nawet  
Nie zapytałem czy chcesz ze mną iść  
Nie zdążyłeś powiedzieć  
że cokolwiek było Będzie inaczej Potem  
kiedy już zakwitło  
to stare drzewo przed nami Wtedy nas nie było



# HI-FI MARZENIA

Mikołaj Grabowski rozgrywa spektakl „tu i teraz”. Tu, bo zrobimy dwa kroki, mogliśmy wejść na scenę, włączył się weekend. Coś, co nas od tego powstrzymuje, to to, że nie jesteśmy nawet na rauszu, więc powstrzymuje nas nie tyle czwarta ściana, co bariera psychologiczna, ale kto wie, może się zdarzyć... Aktorzy są na wyciągnięcie ręki, widzimy więc, że Ewie Mirowskiej, Marii, trudno utrzymać się na nogach, tak jej deją mięśnie, więc zastanawiamy się w co Maria gra, taka pewna siebie i taka niepełna swoich nóg. Z początku jesteśmy zażenowani, jak byśmy wtargnęli w sam środek intymnej rozmowy nie mogącej się odwrócić, zatknąć uszu, ale powoli, w trakcie gdy Hanna Musiałówna, Lidka, dopija połowy butelki, swoją drogą ma lewą rękę dzwoniącą, przestaje nam to przeszkadzać. Tylko Maciej Małek, Stefan, każe nam trzymać się w półdystansie, bo facet nie pije, a z takim nic nie wiadomo. Więc na wszelki wypadek nie wchodzimy do dacy, bezpieczniejsze jest usiąść przy ścianie, i tak wszystko widać, a muzyki można posłuchać bez wchodzenia. Więc niby jesteśmy i niby nas nie ma, dzieje się to wszystko z nami i niby bez nas.

Jest to wszystko teraz, możemy sprawdzić, dzisiaj — bo leci „Dziennik Telewizyjny”, Chomein, swoją drogą niby wszystko mają, skóry, hi-fi, samochód, wódkę z „Pewexu” w butelkach 3/4, a na kolor się jeszcze nie szarpnęli. Nie tacy więc znowu bogaci, tacy sobie. No i tak to jest, jak jest. Lidka, niby socjolog, jeździ na sympozja z kim pójdziesz, nawet z Józkiem, Grzegorzem Heronimskim by się przespala, gdyby Józko nie był taki oferna, a gwałcił go przecież nie będzie. Sasiad, Ryszard Sobolewski, to też dobry numer, on by porządził, gdyby jeszcze mógł, a rzucił na pewno to widać, że w sprawie, kiedy na niby stworzycie Stefana. On tu najmniej pasuje, mniej nawet niż Józko, bo Józkiowi, wiadomo, kręca się koło dacy, najmniej pasuje, bo za długo się do-rabiał, może mu kiedyś nie wypadło i się wstrzymywał, teraz się nie wstrzymuje, dorobił się, ale co z tego, nie ma luzu, nawet nie wie, kiedy się nosi garnitur, a kiedy nie.

Słusznie Michał Sprusiński, pisząc w programie o Dacy Iredeńskiego, wspomina Naszą małą stabilizację Różewicza, tyle że u Różewicza sami sobie winni, a tu jest coś jeszcze. Lidka, Stefan, Maria, urodzili się po wojnie i może nie siedzieliby teraz na dacy, gdyby o dacy nie marzył Sasiad, na początku może nieśmiało, skrycie, bojąc się przyznać przed samym sobą, później już tylko przed towarzyszami, a później jeszcze to na pewno mu pomogli, tak jak teraz pomagają z drogą przez las.

Marzenia jednych są rzeczywistością drugich, Stefan dacy już po prostu ma, rzecz w tym, co dalej, o czym marzyć. Jakież to koszmarnie, gdy marzenia stają się rzeczywistością, gdy marzenia, szarżą, codziennie, aż się dostrzeżają że nie

było po co marzyć. Aby nie zwa-rować, jak Maria, która wszystko biała i bierze na serio, nawet marzenia, nie zachowując dystansu; trzeba zacząć grać z rzeczywistością, tworzyć sobie coś innego, tworzyć siebie innego, taka powłoka inności chroni, daje poczucie bezpieczeństwa i możliwości manewru, płynnego przechodzenia z rzeczywistości w nierealność. Tak, trudno się w tym polapać. Jaki jest Stefan. Jest impotentem, czy nie? Może to gra pigrowa? Mówi, że jest impotentem, bo jest impotentem, a mówi po to, byśmy myśleli, że jest Casanovą — bo jakifacet wprost się do tego przyznaje: skoro tak mówi, to jest Casanovą. Albo — mówi, że jest impotentem, bo jest Casanovą, tyle, że ma dość Lidki. Co z Lidką? Czekala na chłopaka, z którym ma się przespalić pod bokiem męża, czy też wymyśliła go po to, by Stefan stał się dla niej Casanovą. Co z nimi obiegłiem. Będą mieli dziecko, czy nie. Może mieć Lidka dzieci, czy nie? Być może tak, ale teraz po prostu nie jest w ciąży i dlatego pije, być może, że nie może — i dlatego pije.

Gra nie jest przywilejem ludzi a dacy. Gra także Józko — w UFO. I teraz — wierz w UFO naprawdę, czy też wierz czasami, albo — wierz, aby w coś wierzyć? Gra obejmuje wszystkich, najdłużej trzyma się Sasiad, ale bo też on najdłużej dochodził i ostatni doszedł do dacy i trzeba mu czasu, aby dostrzegł, że marzenie skurczyło się, zmalało, że aby żyć, trzeba sobie coś wymyślić, aby rozczarowania nie następowały zbyt szybko, trzeba wymyślić coś, co ma najmniejsze szanse zrealizowania, coś odległego, najmniej prawdopodobnego, takie hi-fi marzenie. Więc wreszcie i Sasiad zacznie grać przed sobą w UFO.

Została tylko Maria. Co z Marią. To przypadek beznadziejny, sama sobie winna, nie trzeba tak wierzyć, nie trzeba tak uparcie, egoistycznie, trzymać się siebie i swych marzeń. Jak się ktoś nie umie znaleźć w aktualnej konwencji, to trudno, tylko jakiś Deus ex machina może uratować Marię. I przychodzi Deus ex machina — mąż Marii, Andrzej Jędrzejewski, i zabiera ją do innej rzeczywistości, w inny wymiar, w inną czasoprzestrzeń, dzieląc się obok nas, w której UFO są realne. Teraz już będzie można spokojnie przyjeżdżać na dacy. Co będzie dalej z jej mieszkańcami? Któż to może wiedzieć. Zmieniać się będą kolejne wydania „Dziennika Telewizyjnego”, a oni chyba pozostaną tacy sami, wymyślą tylko nowe, bardziej skomplikowane gry, bo wszystko przecież idzie do przodu.

Kiedy ich dzieci spotkają kiedyś UFO, spokojna głowa, że zaproszą na dacy i zaczną grać z nimi.

GEORGE KATHARAS

Teatr Im. Jaracza, Mała Scena. Ireneusz Iredeński, „Dacy”, reżyseria: Mikołaj Grabowski, scenografia: Jerzy Rudzki, premiera — 23 listopada 1979 r.

Fred Zinnemann, którego film „Stąd do wieczności” niedawno przypomniła telewizja, przez wiele lat utrzymywał się w czołówce tuż Hollywoodu. Wyniosły go na piedestał nie tylko raporty kasowe o jednoznacznej wymowie. Wprawdzie największy film Zinnemanna, western „W samo południe”, trafił na ekrany raczej przez przypadek niż dla walorów artystycznych (producenci chcieli odłożyć film na półki, ale przagnęli też zwrotu chociażby części kosztów wypuścili na rynek płytę z piosenką; powodzenie płyty sprawiło, że i film wszedł potem do rozpowszechniania). W przypadku „W samo południe” publiczność i krytycy znakomicie godzili się w ocenie. Klamstwem zresztą byłoby twierdzić, że krytyka en masse była Zinnemannowi niezyczliwa. Zawsze powiadało, że Zinnemann ma szlachetne, postępowe intencje — przykładem antyhitlerowski „Ślodym krzyż” wg Anny Seghers, a najbardziej właśnie „W samo południe”, film wymierzony w maccartyzm, chwalo-nawodzenie aktorów, piękne zdjęcia, płynność opowiadania itd. I tylko młody krytyk, Andrew Sarris, przedstawiciel Nowego Filmu Amerykańskiego zwanego „kinem podziemiem”, które zaczynało wtedy rozkwitać, sporządzając własną listę wielkich reżyserów określił Zinnemanna mianem „upadłego bóstwa”. Zarzucił mu ekletyzm, a co ważniejsze — fałsz.

Zwłaszcza ten ostatni zarzut zdawał się trudny do przyjęcia. Oskarżać artystę, któremu zawdzięcza się dobre, oczyszczające przeżycie, że jest nieszczerzy, a przy tym uzasadniać oskarżenie argumentami dotyczącymi roboty filmowej, a nie wymowy filmu, wyglądało na rzecz ryzykowną i mało komu mogącą trafić do przekonania. Jeśli jeszcze dodać do tego koleżeńskie uczynki Zinnemanna, swego czasu pokrywany milczeniem, później głośny, mianowicie zatrudnienie jako scenarzysta „W samo południe” Carla Foremana, któremu McCarthy odmówił prawa do pracy, jasno będzie, że podziemia krytyka nie mogła wyjść z podziemia. Nie przeszkodziła Zinnemannowi zrealizować dwóch następnych, uhonorowanych Oscarami filmów. „Oto jest głowa żarzący” (o Tomaszu Morusie, oglądany ostatnio w telewizji) i pamiętnego „Dnia szakala” wg słynnej powieści Forsytha.

Dopiero dzisiaj okazuje się, że to młody krytyk z podziemia, wypowiedział się na łamach podziemnego pisma „Film Culture”, miał rację. Co ciekawe, nie myślał się w ocenie, nie myślał się też w doborze argumentów. Bo właśnie owa doskonale opanowana, żeby powstrzymać się przed słowem „ugrzeszczona”, reżyseria Zinnemanna, traciła faszem. Zrozumiećmy narazie, że sprawy idą, a pozostaje przy użyciu terminologii — sprawy treści, są nieodłączną częścią spraw formy. I że ujmując w ryzy, pozostawiając oddechu, spłaszczając niejako obraz filmowy — ujmujemy też w ryzy myśl, którą obraz ten mógłby przekazać.

Jednakże żeby to zrozumieć, trzeba było nie słów, ale filmów. Podziemia Nowy Film Amerykański i podziemia krytyka nie tyle rozbiły Hollywood, ile spowodowały narodzić się nowy Hollywood. Śmierć starego przypięczony były fakie filmy, jak „Dzień weselny” Altmana i „Lot nad kukułczym gniazdem” Milosa Formana — z tytułami aktualnie wyświetlanych, a nie uboższe w środki finansowe — gdyż w środki artystyczne były bogate, eksperymenty podziemia.

Zastanawiam się, dlaczego oglądając po latach „Stąd do wieczności” czułam narastające rozczarowanie i niesmak. Wiadomo, że telewizja zniekształca odbiór filmu zarówno z przyczyn technicznych, jak psychologicznych (widz jak samotny żagiel tkwi przed ekranem i widzi maty obraz niczym z lunety zeglarza), ale to nie telewizja była winna moim uczuciom; jak jeśli można winić to za to, że przedstawiał film archiwalny („Stąd do wieczności” pochodzi z roku 1953) posłużyła się równie archiwalnymi kryteriami: podnosiła zalety, wyliczała Oscary (tu było ich aż 8), lecz wystrzegła się przyznania „złotego”. Zatem, czegoż chcą od tego szlachetnego, broniącego godności człowieka filmu? Dlaczego nie zachwyca mnie bezbłędnie symetryczny obrazek z Montgomerym Cliftem po prawej, z Burtem Lancasterem po lewej i drzewkiem po środku, które uzmysławia może przedział w postaciach obu bohaterów, dopóki miłość id? Czemu Montgomery Clift wydaje mi się niedogodnym roli, jaka zagrał w „Procesie w Norymbierdze” Stanleya Kramera, a Bert Lancaster nie ma żywiotowości, która dała krew ludzkie wymiary bohaterowi „Łowców skalpów” Sydneya Poella? — Dlaczego takie ilustracyjne jest to Zinnemannowskie „Stąd do wieczności”? Prawda, film adaptuje powieść Jamesa Jonesa, co tłumaczyłoby pewną wtrótność, jednakże — nie szukając daleko — również „Lot nad kukułczym gniazdem” oparł się na utworze literackim, ponadto z gatunku niebezpieczniejszego dla filmu niż powieść, bo na sztuce teatralnej, a nie jest ani ilustracyjny ani wtrótny. Być może już tutaj, u samej genezy, zaczyna się zasadnicza odmienność obu filmów.

Odmiennie tym widoczniejsza, że i podobieństwa są niewątpliwie. Zarówno „Stąd do wieczności”, jak „Lot nad kukułczym gniazdem” biorą za przedmiot grup ludzi wyodrębnioną wskutek specyficznej sytuacji życiowej, w jakiej ludzie ci się znaleźli bądź z wolnego wyboru (Zinnemann), bądź pod przymusem (Forman). Dalej w obu filmach chodzi o współzycie tych ludzi z układem, w obu występują bohaterowie nie chcący i nie mogący się przystosować (Montgomery Clift u Zinnemanna, Jack Nicholson u Formana) i ulegające, mniej odważna reszta. Wreszcie wulgaryzując, ponieważ słowo „upraszczając” byłoby tutaj za słabe, powiedzmy, że w obu filmach układ jest jednakowo „zły”, krapujący, odzierający człowieka z indywidualnych cech człowieczych i nacelowany na uczynienie zeń kółka w maszynie.

Ale że „Stąd do wieczności” został dzisiaj banalny melo-

dramat. Zinnemann prawi gładkie frazery, gdyż poruszony temat nie był jego tematem. Ten ekletyk wziął go od Jonesa i przedstawił w hollywoodzką maestrią, czyli sztucznia. Forman natomiast nosił podobny temat w sobie, sam go niejako przecierpiał, a ze sztuki teatralnej zaczerpnął jedynie „dramaturgiczne mięso”, watek, który — w sposób czysto materialny — pomógł mu wyrazić problem środkami nowoczesnego kina. Co sprawiło, że problem poszerzył się i wzbogacił, że obchodził nas istotnie, że nami wstrząsa. Paradozem jest przy tym, że nowoczesne kino tak „realne”, trójwymiarowe w odbiciu rzeczywistości, potrafi radykalnie od kina sztucznego, „artystycznego” wyrwać się z zakłętego kręgu hinc et nunc i nabrać wymowy uniwersalnej.

Żeby nie krzywdzić Zinnemanna: zdarzyło się w jego karierze że i on zrealizował dzieło ponadczasowe. Było to jednak „W samo południe”, western, którego świat umarł podobnie, jak świat pastuszków i królówien z europejskich bajek. Kowboje i szeryfowie, cały malowniczy Dzik Zachód w ogóle, nie przagną już rozsadzać ram obrazu. Poddają się bez buntu zabiegom zmierzającym do zawiadnięcia światem, w którym żyli. Skonwencjonalizowana forma harmonizuje ze skonwencjonalizowaną treścią, która bowiem śmiało choćby szepnęła, że dobro nie powinno zwyciężać, a strach rządzić ludźmi?

# STĄD DO LASU, GDZIE KUKUŁKA KUKA

Ale — przez przekorę — przydałoby się w tym miejscu powiedzieć, co o podobnych, ujętych w ramy skonwencjonalizowanych i ujarzmionych obrazach sądzi pewien znakomity chociaż kontrowersyjny krytyk amerykański starszego pokolenia, Parker Tyler. Otóż obraz zawiera zawsze jakąś przestrzeń i jako twór umysłu ludzkiego narodził się właśnie ze strachu przed przestrzenią. Natura każe nam za nią tęsknić; doświadczenie uczy, że czujając tam różne niebezpieczeństwa. Zatem wykonując i podziwiający obrazy czynimy zadość naturze i doświadczeniu. Wielbielcy kina i maniaci telewizji, uciekamy przed tym, czym może grozić przestrzeń rzeczywistości, powodowani lekkiem tym samym, któremu ulegał jaskiniowiec przedstawiający na skądziej ścianie scenę z polowania. Przedstawione zwierzę, choć znajdowało się w doskonale oddanym ruchu, tak czy inaczej było upolowane: istniało nie odbiegając i nie krzywdząc.

Przez długie lata film karmił nas podobnie upolowanymi obrazami. Magia kina, o której tyle się mówiło i mówi, zwiózła pozorem, że ukazuje świat rzeczywisty. Ale kto wie, czy przede wszystkim nie polegała na tym, że uśmierzała lek: galopujący na kamerę koń z westernu wpadał, zdawało się, na nas, ale nikogo nie powalał; cios gangstera nie nam tamął szczękę. Magia — i zarazem fałsz. Bo nic, co prawdziwie, nie może wyrosnąć z lęku.

Proces uwalniania przestrzeni z ram zaczął się w malarstwie na przełomie XIX i XX wieku. Był dla malarstwa, które odmówiło zgody na porównywanie obrazu do obramowanego „okna na świat” (porównanie to wprowadził, jak wiadomo, renesans, swolstwem stawianiem czoła rzeczywistości, akceptacją naturalnych praw płaszczyzny. Przychodził i nas, odbiorców, byśmy także ze swojej strony stawali rzeczywistości czoło, przemogli strach i weszli w realną przestrzeń — gdyż z malarstwa zniknęły ostatnie jej pozory. Wtedy poszukaliśmy namiastki rzeczywistości i przestrzeni realnej w bezpiecznym kinie.

Obecnie i ten azyl (nie ostatni bynajmniej, bo zawsze pozostaje telewizja) otwiera się i nie chroni. Przedział, na który wyniesiono Freda Zinnemanna, zachwiał się już wtedy, kiedy Milos Forman zrobił „Miłość blondynki”. Wypożyczył w nowoczesne środki techniczne poszedł dalej i w „Locie nad kukułczym gniazdem” ośwobodził przestrzeń z ram i zakłamał częściwo, ograniczonej prawdy. Kamera porusza się jak żywy człowiek. Nie odda niewygodnych fragmentów przestrzeni. Jeżeli traci coś z pola widzenia, to dlatego, że jak patrzy człowiek obróciła spojrzenie w drugą stronę. Ale ta pierwsza, trzecia, czwarta, piąta i szesnasta — liczebnie można by mnożyć w nieskończoność, bo continuum przestrzenne również zdaje się nieskończone — istnieją i otaczają nas nadal. Żadne linie demarkacyjne nie dzielą tego lasu, to tylko poszczególne drzewa nadejdą na znaną drogę się w nim człowiek. Z pomocą innej, równie niezręcznej metafory można by powiedzieć, że przestrzeń niby ocean występuje z brzegów — gdyby Formanowski ekran miał brzegi.

Przeźrzenie nieujarzmiona nie daje się do końca przeniknąć. Sprawa sztuki jest, żeby to, co nieprzekonane, stawało się wieloznaczne. W życiu bowiem często bywa tak: iż rzecz mało zrozumiała, albo całkiem niejasna, po prostu nie znać. Idą poza nawias świadomości. Z filmu Formana niczego tak usunąć nie można. Głos kukułki odbijając się echem po tym groźnym lesie przywołuje wszystkie jego drzewa. Nabrzmiwają potem pytaniem, czy nie jest to film o nas.

JOLANTA MACH

Grzegorz Sztabiński należy do tych twórców, którzy własną działalność artystyczną dokumentują w pełni własną działalnością intelektualną. Jest bowiem Sztabiński artystą niezwykle indywidualnym równoległe uprawiającym sztukę, estetykę i krytykę plastyczną. Nigdy nie posób wartościować dzieł Grzegorza Sztabińskiego bez znajomości jego teoretycznych wypowiedzi — on sam o swoim malarstwie i rysunku wypowiedział się najpełniej.

Odbiór prac Sztabińskiego nie jest łatwy. Artysta rezygnuje z form które wywołują w odbiorcy jednoznaczna ostrą postawę emocjonalną. Forma intelektualizowana skomplikowana, we wzajemnych relacjach podział płaszczyzny, nastrojowo wyeksponowana bagna subtelna linia i plama wytworzyła atmosferę spokoju i sprzyjają rozważaniom nad znaczeniowymi warstwami obrazów.

# DRZEWA

Punktem wyjścia jest pejzaż, urokliwa przestrzeń otwarta wokół drzewa. Drzewo w rozwoju kultury spełniało wiele symbolicznych magicznych kultowych funkcji. Wydaje się, że w sztuce Sztabińskiego pełni również rolę symboliczną, staje się zastępnikiem syntezy całej natury. Forma drzewa jest nam doskonale znana drzewa jako bytu wtopionego w nasz świat rzeczywistości postrzegamy nieustannie. Wrota w nas i tylko czasem wracając jako przedmioty kontemplacji natężyć jako kontemplacji piękna natury, która w nas budzi pragnienie wolności. W obrazach Sztabińskiego otwarta przestrzeń pejzażu wnosi w świat sztuki wartości logiczne jest przesłanką do artystycznej i intelektualnej kontemplacji bytu jednostkowego i jednoczącego w sobie to co indywidualne i to, co w postrzeganiu przedmiocie powszechne. Ta artystyczna i intelektualna kontemplacja porównana być może do postaw egzystencjalnych w filozofii Dalekiego Wschodu.

W swojej twórczości Grzegorz Sztabiński rozważa między innymi problem: od którego momentu i jakie elementy struktury obrazu decydują o powstaniu komunikatu artystycznego w sytuacji gdy sztuka wchodzi w sferę teorii poznania dzieła sztuki. Wytwarza więc Sztabiński w swoim malarstwie pewien automatyzm. To zaś, co w malarstwie tzw. przedstawiającym jest ostatecznym elementem pracy artysty — pejzaż — u Sztabińskiego istnieje jako pierwszy element inaktywnej struktury całego obrazu, choć, jak wyraźnie to widać — jest to pejzaż skonstruowany, sam w sobie obrazem powoduje zastąpienie własnego obrazu.

Dla wytworzenia odpowiedniej konsystencji dzieła konieczna jest uprzednio ściśła selekcja i właściwy wybór przedmiotu poddawanego analizie i działaniu artystycznemu. Pozostanie przy jednym elemencie przedstawionym i tak w swojej warstwie przedstawieniowej dość skomplikowanym pozwala na prawie zupełne zanikowanie jego formy w kolejnych etapach kształtowania komunikatu o nim. Otwarta przestrzeń obrazu drzewa oddzielona najczęściej linia tonacją barwy stanowiącej tło płaszczyzny przechodzi w zarzucając iluzyjność przestrzeni intelektualna wyznaczona na obrazie w sposób linearny zgeometryzowany właściwy dla płaszczyzny. W ten sposób powstałych relacjach tworzy się na płaszczyźnie głębia nie będąca wynikiem konwencji przedstawiania iluzyjnego, ale swoistego logicznego uporządkowania linii relacji. Bieli do barwy ciemniejszego tła zarysu rytmów powtarzanych kształtów. Poza jak gdyby wyciętym pejzażem realistycznym innymi elementami tworzenia komunikatu są: linia przedstawionego przedmiotu w postaci ujętej sylwetkowo uszklawiona za pomocą plamy lub czysta linia ujęta konturowo barwą, która sama w warstwie analitycznej i przedstawiającej analizowany przedmiot przeciwstawia albo mieszcząca się w gamie barw pejzażu realistycznego.

Dokonywane na płaszczyźnie tło powtórzenia tworzą zwarty rytm zapisu jakby mechanicznego komputerowego jakby był on sporządzeniem niezbędnych danych notowaniem informacji do plastycznego opisu obserwowanego przedmiotu. Nostalgiczny pejzaż zostaje rozbity rozpisany na szczegółowe fragmentaryczne części przelozony na inny język operujący elementami podstawowymi formy malarzkiej.

Czy możliwe jest scalenie analizowanego przedmiotu tak, aby przy posługiwaniu się jego rozbitymi elementami uzyskać tego pierwotną formę? Czy możliwe jest opracowanie takich form zapisu aby były one adekwatnie w stosunku do analizowanego przedmiotu? W którym momencie artystyczny komunikat o przedmiocie artystycznym zaczyna bądź przestaje być czytelnym? Są to pytania immanentnie tkwiące w sztuce Sztabińskiego.

To, co pozornie wydawałoby się mogło w malarstwie artysty czysta gra zabawa logiczną ma właściwie cechy daleko idącego sondażu logicznego mającego na celu próbę stworzenia formy podstawowej dla zaistnienia komunikatu plastycznego oddzwierającą opisującego zjawiska plastyczne formy mieszczącej w sobie informacje o konkretnie i pozwalającej jednocześnie operować nimi w szerszym systemie symboliki abstrakcji. Powstałe w ten sposób nie spotykane dotychczas w sztuce zjawisko: obraz obrazu i komunikat o komunikacie (metaobraz i metakomunikat), które jest nośnikiem problemów poznawczych, nad jakimi zastanawia się współczesna estetyka.

MARIA KĘPIŃSKA

W Teatrze Nowym — sztuka Wincentego Rapackiego „Bogusławski”, która miała premierę w związku z 30-leciem teatru. Reżyseria Wojciech Piłarski, scenografia: Zenobiusz Strzelecki. Na zdjęciu od lewej: Sławomir Misiurewicz, Andrzej Zarnecki, Wiesław Wieremiejczyk i Piotr Krukowski.



Foto A. Brustman



Gdyby dzisiaj, kiedy dobrze jeszcze pamiętam ostatni tydzień w TVP, zjawiał się u mnie pan z tecką o nadruku OBOP (ma się to wyobrazić) i zapytał o najlepszą audycję telewizyjną, odpowiedziałbym bez wahania: „Wieczór z dziennikiem”. Zmiana formuły DTV nastąpiła w najważniejszym momencie. Trudno mi wyrokować o jej genezie. Można przypuszczać, iż skomplikowany spór wydarzeń między narodowych, a także znaczące dla naszego kraju ożywienie dyskusji ideologiczno-ekonomicznych zadecydowały o konieczności szczególnie animacji martwiącej już po trosze konwencji „Wieczoru z dziennikiem”. Jest on przecież nie tylko beznamiętnym przekazywaniem informacji o aktualnych wydarzeniach z Pałacu i na świecie, ale przede wszystkim najpowszechniej oglądaną trybuną kształtowania opinii społecznych, interpretacji rzeczywistości, najpotężniejszym wektorem perswazji ideowej. Sposób przekazania konkretnej wiadomości, jej miejsce w audycji, odpowiedni komentarz, ton głosu spikera, nawet jego — by tak powiedzieć — osobowościowy obraz — determinują ostateczny efekt perswazyjny.

spokojny moją odpowiedź, do ciekawie rozpytywał o kolejne najlepsze audycje ostatniego tygodnia, popadłbym w desperację: zaraz, zaraz — co tam było w poniedziałkowym teatrze? (klasykne rozwiązanie: chwalebne telewizyjne najczęstiej wymieniane teatry bądź filmy). Ach, rzeczywiście, sztuka E. Filippa „Sobota, niedziela, poniedziałek” w angielskiej inscenizacji — populistyczna komedia, jak znalazł dla publiczności telewizyjnej obliczonej na miliony. No tak, ale to import. Na najbliższy poniedziałek zapowiada się ramówka Jana Nepomucena Kamińskiego „Lepiej by było, gdybym się był nie zenił” (co na to redaktorzy programi? „Dzień dobry w kręgu rodziny?”). Tu trzeba najwyraźniej powiedzieć, iż teatr tv jest o krok od impasu (sukcesy francuskie to żaden kontrargument). Czyżby mało optymistycznie obserwacje Janusza Krasińskiego z ostatniego „Polityki” należało skierować również na sytuację teatru w tv?

A domniemy pan z OBOP czeka. Telewizja rozpoczęła właśnie sezon tańców na lodzie, ale ponieważ mistrzowie ukrywają się, przygotowując ekstrakursumy na Olimpiadę, preten-

Po ostatnim festiwalu gdańskim, gdzie filmy młodych twórców (Kieślowskiego, Falka, Holland, Kijowskiego i innych) określone zostały wywoławczym terminem „kina niepokoju moralnego” — krytycy dzielą się (sami) na tych, którzy termin ten i filmy uznają za pełnym znaczeniem i na tych, którzy widzą w nim wyłącznie nieprecyzyjną etykietkę, a i do filmów podchodzą z rezerwą. Czy istnieje trzecia możliwość? Czy można pisać, dyskutować o nich bez uprzedniego akcesu do którejś z grup?

O niektórych filmach z wymienianych ostatnio wypowiedziałem się już na tych łamach przed ponad rokiem — kiedy sprawa wywoływała mniejsze emocje. Obecnie pozostaje mi, zgodnie z sugestiami Kieślowskiego (dyskusja w „Literaturze” z 15 listopada br.: „Myślę, że wszystko co się stało należy traktować, jako sumę indywidualnych dokonań”), spojrzeć na jego od dawna powszechnie znany (ze słyszenia) i gdański na festiwalach w Moskwie i Gdańsku, a od paru dni oglądany wreszcie w kinach film — „Amator”, wyłącznie na tle dotychczasowej twórczości tego reżysera. Tym bardziej, że uznawany jest on za najbardziej osiągnięcie nowego nurtu.

Czy istnieje wspólny mianownik dla trzech filmów fabularnych Kieślowskiego („Personel”, „Biliza”, „Amator”? Oczywiście workowate „zaangażowanie w tematykę społeczną” do niczego się tu nie przyda. Szczegółowiej: widąc ściśle związki jedynie pomiędzy dwoma wcześniejszymi a filmem najnowszym, „Personel” był spojrzeniem na elementarną sytuację społeczną. Młody bohater postawiony został przed podstawowym wyborem etycznym. Jego konieczność wynurzała się prawie niezauważalnie z nieokreślonej wcześniej rzeczywistości widzianej okiem dokumentalisty — w swojej precyzności, szarości. Cały film — nieefektywnie adramatyczny — kończył się w momencie, gdy miało się dokonać to, co najważniejsze. Ale nie zawierał rozwiązania. Opis świata okazywał się być istotniejszy niż reakcja bohatera. Mikroskopowe spojrzenie na rzeczywistość decydowało o jej przekonującej analizie. W „Bilizie” ważniejszą jest spojrzenie makro. Przemiany gospodarcze i społeczne kraju ukazane są w swoim skomplikowaniu. Posunięta, uznana za obiektywnie słuszną, w jednakowym stopniu wywołują efekty pozytywne, jak i budzące społeczny protest. Budowanie nowego — niezależnie od intencji — rodzi nowe trudności. W sumie wszystko okazuje się pomyłką, ale stanowi podstawę następnych działań. Dialektyka epoki tworzenia jest więc ostatecznym tematem. „Amator” zawiera syntezę tamtych dwu punktów widzenia. Historia filmowca-amatora stawia w efekcie także przed wyborami etycznymi — ale właśnie w równym stopniu w wymiarze osobistym, jak i w ogólnym. Działanie z kamerą w ręku musi przecież automatycznie mieć społeczne konsekwencje. „Film jest dla nas najważniejszą ze sztuk”.

# BEZ ZBLIŻENIA

„za reportaż” pokazywany w telewizji. Ten moment odsoni więcej prawdy o rzeczywistości, niż najstrzeższy z filmów bohatera. Trzeci etap historii amatora jest najbardziej znaczący. Gdy redaktor Kędziński z telewizji (Bogusław Sobczak — jak zwykle w roli twardego managera) — jak zwykle w wyraźnej obawie, czy nie zaoparła przypadkiem dostatek artysty — ów zaprzecza niepowiada, ale jego spojrzenie ujawnia wypowiedziane w tym momencie kłamstwo. Potem — w scenie rozstania z żoną, amator przemienia się w wodzireja i wykrzykuje swoje pytanie „czemu teraz, kiedy mi wreszcie zaczyna iść”. Oczywiście, że protest ten jest w pełni zrozumiały. Role obserwatora, do jakiej narzucił się już przyzwyczajony, a którą narzuca mu kamera, wyklucza — wydawało się — działanie w drugą stronę: ciśnienie rzeczywistości na bohatera. Jest jednak inaczej. Ostatecznie Filip zostaje sam. W końcowym momencie nie znajduje kamerę niczego ważniejszego poza własnym przeżyciem, poza własną historią. Oczywiście domyślamy się, że w tej chwili redaktor Kędziński byłby poważnie zmartwiony. Teraz chodzi o to, czego materialnie nie ma — a właśnie jest tym bardziej. A to już sprawa sztuki. Jeszcze wcześniej jest rozmowa z dyrektorem: wszystko okazuje się bardziej skomplikowane niż mogło się wydawać. Dyrektor z „Amatora” ma za sobą doświadczenia dyrektora Bednarza z „Bilizi”. Trzeba „iść z nim nie zgodzić poza filmem, ale jego argumenty są zrozumiałe — „tak się ułożyło, że życie społeczne nie może być jawne”. Czy jest to kompromis „Amatora”? Paradoksalne wydaje się to, że przyczyną pozornie klęski bohatera jest pokazanie w telewizji faktów, o których i tak wszyscy dobrze wiedzą. W ostatecznej końcowej rozmowie bohater „Personelu” spotyka się z postacią z „Bilizi”. Zniszczenie taśmy z najnowszym filmem jest efektem moralnego wyboru. Zwrócenie kamery na własną twarz — również. Sytuacja narodziła się jednak w rzeczywistości opisanej właśnie w „Bilizie”. Powszechnie znane reguły gry miały szansę objawić się w indywidualnym ludzkim losie w sposób niepowtarzalny.

kalkulacji. Dyrektor wymaga, aby było w filmie „urzędowo”, ale bohater jadąc do Warszawy odpowie mu, że chce pokazać „jak u nas jest”. Jurga zagarnia filmy pieczęć pudełka z taśmą powiedzieć „i tą wycieczką to pan przeszedł: pijani, Oświećca”. Po raz ostatni pojawia się „chciałem to zrobić, bo tak jest” — wówczas, gdy będzie już za późno, wówczas, kiedy wiadomo, że popierający Filipa kierownik musi odejść na emeryturę.

Przykładowo: w sekwencji zakładowego jubileuszu, podczas występu Framerów dostrzegamy perwersję z jaką żona obserwuje operatorskie wyczyny Filipa. Ale to nie koniec. Aby nie było wątpliwości, że właśnie rozpoczął się kryzys — odnotowujemy jeszcze pełne obawy, sceptyczne spojrzenie kierownika Osucha — świadka tej sceny. Gdy Filip po powrocie z Warszawy kupuje w kiosku „Film” i „Politykę” to — w imię potwierdzenia, że wyrasta ponad ten — kamera pozostaje przy okienku jeszcze przez moment by pokazać jakiegoś pospolite odzianego osobnika, który mówi: „żyletki poproszę jakieś”. W trakcie, gdy bohater odjeżdża z dyrektorem (po aferze „telewizyjnej”) obiektyw wędruje w górę pokazując patrzającego smętnie w przestrzeń Osucha — który odpowiedział swoim stanowiskiem za sprawę Przykładów można by podać więcej. Takie zabiegi przesadzają niestety o pojawiającym się w następnym schematycznie postaci i pewnej naiwności filmowego świata. Akcja filmu ukladana jest bowiem z dość odległych pomieszczeń — zostawiane w efekcie pomiędzy nimi nie ujawnione miejsca. W ten sposób twórca nadal żył porządek, którego byłoby trudno byłoby dostrzec się w nim samym. Nie możemy małżeńską bohatera film — właśnie dlatego, że z upływu miesięcy, dni, godzin zauważamy jedynie momenty udowadniające jego stałe pogłębienie się.

Doświadczenia współczesnej powieści i filmu przekonują, że ta „teatralna” technika jest najbardziej obca właśnie naturze kina. Budowa „Amatora” przypomina konstrukcję klasycznej tragedii, która — jak pisał Marcel Proust — „opuszcza wszystkie zbędne obrazy, zatrzymując jedynie te, które mogą być cel, uczynić zrozumiałym”. Stąd wyczuwana „literackość” — od której wiecie chłodem w tym skądinąd gorącym dyskusowanym, intensywnym emocjonalnie i bogatym myślowo filmie.

Nie sposób zgodzić się w tym momencie z poglądem Janusza Kijowskiego, który we wspomnianej dyskusji („Literatura”) mówi: „Nie widzę takiej możliwości, aby film ważny, poważny, sprężony z emocjami i społecznie oczekiwaniem był filmem artystycznie chybionym”. „Amator” jest z pewnością filmem ważnym i poważnym. Trudno też mówić o artystycznej pomyłce. Ale czy świadomość, że szlachetne intencje są powodem uproszczeń może zamykać sprawę?

Nie sposób jednak — wbrew zapowiedziom — nie wspomnieć na koniec o dwu filmach innych twórców. „Bez znieczulenia” — film o zgodzie na zgodę umowność zasad etycznych, która to zgodą obraca się przeciw bohaterowi. „Wodzirej” — pytanie o wartości w świecie, gdzie jasne są wyłącznie doraźne cele ludzkich działań. W filmach tych wydawało się, że chodzi o konflikty pomiędzy postaciami (Michałowski — Rościszewski, Danielak — konkurenci do tytułowej funkcji, zwłaszcza Romek). Dopiero później spostrzegliśmy że to tylko przypadkowe uzewątrznienie opozycji daleko głębszych. W „Amatorze” nie ma takiej sytuacji. Przecież osoby autentycznego konfliktu to wyłącznie bohater z pierwszym, środkowym i ostatnim sekwencji. Wymaga to precyzyjnego psychologicznego spojrzenia. Precyzyjnego — a więc właśnie wieloznacznego i to nie tylko w czasie rozwoju akcji. Problem polega jednak na tym, że cały czas obserwowaliśmy bohatera w planie ogólnym, a przecież ostatecznie — autolematycznie ujęcie obliczało nam zbliżenie.

# BEZPOŚREDNIE POŁĄCZENIE

Dobrze się zatem stało, że prowadzący Dziennik, przestali mówić z szyby, że Grzegorz Wozniak wprowadził do „Wieczoru” atmosferę bezpośredniego dialogu tak ze słuchaczami, jak i redaktorami relacjonującymi określone informacje. Zrezygnowano także z anonimowości połączeń z poszczególnymi ośrodkami tv z innymi miast: konkretno wydarzenie, konkretna wiadomość przekazywane są przez dziennikarzy, którzy weryfikują i uszczegółwiają — niejako u źródła — podawane informacje. Można zadać im pytanie, nakierować na istotny szczegół (przykład Belchatowa i dialogu z Barbarą Chrzczonowicz z łódzkiego ośrodka), poprosić o komentarz (przykład akcji ratunkowej w kopalni „Silesia”). Jeśli trzeba, Grzegorz Wozniak chwytając za telefon i rozmawia, dopytując się o aktualną sytuację w zasilaniu energetycznym. Dodzwonił się nawet (kiedy by chciał mieć taki telefon) do kapitana pływającej gdzieś na Oceanie Spokojnym „Luzytanki”. W ostatnim tygodniu bodaj dwukrotnie gościli w „Wieczorze z dziennikiem” wiceministerowie (nie czesty to przypadek), odpowiedzialni autorytatywnie na zaistniałe problemy dnia. A i hierarchia ważności poszczególnych wiadomości została właściwie zweryfikowana — są przynajmniej tego odpowiednio symptomy. Potrzebnym pomysłem w audycji, która trwa około godziny, są streszczenia, na początku i końcu „Wieczoru”, najważniejszych doniesień agencyjnych.

Dyskusja ogólnonarodowa wywołana przez „Wycieczkę KC PZPR na VIII Zjazd” również i w „Wieczorze z dziennikiem” poważnie zintensyfikowała. Tonaż reportaż i publicystyki gospodarczej: dwa cykle „Prosto z Polski” i „Poglądy” rysują nie tylko obraz osiągnięć, ale i także koniecznych potrzeb i niezbędnych rozwiązań.

Gdyby ów pan, o którym wspominałem na wstępie, nie za-

denci do tytułów mistrzowskich wzięli się na łódź jeden po drugim, o czym więc mówić. Wrotek „Saga rodu Rius”, podobno nawet była dyskusja pod kierunkiem Grzegorza Lasoty (znów), ale już sam fakt, iż wrócił w sposób mało reprezentacyjny, bo nie po „Wieczorze z dziennikiem”, termin wystarczy za ocenę.

„John i Mary”? Taka „Love story” tyle, że z happy endem i Dustinem Hoffmanem, ale za to bez piosenki „Kandydat”. „Oto jest głowa zdradcy”? Nie przeczę, nie, nie na tyle jednak, aby stawać krzyżem w rubryce „bardzo dobry” w kwestionariuszu OBOP.

Wycięwszy znacznie pamięć powinienem wymienić film polskiej telewizji w reżyserii Janusza Nasfetera wg powieści J. Andermana „Śnić we śnie”, bo na tle rozmaitych „sytuacji rodzinnych” zasługuje na uwagę. Przede wszystkim za to, iż wyżył się łatwego optymizmu, że przedstawiał losy bohaterki w rzeczywistości, życiowym uwikłaniu, że prezentował ważki problem społeczny. To niemało.

Okazuje się, że bezpośrednio połączenie między rzeczywistością w której żyjemy, a tą, którą oglądamy w telewizji, jest również ważne dla „Wieczoru z dziennikiem” jak i dla prezentowanych w tv filmów i sztuk teatralnych.

P.S. Gremium, które wypowiedziało się nt. literatury w TVP (o czym pisałem w ubiegłym tygodniu), nazywa się Radą Literacką przy Komitecie d/s Radia i Telewizji Wynika z tego, iż nie była to (dyskusja) jakaś jednorazowa akcja, ale początek permanentnych obserwacji programu tv pod kątem upowszechniania szeroko rozumianych spraw literatury.

Koniec

GRZEGORZ GAZDA



Jerzy Stuhr w „Amatorze”.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

**EX-LIBRIS ODGŁOSÓW**

**LABORATORIUM**

Wyjątkowe zjawisko, jakim jest teatr Grotowskiego długo operujący w kinie próbom interpretacyjnego opisu bądź rejestracji o charakterze dokumentacyjnym. Próby te, aczkolwiek podejmowane ze szczerą chęcią zdefiniowania istoty owego niezwykłego zjawiska nie tylko nie przynosiły pożądanego rezultatu ale wręcz zabużyły bardzo już przeciętne uboga (jeśli nie liczyć wąskiego grona specjalistów), bo opierająca się na zniekształcających wszystkie „przekazach towarzyskich” wiedzę o tym, co dzieje się we Wrocławiu, w owym dziwnym miejscu zwanym Teatrem Laboratorium.

O spektaklach Grotowskiego długo mówić się, że „dziwne”, że „niezrozumiałe”. Jeszcze większe wątpliwości budziły podejmowane przez niego poszukiwania parateatralne: przedświadczenie „Góra”, „Specjal Project”, Uniwersytet Poszukiwań. Jego metody pracy z aktorem bulwersowały i zachwycały środowisko teatralne.

Grotowski, a dziś to — już przecież nie tylko nazwisko, ale wręcz symbol, porwał i fascynował odmiennością, niezwykłością i niezłobną tajemniczością, bo dotrzeć doń było i jest trudno, choć on sam nie tylko nie stawia przeszkód, ale wręcz zaprasza do podejmowanych przez niego działań. Rozproszony wypowiedzi twórcy, programy publikowane (głównie zresztą w specjalistycznej prasie zachodniej) były zawsze zaledwie cząstką obrazu wielkiego dzieła, które stworzył. Biblioteki nie mogły zaoferować wyczerpującego opracowania istoty jego teatru, bądź takiej tego zjawiska analizy, która ukazywałaby narodziny i rozwój programu jego twórcy i zespołu.

Grotowski działał już dwadzieścia lat i wydaje się, że te mijające lata ciągle jeszcze nie mogą go dogonić. Jego teatr (obecnie już tylko Instytut Metody Aktorskiej) coraz bardziej unika „szkieletu” teatralnego. Z największą zatem satysfakcją odnotowujemy fakt, iż oto ukazała się na półkach księgarskich prace Zbigniewa Osińskiego i Tadeusza Dobrzańskiego pt. „Laboratorium Grotowskiego”.

Książka ta (będąca także dzięki bogactwu zawartego w niej materiału ikonograficznego atrakcyjnym albumem) jest próbą zarysu dzieł Teatru Laboratorium. Okazuje także z bardzo dobrym skutkiem, istotę tego zjawiska i precyzyjnie określa jego rolę we współczesnej kulturze. Przytacza także teatralno-teatralną analizę spektakli tego teatru stanowiąc tym samym ich niezwykle cenny zapis. Wiele z nich (wszystkie właściwie) zeszło już z życia. Zapis ów, poza fragmentami filmowych kronik, wsparty bogatym fotoserwisem stanowić może cenny dokument, któremu udało się zatrzymać na swych kartach niezwykle klimatycznie rozbudowaną, bo wieczną sztukę.

„Laboratorium Grotowskiego” Wydawnictwo Interpress — Warszawa 1978, Wydanie I, nakład 8.000 egz., cena 150 zł.

**SNY SZYBKE**

Miłośnikom literatury science fiction chcemy zwrócić uwagę na książkę Zinowija Jurjewa „Sny szybkie”, która ukazała się w serii Iskier — „Fantastyka”. Jakże są walory tej książki! Przede wszystkim nie jest ona nadszatkowana nudnymi opisami kosmicznych pojazdów i urządzeń, wyobraźnia autora nie męczy czytelnika, pomysł jest prościutki, a cała akcja książki dzieje się na Ziemi.

Młody pedagog miewa regularne sny, w których ogląda tajemniczą Bursztynową Planetę i jej mieszkańców. Okazuje się, że sny nie są przypadkiem. Mieszkańcy planety postanowili bowiem nawiązać kontakt z Ziemią. Czernow jest ich wybrącem, któremu podczas snu przekazują o sobie wiadomości. Młody pedagog bardzo szybko orientuje się, że jego kolorowe sny mają także własne znaczenie. Ale jak przekonać o tym innych ludzi, swoich najbliższych oraz naukowców, którzy powinni nie jego snami zająć? Nie wierzy mu żona, nie wierzą naukowcy, dia których to, co nie zostało zweryfikowane przez badania po prostu nie istnieje.

Zinowij Jurjew „pracuje w redakcji „Krokodyla” i jak sam twierdzi, praca w piśmie satyrycznym znakomicie pomaga mu przy pisaniu powieści fantastyczno-naukowych. Pewnie dlatego znajdujemy w „Snach szybkich” wiele humoru i satyry oraz barwna galerię postaci. Pisarz snuje rozważania, czy jestestny przygotowany do spotkania z inną cywilizacją. I wcale nie chodzi mu o stan naszego wyposażenia naukowego i technicznego. Jurjew zastanawia się, czy dorobiliśmy do takiego spotkania psychicznie. Odpowiedź na razie brzmi — nie.

Zinowij Jurjew — „Sny szybkie”, przełożył H. Józefowicz, „Iskry”, Warszawa 1978, str. 215, cena zł 18,—



Przeglądając się jak w lustrze w małych, a nieraz małosłownych sprawach ludzi wielkich, człowiek nagle uświadamia sobie tożsamość człowieczych losów, klęsk i przerażeń. Raptem nasze klęski stają się mniej bolesne, nasze zakrety mniej niebezpieczne, nasze przerażenia mniej uzasadnione.

Oto ogromna postać polskiej literatury współczesnej — pisarz uhonorowany we wszelki możliwy sposób, nazwisko z podręczników literatury. I zaraz przypływa ten obraz kreślony dłonią innego wybitnego pisarza:

... w fazie powracania do zdrowia często płakał. Czemu? Wspominał doznane w życiu krzywdy. Ten kłopot, ten niedziedziczenie z goryczą liżącego jakże mnie wzruszył! Cóż, doznajemy porażeń, my literaci, różnych. Nie wszystkie wiążą się z literaturą. Ale tych literackich bywa dużo!

Nieważne o kogo chodzi, nie piszę plotki, lecz refleksję. Ale ten obraz wzruszył mnie bardzo...

Albo inny obraz, tym razem już z nazwiskiem. Laureat Nagrody Nobla z roku 1959. Salvatore Quasimodo, zmarły przed paroma laty. A więc już nazwisko ze światowego Parnasu. I oto czytamy we

wspomnieniu Tadeusza Brezy:

... bywało mu żenująco ciężko. Stąd ten pokoiak sublokatorski, do którego nie chciał mnie wprowadzić, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy — pisze autor memuarów. — Żył z poezji. Nie przyjmował żadnych posad. O synekury nie umiał się starać...

## TAK TOCZY SIĘ ŚWIAT

Skromny, starszy pan, mieszkający kątem, zdziwiony, że dostał Nagrodę Nobla. Salvatore Quasimodo — postać z podręczników literatury.

A nasz Mickiewicz? Obrzucający przez klasyków najgorzszymi wyrazami na jakie sobie pozwalano w tamtej epoce, lekceważony i krytykowany za profanację języka?

Nie przyrównuję Grochowiaka do Mickiewicza, bo to nie ta skala i ranga, ale problem ten sam. Ile się ostatnio panowie Sandauer i Stiller natrzasali z polszczyzny Grochowiaka! Być może w papierach wszystko się u Sandauera i Stillera zgadza, ale kasa byłaby pusta, gdyby Grochowiak pisał w myśl ich zaleceń. W myśl starego powiedzenia: „Wszystko się zgadza

oprócz kasy”. Wszystko by się zgadzało oprócz poezji.

Wracając do Mickiewicza. Otóż są znawcy, którzy twierdzą, że połowa tego co napisał, nie jest zgodna z poprawnym językiem polskim. Mickiewicz — jak pisze Cat — był potężnym wiatrem języka białoruskiego, potężnym kontynuatorem wpływu języka białoruskiego na język pol-

ski, który to wpływ zaczął działać jeszcze w XV wieku i który polszczyznę udelikatniał, usubtelniał — odsuwał od form języka wspólnego z Czechami, którym mówili Polacy w wieku XIV. A cóż by się stało, choćby z Elżą Orzeszkową, gdyby usunąć z jej prozy wszystkie białoruskie prowincjonalizmy?

Ale co tam oceny krytyków! Przecież zawsze są subiektywne. Bardzo lubię anegdotę o Turgeniewie, który siedząc w towarzystwie uroczej kobiety, rozkoszując się jej obecnością — zachwycił się czyjąś nowelą, którą później uznał za całkowitą grafomanie.

Atmosfera, nastrój, chora wątroba czy zdrowa podniecia — wszystko to ma wpływ na oceny.

Trzeba zatem szukać oparcia w prawdziwych dokumentach epoki — w listach, pamiętnikach, dziennikach... Dziś się geniusz zakłęty w spiz — niegdyś był lekceważonym i wyśmiewanym dziwakiem. Niegdysiejszy idol — dziś jest zupełnie zapomniany. Tak toczy się literatura i życie.

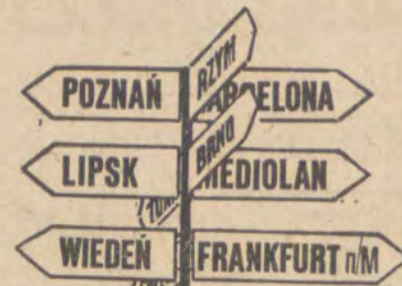
Przywoływałem już kiedyś w tym miejscu scenę ze wspomnień Szklowskiego, która mnie tak wzruszyła swoją wymową.

Oto Konstanty Ciolkowski w dalekiej Kałudze, żeby słyszeć rozmówcę, stawił przed sobą blaszaną rurę długości prawie półtora metra. Wyłot rury doprowadzał do ust mówiącego. Tragiczny paradoks — pionier kosmonautyki i kalekto, któremu wówczas mógł przeciwstawić tylko blaszaną rurę. Wielkość i nieporadność. Ogrom umysłu i prymityw.

I tak to się wszystko splata i tak wynikają z listów, wspomnień, dzienników te drobne, a jakże znaczące fakty, czy może — fakciki tylko. Ale z nich — z tego płaczu w chwili słabości, z tego ubóstwa, z tych małości — wynika jakaś całość. Nie spiżowa — jakże bardzo człowiecza.

WIDOK

## JERZY FRĄTCZAK



Przypadek, czy należy się cieszyć, Ze umie wystawić i powiesić.

Rys: Stanisław Ibis Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

## SPORT

### GDYBY ZAWSZE BYŁA POŁOWA SEZONU

W ubiegłą niedzielę (2 grudnia 1979 roku) zakończyła się jesienna runda ligowych rozgrywek sezonu ligowego 1979/1980. Jest to piękny moment, który wszystkim sprawił wiele radości. Bo proszę wziąć pod uwagę, że nie wynikają z tego faktu żadne konsekwencje, a w perspektywie każdy piłkarz i działacz ma kilkadziesiąt dni urlopu.

Nie bardzo nawet leży się miejsce w tabeli. No, bo co ma z tego drużyna Szombierek, że została mistrzem jesieni? Może w klubie uciechali się, może zafundują jakąś relaksową wycieczkę zagranicą, nagrody jakieś dadzą, albo co innego. Sama przyjemność. Nad drużyną nie wisi, niczym miecz Damoklesa groźba grania z jakąś drużyną zagraniczną, którą — po pierwsze — los narazi, a — po drugie — która może i jest słaba, ale, dla naszych piłkarzy okaże się nieodczignionym przeciwnikiem. Nie ma więc takiej groźby, która zwykle spędza sen z powiek działaczom, trenerom, piłkarzom, a kibicom czasem także.

Nie muszą się niczego bać, piłkarze Szombierek, Śląska i Wisły, które w takiej kolejności uosadziły się w ligowej tabeli po jesiennej rundzie. Nie ma też żadnej groźby dla poznańskiego Lecha i bydgoskiego Zawiszy, które to kluby zajmują ostatnie miejsca w tabeli. Nie będą musiały wrócić do drugiej ligi. Wszystko jeszcze przed nimi. Mają szansę odrobić straty. Może trenera trzeba będzie tylko zmienić, bo to jest najpopularniejsze lekarstwo na piłkarskie kłopoty.

Do RTS Widzew przyszedł nowy trener i drużyna zaraz zaczęła grać lepiej. Jacek Machciński pochwalił się nawet, że po objęciu Widzewa drużyna w 4 meczach zdobyła 6 punktów i ani razu nie przegrała. Ale na ogół wszystkie drużyny po zmianie trenera grają lepiej, a dopiero później prawda na wierzch wypływa i zaczyna być gorzej, czego Jackowi Machcińskiemu nie życzą. Niech Widzew gra coraz lepiej.

Połowa sezonu zadowala wszystkich. Byli mistrzowie, wicemistrzowie i trzecie drużyny, które w jesiennej rundzie nie spisywały się najlepiej, też mogą spokojnie odpocząć, gdyż zajęły środkowe pozycje i zawsze można powiedzieć, że wiosną pokażą, na co ich stać. Chorzowski Ruch w końcu z samego dołu tabeli wywindował się na 11 miejsce, mając tylko jeden punkt mniej od Widzewa. Mielecki Stal zajął 13 miejsce i też pewnie jest zadowolony. Może kibice mniej, albo zupełnie nie, ale mimo to odpocząć można będzie spokojnie. Przyzwolą pozycję wyjściową do rozgrywek wiosennych ma ŁKS — 8 miejsce. Drużyna ta jednak od dawna ogranicza swoją ambicję do siedzenia w środku tabeli i też odpocząć będzie spokojnie. Jedynym jej zmartwieniem będzie, jak się na tym miejscu utrzyma. Nie ma to więc, jak połowa sezonu. Oby tak zawsze bywało. Ale niestety. Minje zima, zacznie się nowa runda, wiosenna i przyjdą nowe zmartwienia.

Jest już recepta, jak sobie z tymi zmartwieniami poradzić. Otóż powszechnym lekarstwem na wszelkie nasze trudności, jest... reorganizacja. Albo coś łączymy, albo dzielimy. Zasada ta działa również w sporcie. Tym razem będziemy łączyć. Planuje się więc zmniejszenie liczby drużyn w pierwszej lidze z 16 do 14. Być może dla kompletnego laika nie ma w tym żadnego sensu, ani wielkiej różnicy, ale dla PZPN jest. W mniejszej ilości drużyn pierwszoligowych można będzie skupić więcej zawodników grających na jakim takim poziomie. Bo skoro nie ma skąd brać uzdolnionej i dobrze wyszkolonej młodzieży, to nie pozostaje nic innego jak reorganizacja. Zresztą, gdyby nawet trochę tej młodzieży było, bo zawsze jak się poszuka to znajdzie, to starsi zawodnicy nie chcą tak szybko rezygnować, czekając cierpliwie, aż zezwoli się im na wyjazd po zastużone gromadzenie pieniędzy na nie mniej zastużoną emeryturę. Zupełnie nie wiem, dlaczego kluby i PZPN tak się upierają przed daniem zezwoleń. Jak ktoś chce poznać „słodczy” zarabiania za granicą, to niech jedzie. Przykład Kazimierza Deyna wyraźnie dowodzi, że łyżka dziegciu może popsuć smak beczki miodu. Może by młodzież wnieśli do polskiej piłki coś nowego, ale nie ci młodzi już zdemoralizowani, ale ci, którzy chcieliby naprawdę pograć w wielki futbol. Może jeszcze tacy są?

Póki jednak co, mamy połowę sezonu. I wszystkim z tym jest dobrze. Z wyjątkiem kibiców. Ale kto się tam z kibicami liczy. Proszę, bardzo, oto zastraszająco zmniejszyła się frekwencja na piłkarskich boiskach, a jakoby kluby nie ogłaszają upadłości z braku wpływów do kasy. Ciekawostka, co?

BOGDA MADEJ

## PROPOZYCJE

Cieszy zapewne wszystkich miłośników wiedzy i fantazji to, że telewizja za przyczyną Studia 2 oraz Wandy Konarzewskiej serwuje widzom blok tematyczny zatytułowany niezbyt ścisłe: „Kosmos 1979”, bo nie tylko o kosmosie mówi się w tym bloku. Ale gdyby chodziło tylko o tytuł, to nie byłoby w tym nie nadzwyczajnego. Chodzi raczej o metodę, która budzi i powinna budzić sprzeciw.

Oglądam „Kosmos 1979” z bardzo mieszcznymi uczuciami. Najpierw cieszyłem się, że telewizji nie są obce tematy, którym interesuje się spora część dorosłych i młodych Polaków obojga płci. Najlepszym zresztą dowodem są listy, które przychodzą do redakcji „Kosmosu 1979”, a na podstawie których redakcja zaprasza widzów do udziału w programie. Są to — jak widać na ekranie — nie tylko ludzie, którzy uważnie wysłuchują, co ma do powiedzenia Wanda Konarzewska i jej goście, ale sami mają poglądy i potrafią je prezentować.

W miarę oglądania programu „Kosmos 1979” zaczęły rodzić się we mnie wątpliwości. I nie dlatego, że powtarza się fragmenty innych audycji, bo to czasem warto jeszcze raz zobaczyć, albo w ogóle zobaczyć, gdyż się za pierwszym razem nie miało czasu. Wątpliwości moje zrodziły się z metody. Spróbuję tę metodę zilustrować na podstawie ostatniego programu „Kosmos 1979”, jaki był emitowany w niedzielę, 2 grudnia 1979 roku, w programie drugim telewizji.

Tym razem „bohaterem” programu był Erich von Däniken i jego nazbyt śmiałe i kontrowersyjne hipotezy. Można się z autorem „Wspomnień z przyszłości” nie zgadzać. Można uważać — jak mu się to złośliwie wypomina — że „szwajcarski hotelarz” plecie smalne bzdury, ale nie można ma odmówić tego, że rozbudził zainteresowanie daleką naszą przeszłością i postawił śmiało kilka pytań, których oficjalna nauka raczej unika. Zawsze w przeszłości znajdowali się tacy „fantaści”, którym oficjalna nauka

sporo zawdzięcza, a których nie ceniła i nie ceni. No bo jak — facet bez żadnego tytułu naukowego, bez etatu, katedry, zakładu, który nie należy do naukowych towarzystw z tradycją, śmie zadawać kłopotliwe pytania?

Można i trzeba spierać się co do odpowiedzi, jakie na te pytania próbuje dawać sam pytający. Gdybyśmy tego nie robili, dalibyśmy tylko wyraz brakowi krytycyzmu. Ale

### SZTUCZNY ŚMIECH WANDY KONARZEWSKIEJ

w takim razie ktoś musi podjąć się trudu reprezentowania poglądów autora „Wspomnień z przyszłości”, aby mógł powstać spór. Boviem metoda, którą demonstruje Wanda Konarzewska do niczego nie prowadzi.

Skoro już mam w pokoju — wprawdzie za szklaną szybą, ale zawsze — wybitnego specjalistę w danej dziedzinie wiedzy, to chciałbym, aby coś mi z jego wizyty pozostało. Gościliśmy na przykład w niedzielę, 2 grudnia 1979 roku, w swoich mieszkaniach wybitnego polskiego uczonego, zasłużonego dla rozwoju archeologii śródziemnomorskiej, dla egiptologii, profesora Kazimierza Michałowskiego. I co? I nic. Wybitny i godny szacunku gość ograniczył się do powiedzenia kilku od dawna znanych prawd, a Wanda Konarzewska kłaniała się nisko, choć

symbolicznie, potakując profesorowi, jakby było czymś niegodnym jego autorytetu, aby wybitnemu uczonemu zadawać takie pytania, na które musiałby powiedzieć coś więcej. Profesor Michałowski powiedział tylko, że „w piramidach nie ma żadnych tajemnic”, a zaraz po tym Lech Emfazy Stefański twierdził coś zupełnie przeciwnego, popierając swoje twierdzenia faktami, wobec których powinien był zająć stanowisko wybitny egiptolog. Nieorientowany widz dostał zawrotu głowy, nie bardzo wiedząc komu dać wiarę, a rozległ się pusty śmiech Wandy Konarzewskiej, bowiem przed nią siedział już nie wybitny uczonego, któremu trzeba się kłaniać, ale młody scenarzysta, który opowiadał o tym, co widział na płaskowyżu Nasci i co mu opowiadał w Południowej Ameryce. Ponieważ to był człowiek bez „autorytetu” i tytułów można się było śmiać z tego, co mówił, choć referował tylko obce poglądy. Zresztą z gośćmi mniej utytułowanymi, jak na przykład z zaproszonymi telewizjami, rozmawia już nie sama autorka programu, ale „personel”.

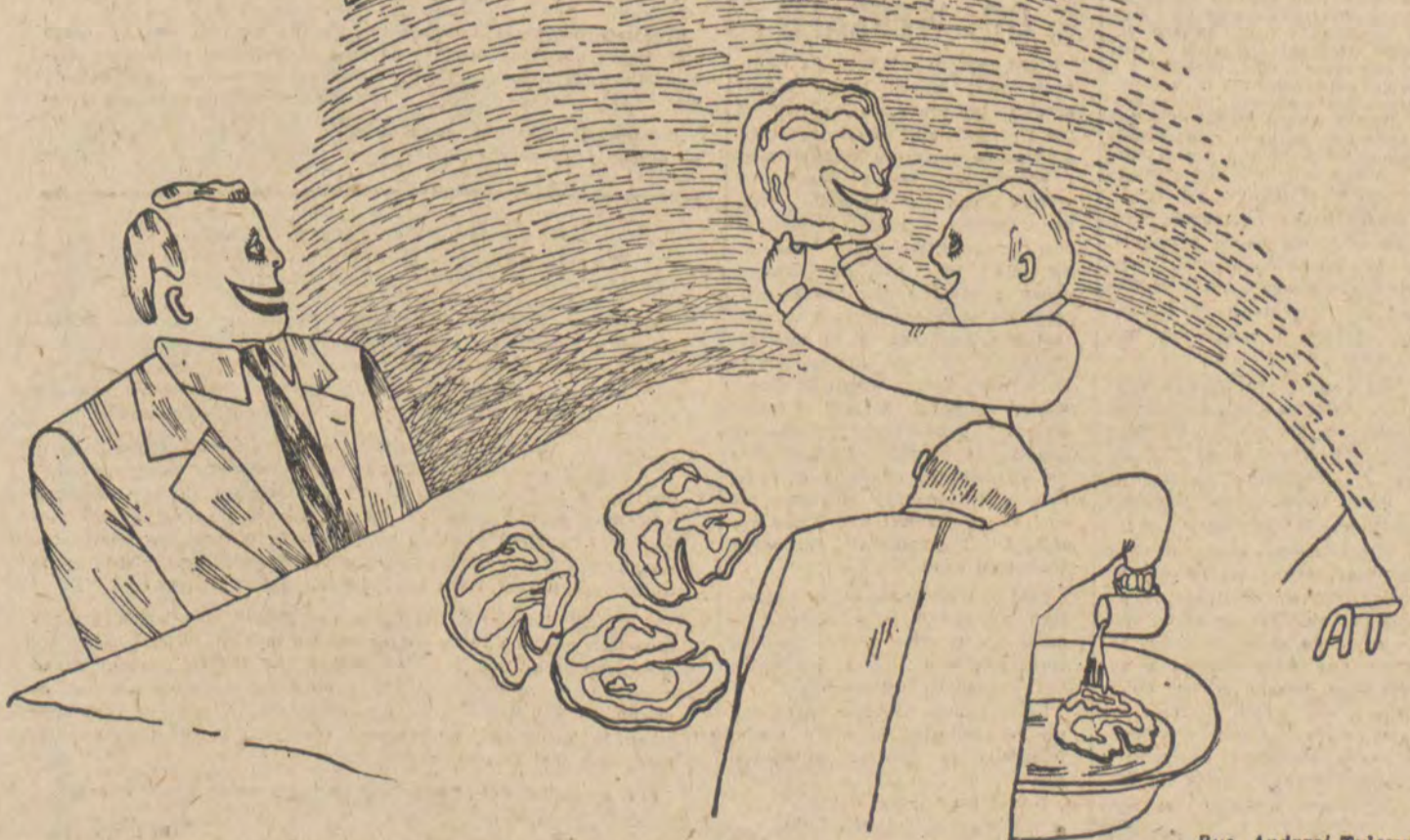
A ja po prostu mam ochotę dowiedzieć się wreszcie, jakie naprawdę poglądy ma Wanda Konarzewska. Co ONA o tym wszystkim myśli? Proszę mi wybaczyć, ale sztuczny śmiech, nawet najlepiej udany, poglądów nie zastąpi. Jeśli więc, po wysłuchaniu „Kosmosu 1979” zaprasza się mnie i innych widzów na dyskusję z twórcami tego programu, to mogę też się tylko roześmiać. Z kim bowiem i o czym mam dyskutować, skoro nie wiem, jakie poglądy mają ci państwo.

Wiem o tym, że dziennikarz może tylko prezentować poglądy innych, zestawiać je z sobą, dając tym do myślenia widzom czy czytelnikom. Ale robi się to też w myśl czegoś. Za tą metodą stoją jakiegoś racje. A to już zupełnie co innego, od programowo demonstrowanego braku poglądów, który ma nam ostodzić sztuczny śmiech.

MARCIN RODAK

## ZAMIAST FELIETONU

### LANIE WOSKU !!!



Rys. Andrzej Tylczyński



# Załącznik nr. 541.../79

HASŁO NUMERU: Kto rano wstaje, temu leci z kranu zimna woda.

„Dziennik Popularny” poinformował nas, że „zblizamy się do jesienno-zimowego szczytu energetycznego”, gdyż energetycy przewidują największe obciążenia sieci energetycznej kraju na koniec grudnia. Myślałem, że już jesteśmy w szczyście energetycznym, ale okazuje się, że bytem w błędzie. Co więc nam grozi w tym szczyście?

„W wypadku wyższego jeszcze szczytu mocy — pisze dość pokrętnie „Dziennik Popularny” — lub niedostatecznej skuteczności ograniczeń w przemyśle będą wprowadzane wyłączenia awaryjne elektryczności, dotyczące odbiorców mieszkaniowych, komunalnych i przemysłowych — bez uprzedzeń”.

Te wyłączenia BEZ UPRZEDZEŃEN dokonywane będą w godzinach 10-11 i 18-19. A dzień się to będzie od 1 grudnia 1979 roku. W porządku. Energię elektryczną jest mało i nawet Salomon nie należy z pustego, a

## BEZ UPRZEDZEŃEN?

oo dopiero energetycy, ani z plasku bieża nie ukręca, ani z niczego elektryczności nie zrobią. Ale dlaczego bez uprzedzeń? Zakład Energetyczny „Szczecin” znalazł jakos z tej trudnej sytuacji dobre wyjście. Ponie-

wał wszystkim wiadomo, że wyłączenia dopływu prądu musi następować, ale nigdy nie wiadomo, kiedy i kogo to dotknie. ZE „Szczecin” ogłosił następującą zasadę postępowania. Jeśli gdzieś ma nastąpić wyłączenie

dopływu prądu, to na dziesięć minut przed tym faktem wyłącza się dopływ na 3 minuty, potem włącza na 10 minut i dopiero po tych 10 minutach następuje wyłączenie na godzinę, albo i dłużej. Dlaczego uprzedza się ludzi?

A dlatego, żeby mogli dojechać windą na miejsce, albo z niej wysiąść, żeby mogli znaleźć świecę lub zapalniczkę, żeby mogli świecić czy gazową aby mogli brać wody, tam gdzie to zależy od elektryczności, aby mogli przygotować się właściwie do spędzenia tej godziny bez światła i elektrycznej energii. A czy i u nas nie można postępować w taki sam sposób? W końcu Zakład Energetyczny Łódź — Miasto wyłączając prąd nie robi nam na złość, ale utrudnia życie. Innego wyjścia jednak nie ma. Ale można nawet takie sytuacje załatwić z obustronną korzyścią. Trzeba tylko pomyśleć. Czy to takie trudne?



Rys. Andrzej Tylczyński

RYSZARD DOROBA

## NOKTURN

Noc nas objęła ciemną dłoń, dzień palcami nas opłóda — gdyś szukał warzą twojej skromi wiatr pisał cicho stercz okna.

Drobne twe pierś rytmem zmiennym kruszyły kontur cienia niki — w nastroju wibrował senem słowa, co światłem drzeć przywyki.

W mgłę gęstej gasty twe spojżenia, ciemń nas chłonięła czarna rzeka — tonących w nurtach przeznaczenia pokryło szczerne noce wieko.

Wnet ciemny światł w nas zakiplał, mocno przygwoździł do posłania — tak to w ciemności nam usypiał piętnasty stopień zasilania.

KONRAD FREIDLICH

## FRASZKI SPORTOWE

Sprinter

Na widok kobiety Zmierzają wprost do mety.

Demokrata

Domaga się demokracji, Bo przepadł w eliminacji.



Rys. Edward Bogdański

Kiedyś mawiało się, że trzeba dbać o dobre imię, dziś dba się o dobre nazwisko. Niby drobna, ale nazwisko bez imienia nie funkcjonuje. Lekceważenie imion może doprowadzić do

## KTÓRY KRÓL?

fatalnych nieporozumień. I znów mamy przykład czegoś takiego. Odbyły się w Warszawie jubileuszowe uroczystości z okazji 60-lecia Polskiego Komitetu Olimpijskiego. W czasie tych uroczystości nadano

zasłużonym ludziom różne wyróżnienia. Między innymi Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał ZDZISŁAW KRÓL — jak poinformował o tym dziennikarz PAP. Dziennikarz pewnie jest młody o sporcie wie mało, wysłano go na obsługę, śpieszył się do ważniejszych zadań, nie dosłyszał, nie dowiedział, a czego nie wiedział, wymyślił. Zapewne nigdy nie słyszał o żadnym KRÓLU, a być może nie wie nawet, kto to jest Stanisław Królak. Nazwisko też podobne.

Z „Głosu Robotniczego” dowiedziałem się, że ów KRÓL, który otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, to zasłużony olimpijczyk trener, wychowawca młodzieży zawodnik — piłkarz hokeista, tenisista, postać ciekawa, zasłużona dla polskiego sportu. A w ogóle na imię ma WŁADYSLAW i mieszka w Łodzi złączył się od wielu lat, od dziesiątków lat z Łódzkim Klubem Sportowym. W redagowaniu każdej informacji obowiązują pewne zasady. Chodzi po prostu o to, aby czytelnik coś z tego wiedział, a nie tylko, że ktoś kogoś odznaczał, zupełnie nie wiadomo za co i dlaczego. Chodzi o informacje, a nie odfajkowanie kolejnej obsługi. Skoro więc chodzi o informację, to może warto byłoby napisać kilka słów o tym, kim byli ci odznaczeni. Skoro bowiem dziennikarz PAP, który tam był tego nie wie, to skąd ma wiedzieć czytelnik?

K. I. Bie

## WIADOMOŚCI Z DALEKA I BLISKA

### Na śniegu

Dwustu uczestnikom konkursu szkółk narciarskich zaliczonych do rywalizacji o Puchar Świata, jaki ma się odbyć w Zakopanem pod koniec stycznia 1980 roku, grozi to, że będą nocowali na wolnym powietrzu. Nie zapowiadano bowiem dla nich miejsca w hotelach. Ale bądamy dobrej nadziei. „Jestem przekonany — powiedział wysłannikowi „Expressu Ilustrowanego” dyrektor biura organizacyjnego tej imprezy, Zdzisław Roni — że jakoś się wszystkie „upcha”. Po co jednak szarpać sobie nerwy?

I nam się takie pytanie też nasuwa. Ale wiemy też, że powtarza się je od wielu lat. Czyżby urok „wielkiej im-

prowizacji” był nadal silniejszy od dobrej organizacji?

### Bezradność

Od maja 1979 roku trwa walka mieszkańców bloku 101 przy ul. Dąbrowskiego 60 w Łodzi z... karaluchami. Zaległy się one w piwnicy tego bloku i rozlały się po wszystkich piętrach. Próbowano je wytruć, ale „z uwagi na niesolidne i niedokładne wylanie piwnic” trucizna — jak poinformował mieszkańców bloku 101 PGD Łódź-Góra — karaluchy nadal łażą sobie po całym bloku.

Drobna sprawa a smuci. Czy naradzić w wylewaniu trucizny piwnic musimy być niedokładni?

### Co zrobić?

W nlebywały kłopot wpędził uczonych amerykańscy badacze potwierdzając na podstawie zdjęć i nagrań głosu, że w szkockim jeziorze Loch Ness żyją potwory przypominające gady z dawnych epok. O legendarnej „Nessie” pisano już od dziesiątków lat, ale uważano to za wymysł żądnych sensacji dziennikarzy. Teraz o istnieniu potwora z Loch Ness donoszą poważni badacze. Dać im wiare?

Nauka zna już przypadki, gdy gatunki ryb czy gadów uznawane za wymarłe przed wiekami odnajdywane nagle żywe i w dobrym zdrowiu. Na przykład jaszczurka tuatara albo ryba latimeria. Dlaczego więc „Nessie” nie miałaby być kolejnym wyjątkiem?

### HORACY SAFRIN

#### O dwóch siostrach, zwolenniczkach liter

Starsza z nich, dziewczę nie w ciemni bte, miała od dziecka pociąg do liter. Młodsza obrała drogę kariery, co wiedzie poprzez — cztery litery.

#### Da byłego analfabety

Moja radość z tej prostej przyczyny wynika, że postawiłeś krzyżyk na swych trzech krzyżykach.

## PLATFORMA NA LINII

Red. Michał Strzelecki („Express Ilustrowany”) przeprowadził wywiad z Markiem Dziubą, kapitanem drużyny piłkarskiej ŁKS i przypomniał w nim wywiad, jaki przeprowadził z tymże przed rokiem:

## BARDZO NAM NIEMIŁO

Nie tak dawno ukazała się książka Wiesława Górnickiego pt. „Ballada hotelowa”. W książce tej Wiesław Górnicki opowiada o różnych hotelach z wielu krajów i z różnych kontynentów, w których przyjeżdżał nocować lub mieszkać. W tej wielce ciekawej i już nieobecnej na półkach księgarskich książce autor wspomina też o łódzkim „Grand Hotelu”. Nie wspomina na najlepiej. Pisze on tak:

„...Łódzki Grand przynębia jeszcze bardziej, niż na to zasługuje. Jego okna od strony wewnętrznej dziedzińca wymagają do kompletu tylko „Ostatniej niedzieli”, stakaczyka absyntu i rewolweru kal. 8 mm.”

Od tej pory, kiedy Wiesław Górnicki nocował w „Grand Hotelu” sporo się w łódzkim hotelarstwie zmieniło. Przybyły nam: „Mazowiecki”, „Centrum”, „Światłowit”. Być może teraz opinia Wiesława Górnickiego byłaby inna. A swoją drogą warto dbać o gości hotelowych, starać się im stworzyć dobre warunki wypoczynku, bo znajduje się wśród nich taki jeden, co sobie wszystko zapamięta, obsmaruje później w gazetach albo jeszcze później, bo w książce i zła opinia zostanie na długie czasy. Jeszcze potomni książkę w bibliotece odgrzebią i będą wydziewać. I będzie im niemiło, jak nam teraz.

LEKTOR

„Był wtedy (Marek Dziuba — przyp. red.) pełen optymizmu, chociaż nie krył również obaw, czy potrafi we właściwy sposób znaleźć platformę porozumienia na linii drużyna — trenerzy — działacze”.

W obecnym wywiadzie Marek Dziuba nie ukrywa, że miał pewne trudności. Nie dziwnego. Gdyby red. Michał Strzelecki kazał nam znajdować platformę na linii, a na dobitkę we właściwy sposób, też mielibyśmy trudności.

G. E. O. Metz

## BARDZO DALEKO OD WERSALU

Przed jednym z bloków na Chojnach dwaj młodzi ludzie sadzili krzewy. Do pracy się nadzwyczajnie przykładał. Właśnie mieli przerwać na papierosa, siedzieli więc i rozmawiali. Obok przechodził starszy pan z laszczką. Widać tempo pracy młodzieńców wzbudziło jego sprzeciw, zwrócił im na to uwagę. Jeden z młodzieńców wstał, podszedł do starszego pana i wymierzył mu kopniaka w to miejsce, gdzie się na ogół kończą plecy. Po czym spokojnie wrócił do przerwanej rozmowy. Starszy pan zaniepokojony z oburzenia i zaskoczenia. A gdy odszedł kawalek, głośno wyraził się, co szał o takiej formie konwersacji. Młodemu nie chciało się już wstawiać i dać kolejnym kopniakiem odpowiedź starszemu panu.

Fakt ten dowodzi, że w obyczajach nastąpił kolejny postęp. Do niedawna grożono jedynie: — jak cię kopnę w d... Teraz robi się to bez wstępnych ostrzeżeń.

Są to jednak obyczaje coraz dalsze od wersalskich, które kiedyś uchodziły za wzorzec postępowania.

Dokąd zmierzamy?

ZYG.



Rys. Edward Bogdański

## TO JEST TO!

Urodzony optymista i człowiek To jest to! To jest to, czego nlebywale dowolny wpadł na nam najbardziej potrzeba. Ozmomysł następującego ogłoszenia: „Wykonuję kokardki ozdobne — oczekuję propozycji...”

N. N.

## KOMU PAPIER?

Niedawno „Zywock Gospodarczy” śmiał się z „Głosu Robotniczego”, że zrobił z instalowania balkonów na jednym z łódzkich domów sprawę niemal światowej wagi, a teraz będzie się mógł śmiać z „Dziennika Popularnego”, że robił znów sensację z nadejścia do Łodzi wagonów z... papierem toaletowym.

Do Łodzi nadeszło 12 wagonów z 400 tysiącami rolek papieru. „Rocznik statystyczny województwa łódzkiego 1979” podaje, że w Łodzi mamy 818 378 mieszkańców. Prosty rachunek wykazuje, że mniej niż co drugi łódzianin dostanie papier toaletowy. A papieru tego pozbawieni będą mieszkańcy reszty województwa. Gdyby chcieli wszystkich sprawiedliwie obdzielić, to trzeba tych 400 tys. rolek podzielić wśród 1 003 699 osób.

„Dziennik Popularny” pociesza nas jednak. Do końca grudnia Łódź otrzyma dodatkowo jeszcze 1 000 000 rolek papieru toaletowego. Ale, jeśli znów weźmiemy pod uwagę przeszło milion mieszkańców województwa, to z prostego rachunku wynika, że wszystkim nawet po role nie wystarczy. A jeśli przypomni sobie, że każdy lubi chomikować nie tylko papier toaletowy, to rysuje się nam zupełnie czarny obraz.

I z czego tu się „Dziennik Popularny” cieszy, no z czego.

H. I. Gienista

